

 HARLEQUIN®

ROMANS
HISTORYCZNY



DEBORAH
HALE

Ostatnia szansa

Deborah Hale

Ostatnia szansa

*Tłumaczenie:
Wojciech Usakiewicz*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Londyn, kwiecień 1817 roku

Ktoś szerokim gestem odciągnął niebieską, adamaszkową zasłonę alkowy w sali do gry w karty, zupełnie jakby była to kurtyna w teatrze Drury Lane. U Almacka pojawiła się scena, która mogłaby pochodzić z setek różnych sentymentalnych sztuk: para kochanków dzieliła w ustronnym miejscu namiętny pocałunek. Jednak zamiast westchnień i pomruków zadowolenia, jakie mógłby wywołać taki widok w teatrze, tym razem rozległy się syki zgorszenia, po których zapadła krucha cisza, gdy wszyscy wstrzymali oddech.

Byli przystojni jak para aktorów. Dobrze zbudowany mężczyzna, miał bujne kasztanowe włosy i modny strój, który mógłby zyskać uznanie samego Beau Brummela. Dama nosiła srebrzącą się niebieską suknię z najprzedniejszego jedwabiu. Chociaż w tej pierwszej chwili twarz miała odwróconą, jej uroda była dla wszystkich równie oczywista jak tożsamość. Odgarnięte złociste pukle eksponowały długą, piękną szyję, ozdobioną słynnymi szafirami Sterlingów.

Każdy, kto choć przez moment widział tę kobietę, musiał w niej rozpoznać Caroline Maitland, hrabinę Sterling, jedną z najbardziej adorowanych piękności w eleganckim towarzystwie. Niechybnie rozumiał również, że mężczyzna trzymający hrabinę w ramionach i wyciskający na jej wargach pocałunek nie jest jej mężem.

Otoczony przez kilkoro najbardziej rozgadanych londyńskich plotkarzy Bennett Maitland, szósty hrabia Sterling, wpatrywał się tępo w alkowę, broniąc się przed falą wściekłości i upokorzenia, która groziła mu utratą żelaznej samokontroli.

Z uporem puszczał mimo uszu złośliwe przytyki Fitz Astleya na temat wierności żony, tak samo jak kiedyś próbował zaprzeczać innym plugawym słowom swojego wroga. Tamto odkrycie przewróciło cały świat Bennetta do góry nogami. Astley był łajdakiem, ale wtedy nie kłamał. Teraz też nie. Dowód na rozwiązłość Caroline wszyscy mogli właśnie bez trudu obejrzeć!

Złapanie żony oddającej się tak wyuzdanym poufałościom z jego najzagorzalszym wrogiem było jak wbicie noża w samo serce. Oparty kiedyś na namiętności fizyczny związek między Bennettem a jego żoną był jedynym spoiwem ich rozpadającego się małżeństwa. Teraz żona skompromitowała go publicznie i skłoniła do postawienia sobie pytania, od jak dawna z powodu jej kochanków śmieje się z niego po cichu cały Londyn. Wolałby jednak umrzeć w strasznych cierpieniach niż dać mężczyźnie, do którego czuł obrzydzenie, i kobiecie, która z czasem obudziła w nim pogardę, satysfakcję dostrzeżenia, jak dotkliwie go upokorzyli.

Zanim złowrogą ciszę zakłóciły jadowite szeptki, Bennett wreszcie zamknął usta i mocno je zacisnął. Wciąż walcząc z odbierającym dech poczuciem upokorzenia, wystąpił naprzód, by stać się panem sytuacji.

Tymczasem jego żona z kochankiem uświadomili sobie, że zostali odkryci. Chociaż było o wiele za późno, by ratować zszarganą reputację, Caroline wysunęła się raptownie z objęć i cofnęła, jakby miała nadzieję, że uda jej się jakoś ukryć przed słu-

nym gniewem męża. Fitzgerald Astley nie miał takich skrupułów. Wciąż stał w swobodnej, zuchwałej pozie z bezczelnym uśmiechem triumfu, który Bennett bardzo chciał zetrzeć mu z twarzy.

- Tak mi przykro, Bennett - powiedziała cicho Caroline, gdy zbliżał się do nich sztywnym krokiem. - Mogę to wyjaśnić, jeśli tylko zechcesz mnie wysłuchać. Proszę, nie pogarszaj sytuacji.

Pobladła tak, że jej twarz nabrała alabastrowej czystości, co wydawało się wyjątkową ironią losu. Bładość mogłaby nadać Caroline wygląd niewinnej panny, gdyby nie to, że jej usta wydawały się większe i czerwiejsze niż zwykle - może zresztą nie z powodu bladości, lecz od pocałunków tego niegodziwca!

Bennett wolałby, żeby ten widok dogasił resztki pożądania, które budziła w nim Caroline. Tymczasem zdradziło go również ciało, poczuł bowiem wyraźne objawy żądz w podbrzuszu. Kusiło go, by porwać zbłąkaną hrabinę w ramiona i wypalić wszelkie ślady pocałunków Astleya żarem swoich ust.

Z trudem zwalczył tę pokusę.

- Bez względu na to, co zrobię, tej sytuacji pogorszyć nie mogę.

Nie była to cała prawda, nie miał jednak zamiaru oszczędzić Caroline wstydu, który sama na siebie sprowadziła, i udawać, że nic poważnego nie zaszło.

Pogardliwy uśmiezek Astleya zamienił się w jawny grymas lekceważenia.

- Pewnie będziesz chciał mnie wyzwać na pojedynek, Sterling. Gdzie się spotkamy? W parku przy Saint James'? A może w Hyde Parku? Wydaje mi się jednak dosyć niesprawiedliwe, że właśnie na mnie padło, skoro łaskawie przymykałeś oko na wszystkich poprzednich kochanków swojej żony.

- O czym pan mówi? - zawołała Caroline. - Nigdy nie byłam niewierna mężowi! Nawet nie miałam takiego zamiaru... Pan mnie zaskoczył. Chciałam tylko...

Astley zachichotał i pogroził jej palcem.

- Mam zrozumienie dla pani pragnienia, aby ocalić swoją reputację, lady Sterling, ale obawiam się, że nasza tajemnica wyszła na jaw. Wątpię, czy ktokolwiek z ludzi, którzy widzieli, jak się całujemy, uwierzy w to, że pani się opierała. Wręcz przeciwnie. Jestem się gotów założyć, że jeszcze chwila i miałbym rozpięte spodnie.

- Zdradziecki gad! - krzyknęła wściekła i udręczona Caroline i rzuciła się na Astleya.

Bennett chętnie obejrzałby, jak jego żona wydrapuje temu niegodziwcowi oczy. Jednak takie przedstawienie tylko dodatkowo zaszkodziłoby jego sprawie, może nawet nieodwracalnie. Chwycił więc Caroline za nadgarstek i odciągnął, piorunując ją wzrokiem.

- Jeśli nie umiesz zachować odrobiny dyskrecji, to przynajmniej wyświadczyć mi, proszę, przysługę i powściągnij język!

Zdawało się, że próbuje ją złamać i zawstydzić. Rzeczywiście, Caroline skuliła ramiona i przysłoniła dłonią usta, jakby chciała stłumić szloch.

Nie mogąc znieść fizycznego kontaktu po tym, co zaszło, Bennett puścił jej ramię, jakby trzymał wijącego się szczura, i ponownie skierował uwagę na Astleya.

- Oczekujesz, że będę nadstawiał karku w obronie honoru żony? - spytał z odrazą, którą obaj czuli do siebie od lat. - Prędzej wyzwałbym cię za sugestią, że jestem skończonym głupcem. Mimo wszystko wolę uderzyć tam, gdzie naprawdę cię zabo-

li.

Chociaż Astley zrobił szyderczą minę, Bennett odczuł drobną satysfakcję, dostrzegł bowiem w bladoniebieskich oczach przeciwnika ślad paniki.

- Czyżby? To znaczy gdzie?

- Oczywiście w twoje finanse - powiedział Bennett, starając się, by jego głos był cichy i złowieszczy, lecz zarazem dostatecznie głośny, by dotarł do wszystkich, którzy z zapartym tchem śledzili tę scenę. - Mam nadzieję, że ten romans wart był pieniędzy, które za niego zapłacisz.

Przez chwilę zdawało się, że groźba odebrała Astleyowi mowę.

Dała się za to słyszeć Caroline, której strwożone spojrzenie nasuwało myśl, że dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, jak wiele może stracić. Z jej ust wyrwał się cichy jęk, mimo że wciąż przysłaniała je dłonią. Na szczęście pomna wcześniejszego ostrzeżenia Bennetta nie próbowała się odezwać.

Astley w końcu odzyskał głos.

- Chcesz mnie pozwać za zakazane stosunki cielesne? Nie odważysz się!

Taki pozew o odszkodowanie, złożony przez zdradzonego męża przeciwko kochankowi żony, stanowił konieczny krok w drodze do uzyskania rozwodu. Bennett nienawidził tego wulgarnego, pospolitego określenia, które trywializowało ogrom zdrady. Teraz jednak przyszła jego kolej, by szyderczo się uśmiechnąć.

- A co mnie powstrzyma? Zważywszy na to, co przed chwilą wyznałeś w obecności tylu świadków, sprawa powinna być do wygrania bez większego wysiłku.

Zostawiając Astleya bijącego się z myślami o tym, jak głęboki dół pod sobą wykopał, Bennett odwrócił się i odszedł, a tłumek rozstępował się przed nim niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem. Nie miał pojęcia, czy Caroline pójdzie za nim, czy zostanie z kochankiem, ale wcale nie był pewien, co bardziej by mu odpowiadało. Gdy jednak usłyszał za plecami szelest jedwabiu i cichy odgłos stóp w pantofelkach, odczuł pewną satysfakcję mimo przeżytego upokorzenia.

Sztywno schodząc po okazałych schodach, patrzył prosto przed siebie, a usta miał mocno zaciśnięte, aby ostrzec każdego, kogo mógłby spotkać, że lepiej niefrasobliwie go nie zagadywać. Zdawał sobie sprawę z tego, że gdy przechodzi, ludzie odwracają głowy. Ścigały go ukradkowe szepty.

Plotki rozchodziły się szybko. W porze śniadania będzie już o tym mówił cały Londyn. Pod koniec tygodnia pismaki obsmarują go w szmatławych gazetkach, a drukarze wystawią w witrynach bezlitosne karykatury. Chociaż starał się wieść przykładowy żywot człowieka zaangażowanego w służbę publiczną, teraz miał znaleźć się pod pręgierzem podobnie jak ludzie podobni księciu regentowi i jego osławionym braciom!

Czy tego chciała Caroline?

Chociaż Bennett nie mógł zaprzeczyć, że ich małżeństwo okazało się jawną pomyłką, to kiedyś byli całkiem szczęśliwi. Z czasem dzieliło ich coraz więcej różnic i przepaść między nimi wciąż się pogłębiała. Kiedy jednak i dlaczego żona znienawidziła go do tego stopnia, żeby zrobić coś takiego? Czy po tym wszystkim, co jej dał, nie żądając prawie niczego w zamian, nie należała mu się od niej choćby odrobina wdzięczności albo lojalności?

Na ulicy przenikliwy kwietniowy wiatr rozwiał mu włosy.

Do diabła! – zaklął pod nosem. Bennett uświadomił sobie, że zostawił kapelusz.

Mniejsza o to. Postanowił, że nazajutrz wyśle lokaja, aby przyniósł zapomniane nakrycie głowy... ale wcale nie musi. Miał przecież mnóstwo innych kapeluszy. Prędzej zaś pozwoliby się powiesić, niż przestąpiłby ponownie próg sal Almacka!

Starął się nie zwracać uwagi na obecność żony, ulżyło mu więc, gdy dość szybko pojawił się jego powóz, mimo że do świtu było niedaleko, a Almacka opuścili w dużym pośpiechu.

– Wracamy do Sterling House, milordzie? – zawołał do niego woźnica, nie schodząc z kozła.

Bennett zdawkowo skinął głową, a tymczasem lokaj pomógł wsiąść Caroline.

– Najpierw zatrzymaj się przy moim klubie, Samuelu. Tam dostaniesz dalsze instrukcje.

Zanim woźnica zdążył odpowiedzieć, Bennett wsunął się za żoną do pudła powozu.

Ledwie pojazd ruszył, z mrocznego kąta przeciwległego siedzenia dobiegł go głos Caroline:

– Posłuchaj, Bennett. Wiem, że jesteś tak samo jak ja wściekły i zażenowany z powodu tej odrażającej sceny, ale bez wątpienia wiesz, że nie miałam najmniejszego zamiaru całować pana Astleya.

Ta kobieta wyraźnie nie zdawała sobie sprawy z jego odczuć w tej kwestii, inaczej bowiem nie wystąpiłaby z tak nedorzecznym twierdzeniem. Bennett rozparł się wygodniej na siedzeniu i skrzyżował ramiona na piersi. Czyżby naprawdę Caroline chciała, by uwierzył jej, że nie zachęcała do tego pocałunku ani nie czerpała z niego przyjemności i że nie było przedtem wielu podobnych?

Przyprawiła mu rogi, i to samo w sobie było przykre, nie mógł jednak pozwolić, by w dodatku zrobiła z niego głupca!

– Chcesz powiedzieć, że wpadłaś w ramiona Astleya całkiem przypadkowo?

– Oczywiście, że nie. – W skruszonym tonie Caroline pojawiły się ślady rozdrażnienia. – Kiedy powiedziałam mu, że zabroniłeś mi utrzymywać z nim jakiegokolwiek kontakty, zaproponował, żebyśmy ukryli się w alkwie, to nas nie zobaczysz.

Wcześniej w drodze do Almacka Bennett z Caroline rzeczywiście zażarcie się kłócili, ale teraz wydawało się, że to było wieki temu. Sprowokowany przez ledwie maskowane aluzjami oskarżenia Astleya Bennett zakazał żonie jakichkolwiek kontaktów z tym nicponiem. Caroline wpadła we wściekłość i miała czelność zażądać wyjaśnienia, dlaczego ma ignorować mężczyznę, który w odróżnieniu od męża wydaje się zadowolony z jej towarzystwa. Zaczęła wychwalać jego błyskotliwość i przyjazne nastawienie, czym doprowadziła Bennetta do wrzenia. Gdy powóz podjechał pod sale Almacka, natychmiast wysiadła i weszła do środka, zostawiając męża bez jakiegokolwiek zapewnienia, że zamierza zastosować się do jego życzenia.

Czyżby miała aż tyle tupetu, by teraz wykorzystać to jego, uzasadnione przecież, żądanie jako wymówkę dla swojej nierozwagi? Bennett poczuł bolesne pulsowanie w skroniach, obawiał się, że zaraz pęknie mu głowa.

– Gdy tylko znaleźliśmy się w tej alkwie – ciągnęła Caroline – Astley zamknął mnie w uścisku i zaczął całować. Byłam tak zaskoczona, że w ogóle nie wiedziałam, co robić. Nigdy nic takiego mi się nie zdarzyło... przynajmniej nie w ostatnich czasach.

Te słowa Bennett odebrał jak policzek. Przypomniały mu pewien wieczór dawno temu, gdy pierwszy raz ją całował i domagał się, by go poślubiła. Caroline się nie sprzeciwiała i nie stawiała nawet udawanego oporu, lecz odwzajemniała pieszczoty z namiętnością, jakiej nie spodziewałby się po niewinnej młodej damie. Wtedy siła jej pożądanja nie wydawała mu się problemem, a wręcz przeciwnie. Teraz miał do siebie pretensje, że nie przewidział, do czego może to któregoś dnia doprowadzić.

- Czyli mówiąc, że ci przykro - wysyczał przez zaciśnięte zęby - wcale nie wyrażasz żalu z powodu tego, co się stało, lecz jedynie ubolewasz, że dałaś się złapać na gorącym uczynku.

- Nie! Jest mi oczywiście przykro, że doszło do takiego skandalicznego przedstawienia, które wprawilo nas oboje w zażenowanie. Jest mi jednak przykro również dlatego, że nie zachowałam się rozważniej i stosowniej.

Z każdym słowem jej tłumaczenia wydawały się bardziej wymuszone. Było jasne, że Caroline nie wierzy w to, co mówi. Jego niewierna żona miała na języku jedynie to, co jej zdaniem mogło ocalić ją przed ostateczną kompromitacją.

Bennett pokręcił głową.

- Dawno już nie słyszałem równie nieprawdopodobnej historii. Musisz mnie mieć za kompletnego głupka. Może zresztą sam wyrobiłem w tobie przekonanie, że łatwo mnie oszukać, bo nie domyślałem się twoich poprzednich zrad.

- Jakich poprzednich zrad? - spytała gniewnie. - Nigdy nie dopuściłam się cudzołóstwa z panem Astleyem, a tym bardziej z żadnym innym mężczyzną.

Z trudem oparł się pokusie, by jej uwierzyć. Odkąd przejrzał na oczy, tak wiele zdarzeń, które w swoim czasie wydawały mu się zupełnie niewinne, nabrało złowieszczonego znaczenia. Małżeństwo z Caroline dawno już straciło dla niego swój pierwotny czar. Teraz nie pragnął niczego innego, jak pozbyć się żony, która zhańbiła honor rodziny, nad którego przywróceniem ciężko pracował.

Zaśmiał się szorstko, ponuro.

- Raczej nie sądziłbym, że przyznasz się do czegoś takiego, chociaż prawda mogłaby wywołać odświeżającą zmianę.

- Przecież prawda jest właśnie taka! - Miała tupet, bo jeszcze udała obrażoną jego wątpliwościami. - Nie mogę zaprzeczyć, że inni mężczyźni darzą mnie podziwem, ale pierwszy raz się zdarzyło, że sprawy zaszły tak daleko.

Nie chciał prowadzić z nią tej rozmowy. Nie miało to żadnego celu, a tylko rozpałało uczucia, nad którymi z takim trudem próbował zapanować.

- Czy twoim zdaniem jakikolwiek adwokat biegły w sprawach matrymonialnych zechce w to uwierzyć po tym, co dziś wieczorem widziało i słyszało tylu świadków?

Na wzmiankę o adwokatach sądów kościelnych Caroline wyraźnie się zachnęła.

- Czy mówiłaś poważnie, grożąc panu Astleyowi, że wystąpisz o odszkodowanie?

Wyglądało na to, że wreszcie zaczynają do niej docierać wszystkie konsekwencje jej postępowania.

- Powinnaś już wiedzieć, że nie mam zwyczaju rzucać słów na wiatr. Nieszczerość jest atutem Fitz'a Astleya, nie moim.

Caroline nie zadała sobie trudu, by stanąć w obronie kochanka, bardziej troszczyła się w tej chwili o własne interesy.

- Nie możesz wystąpić o rozwód z powodu jednego niechcianego pocałunku

i oskarżeń łajdaka, który wykorzystał damę, aby odegrać się na swoim adwersarzu.

Czyżby nie zdawała sobie sprawy z tego, że mógł wyrządzić jej znacznie większą krzywdę, niż tylko się z nią rozwieść?

- Zapewniam cię, że parlament zatwierdził mnóstwo aktów rozwodowych w sprawach, w których dowody były znacznie mniej kompromitujące.

- To jest niesprawiedliwe! - krzyknęła, jakby była niewinną ofiarą czyichś zakusów.

- Świat nie jest sprawiedliwy! - zagrzemiał Bennett. - Wiedziałaśbyś to z własnych doświadczeń, gdybyś choć raz spojrzała dalej, niż sięga czubek twojego uroczego noska. Codziennie niewinne dzieci rodzą się w niewoli albo są sprzedawane w niewolę i odrywane od rodziców na rozkaz jakiegoś okrutnego pana. Czy masz pojęcie, jak bardzo mogłaś zaszkodzić ruchowi na rzecz zniesienia niewolnictwa przez swoje rozwiązłe, samowolne zachowanie? A może w ogóle cię to nie obchodzi?

- Oczywiście, że mnie obchodzi! Słyszałam o zniesieniu niewolnictwa jeszcze jako dziecko, kiedy siadywałam u pana Wilberforce'a na kolanach i żyłam otoczona tą ideą. W jaki jednak sposób mogłabym teraz zaszkodzić twojej sprawie?

Zirytowało go, że musi jej to wyjaśniać.

- Z wielkim trudem udało mi się uzyskać poparcie dla ustawy o zniesieniu niewolnictwa wśród członków Izby Lordów, która w przeszłości zawsze stanowiła przeszkodę nie do pokonania. Jak skuteczny będę twoim zdaniem jako rzecznik tej ustawy, jeśli rozejdzie się fama, że moja żona sypiała z głównym przeciwnikiem zniesienia niewolnictwa? Rogacza nikt nie szanuje.

- Nie jesteś żadnym rogaczem! Właśnie próbuję ci to wytłumaczyć, tylko że nie chcesz mnie słuchać.

Pochyliła się ku niemu, tak aby mógł ją zobaczyć wyraźniej w wątlym świetle mijających ulicznych latarni. Wyciągnęła ku niemu rękę.

Bennett oparł się pokusie, by wziąć ją w ramiona i pokazać, że ma do niej pełne prawo. Nie wolno było mu ulec. Zrezygnowana Caroline opuściła rękę.

- Jeśli się ze mną rozwiedziesz, to niewykluczone, że potem nigdy więcej nie zobaczę Wyna.

- Nie zobaczysz go nigdy więcej?

Jak śmiała teraz sięgać po ten argument? Zdradziła nie tylko jego, lecz i dziecko - całą rodzinę.

- O ile mi wiadomo, nie widzisz go zbyt często. Wpadasz do pokoju dziecięcego na godzinę lub dwie, żeby mieć trochę przyjemności. A kiedy już rozbrykasz chłopca ponad wszelką miarę, zostawiasz go pani McGregor, żeby nad nim zapanowała. Wynowi byłoby dużo lepiej bez matki, traktującej go jak zabawkę, którą można brać i odkładać pod wpływem kaprysu.

Zanim Caroline spróbowała odeprzeć te zarzuty, powóz zatrzymał się przed klubem Bennetta.

- Dlaczego się tu zatrzymaliśmy? - spytała płaczliwym tonem, na który Bennett z rozmysłem nie reagował.

Wcześniejsza kłótnia zdawała się wyciskać na niej swe piętno. W plamie światła z ulicznej latarni zobaczył jej nieokryte ramiona splecione na piersi i zauważył, że Caroline drży.

- Zamierzam tu dzisiaj przenocować - oznajmił i dodał: - Zostawiłaś swoją narzutkę.

- Zorientowałam się dopiero wtedy, gdy już byliśmy na zewnątrz, i nie odważyłam się wrócić, bo bałam się, że mnie zostawisz.

Bennett pomyślał z goryczą, że miałby święte prawo tak postąpić. Zbyt głęboko wierzył jednak w kodeks postępowania dżentelmena. Dlatego zdjął płaszcz i podał go żonie.

- Proszę.

Caroline wahała się tylko chwilę i zaraz okryła ramiona.

Bennett miał jej jeszcze jedno do zakomunikowania. Odkąd opuścili sale Almacka, dręczyło go pytanie, jak najlepiej rozwiązać tę koszmarną sytuację. Jeden krok był niezbędny.

- Jutro z samego rana musisz opuścić Londyn i pozostać na uboczu, póki nie przycichną najgorsze plotki.

Spodziewał się sprzeciwu, zaskoczyło go więc, gdy odpowiedziała:

- Dokąd mam jechać? Do Brighton? Do Bath?

- Wielki Boże, nie! Plotki zaraz tam dotrą, a równie szybko wróci wiadomość, gdzie można cię znaleźć. Musisz ukryć się w miejscu możliwie niedostępnym dla członków towarzystwa.

Rozważył kilka możliwości, ale wszystkie odrzucił. Nagle przyszedł mu do głowy znakomity pomysł.

- Wyspy Scilly. Mam tam dom na Tresco.

Od wielu lat ani razu nie pomyślał o tym miejscu. Teraz jednak uznał, że jest to wymarzone miejsce dla cudzołożnej żony.

Jak mogła być tak głupia i nieostrożna, żeby postawić pod znakiem zapytania wszystko, co się dla niej liczyło? Podczas gdy powóz toczył się po Kensington w stronę Sterling House, było jej zimno i cała się trzęsła, bardziej jednak z powodu wyrzutów sumienia niż chłodnej wilgoci kwietniowej nocy.

Nie była przecież debiutantką, która przyjechała do Londynu z prowincji na swój pierwszy sezon. Przez lata widziała dość skandali, by rozumieć, jak niestosowne jest wślizgiwanie się do odgradzonej zasłoną alkowy z mężczyzną, który nie jest mężem. Powinna była zawczasu pomyśleć, jak kompromitujące może się to wydać, gdyby zostali dostrzeżeni, nawet gdyby się nie całowali.

Przeklęty pocałunek! Wciąż trudno jej było pogodzić się z tym, że łajdak, który dopuścił się takiej poufałości, a potem bezwzględnie ją oczernił, wcześniej był czarującym dżentelmenem, prowadzącym błyskotliwą konwersację przy stole do gry w karty i z podziwem wodzącym za nią wzrokiem na parkiecie. Sądziła, że to tylko nieszkodliwy flirt, jak wiele innych, którymi cieszyła się w przeszłości, nie narażając przy tym reputacji.

Gdy rozwścieczony mąż zabronił jej utrzymywania kontaktów z Astleyem, który patrzył na nią w sposób, w jaki Bennett nie spojrzał od lat, jej poczucie krzywdy, narastające od dawna, stało się nieznośne. Nie mogła po prostu odwrócić się plecami do swojego adoratora bez słowa wyjaśnienia i przeprosin. Zupełnie nie spodziewała się, że gdy znajdą się w alkowie, nagle wpadnie w jego objęcia i poczuje napór jego

ust.

Przez chwilę była zbyt wstrząśnięta, by zareagować. Potem sparaliżowały ją niepewność i strach, podejrzewała bowiem, że sama swym zachowaniem zachęciła Astleya do zalotów. Gdy wreszcie nieco oprzytomniała i chciała się wyswobodzić, w pokoju karcianym nagle zapadła cisza i urzeczywistnił się najgorszy koszmar.

Czy Bennett naprawdę spełni swą groźbę i zażąda rozwodu? Do niedawna wydawał się całkiem obojętny na zainteresowanie, jakie okazywali jej inni. Kiedyś nawet usłyszała żarcik, że są nią oczarowani wszyscy mężczyźni z wyjątkiem jej własnego męża. Chociaż udała wtedy, że słowa te wydały jej się zabawne, doznała głębokiego upokorzenia. Jakie znaczenie ma dla zameężnej kobiety to, ilu mężczyzn jej pożąda, jeśli nie ma wśród nich męża?

W początkach ich małżeństwa chętnie witała Bennetta w swym łóżu i oszukiwała się, że przyjemność, jaką jej dawał, stanowi dowód miłości, której mąż nie potrafi wyrazić w inny sposób. Potem jednak musiała uznać brutalną prawdę, że jego namiętność nie jest niczym innym jak jedynie fizycznym pożądaniem. Bennett nigdy nie żywił do niej głębszego uczucia i nie było na to żadnej nadziei. W ostatnich latach nawet jego pożądanie stopniało. Caroline co noc leżała w boleśnie pustym łóżu i tęskniła za jego dotykiem.

A może Bennett wiedział, że Astley kłamie, ale postanowił skorzystać z okazji, by się jej pozbyć? Choć przejęta tą myślą Caroline poczuła się jeszcze bardziej urażona, przede wszystkim miała pretensje do siebie, że dała ku temu pretekst.

Niestety, Bennett miał rację co do jednego. To, co się wydarzyło, dawało mu wystarczający powód do rozwodu, choć Caroline nigdy nie popełniła cudzołóstwa. Podczas rozprawy ten jedyny nieobyczajny wyskok w jej życiu zostanie prawdopodobnie potraktowany jako dowód rozwiązłości. Kłamliwe przechwałki Astleya zyskają moc faktu, nawet jeśli potem je odwoła.

Życie, jakie dotąd знаła, skończy się dla niej nieodwracalnie.

Dla towarzystwa jej istnienie nie miało najmniejszego znaczenia. Zostałaby zesłana na najgłębszą prowincję i żyłaby za pieniądze, które Bennett zechciałby przydzielić jej na utrzymanie. Żadnej damie, która szanuje swoje dobre imię, nie pozwolono by zadawać się ze skandalistką. Najgorsze jednak, że nigdy więcej nie mogłaby zobaczyć swego synka.

Perspektywa utraty Wyna rozdzierała jej serce. Bennett zarzucił jej, że nie dba o dziecko, ale on niczego nie rozumiał.

Gdy tylko powóz zatrzymał się przed Sterling House, Caroline szybko weszła do środka i zdjęła płaszcz Bennetta. Czysty, męski zapach odzienia obudził w niej pragnienie, które od wielu lat próbowała w sobie stłumić.

Zajrzała do swoich pokojów i poleciała służącej, by rano spakowała kufer podróżny.

- Wyspy Scilly, milady? Po co, na miły Bóg, mamy tam jechać?

- Pomysł pana hrabiego, Parker - powiedziała Caroline z nadzieją, że tym wyjaśnieniem utnie dalsze pytania. - Musimy wyruszyć o świcie i nie wiem, jak długo nas nie będzie, więc weź się od razu do pracy.

- Dobrze, proszę pani.

Parker z nadąsaną miną oddaliła się spełnić polecenie.

Caroline pospieszyła do pokoju dziecięcego. Chociaż wróciła do domu znacznie wcześniej niż zwykle, Wyn już spał. Podeszła na palcach do jego łóżeczka i przysiadłszy na krawędzi, słuchała cichego, miarowego oddechu.

- Twój tata myśli, że o ciebie nie dbam - szepnęła tak, żeby chłopca nie zbudzić, chociaż miała nadzieję, że jednak usłyszy jej słowa i zrozumie. - A ja bardzo cię kocham i zawsze kochałam, odkąd tylko przyszedłeś na świat.

Najpierw pragnęła dziecka po to, by zadowolić męża i dowieść, że potrafi się wiązać z obowiązków żony. Gdy jednak w końcu zaszła w ciążę i poczuła, jak rośnie i porusza się w niej nowa istota, pokochała ją i zaczęła z niecierpliwością czekać na dni, kiedy będzie mogła otoczyć ją miłością i dać jej szczęście, jakiego jej samej przez większą część dzieciństwa brakowało.

Sprawy jednak potoczyły się inaczej, niż sobie wyobrażała.

- Nie było mi łatwo nosić cię w sobie. A potem byłeś taki niespokojny i w ogóle nie chciałeś jeść...

Caroline ciężko westchnęła, przypomniała sobie bowiem przenikliwy, wręcz gniewny płacz niemowlęcia i jego twarz okrytą czerwonymi plamami. Wciąż prześladowały ją wspomnienia oskarżycielskich spojrzeń doktorów, którzy kręcili głowami i konsultowali się przyciszonymi głosami. Czuła się jak bardzo zła matka, odrzucona przez własne dopiero co narodzone dziecko.

Chociaż Bennett tego nie mówił, wyczuwała, że jest rozczarowany jej brakiem zdolności w czymś tak prostym i naturalnym. Wtedy zatrudnił panią McGregor i mamkę, a ono pod ich opieką natychmiast zaczęło rozkwitać.

Rozrywki życia towarzyskiego i podziw, jakim ją otaczano, pomogły jej uporać się z poczuciem niepowodzenia. Często wracała bardzo późno, więc nazajutrz odsypiała przyjęcia i bale prawie do południa.

- Przychodziłam do ciebie tak często, jak tylko mogłam - szepnęła i poczuła ukłucie bólu na to wspomnienie. - Bałam się brać cię na ręce, żeby cię nie upuścić albo żebyś nie zaczął płakać.

Jego piastunka, szorstka Szkotka, która budziła w Caroline bezgraniczny lęk, jasno dała do zrozumienia, że nie życzy sobie zbyt częstych wizyt pani w pokoju dziecięcym i zakłócania rozkładu zajęć panicza. Caroline było wstyd, że pozwoliła wypchnąć się z życia swojego dziecka obcej osobie, zatrudnionej przez własnego męża.

Poprzysięgła sobie, że nie pozwoli kolejny raz odizolować się od własnego dziecka!

Wzbierał w niej coraz silniejszy gniew. Była wściekła na Bennetta, który uparcie nie chciał jej uwierzyć. Kiedy wyrzucił jej, że Wynowi byłoby lepiej bez takiej matki, zabolą ją to znacznie bardziej niż oskarżenia o niewierność. Była wściekła na prawo, które surowo karze za cudzołóstwo żonę, podczas gdy mężowi pozwala bezkarne utrzymywać tuzin kochanek. To samo niesprawiedliwe prawo orzekało, że dzieci, a zwłaszcza synowie, są własnością ojców. Panowała opinia, że rozwiedziona matka wywiera na nie szkodliwy moralnie wpływ, więc nie powinna wychowywać dzieci, które sama przecież urodziła. Najbardziej jednak Caroline była zła na siebie, bo nie zdawała sobie sprawy z tego, jak wiele mogą ją kosztować nieszkodliwe flirty i jedna chwila nieuwagi.

Właśnie wtedy jej synek poruszył się. Caroline przestraszyła się, że Wyn się zbudzi i przestraszy na jej widok. Chłopiec tymczasem przysunął się do niej i wydał pomruk zadowolenia. Caroline zrobiło się ciepło na duszy.

- Jeszcze nie jest za późno - powiedziała z przekonaniem zarówno do śpiącego chłopca, jak i do siebie. - Nie może być za późno. Zostanę taką matką, jaką zawsze chciałam być. - A po chwili zadumy dodała ledwie słyszalnym szeptem: - Przynajmniej na tyle, na ile twój ojciec mi na to pozwoli.

ROZDZIAŁ DRUGI

Bennett wrócił do domu dopiero wtedy, gdy uznał, że pora jest już dostatecznie późna, by Caroline znajdowała się w drodze do Kornwalii. Z przyjemnością myślał o tym, że pośni we własnym łóżku, bo przez całą noc ledwie zmrzył oczy.

Ilekcroć opuszczał powieki, wracało do niego nieznośne wspomnienie żony w ramionach znienawidzonego wroga. Dręczyli go również przyjaciele z ruchu na rzecz zniesienia niewolnictwa. Gdy tylko dotarła do nich wiadomość o skandalu, a stało się to lotem błyskawicy, tłumnie zeszli się do klubu, gotowi służyć radą. Wszyscy co do jednego spodziewali się, że wkrótce Astley zostanie zmieszany z błotem. Zgadzała się również, że absolutną koniecznością dla Bennetta jest jak najszybszy rozwód. Zapewnił ich, że o tym właśnie myśli, ale to wcale nie znaczyło, że nie miał wątpliwości.

Nie zastanawiał się nad jej winą. Był o niej przekonany mimo desperackich zapewnień Caroline. Od dawna wiedział, że jest namiętą kobietą. Przez pewien czas ta namiętność była nawet ratunkiem dla ich małżeństwa. Teraz stała się skałą, o którą ich związek w końcu musiał się rozbić.

A jednak widząc Caroline w ramionach innego mężczyzny, Bennett uświadomił sobie, jak bardzo mu brakuje ich bliskości. Kiedyś we wspólnych nocach znajdował ukojenie, gdy mógł choć przez moment zapomnieć, że musi sam nad wszystkim sprawować kontrolę, i oddać się w jej ręce... Kiedy później powracał myślami do tych namiętnych chwil, uznawał je za swoisty zawór bezpieczeństwa, dzięki któremu zachowywał równowagę i mógł pracować z pełną wydajnością.

Jednak po narodzinach ich wytęsknionego syna, kiedy wszystko, co wiązało się z ciążą i położeniem potoczyło się jak najgorzej, Bennett nie chciał ryzykować spłodzenia następnego dziecka. Zanim doszedł do wniosku, że można by się już nad tym zastanowić, tak oddalili się od siebie z żoną, że równie dobrze mógłby iść do łóżka z obcą kobietą.

Mimo że był upokorzony i rozwścieczony zdradą Caroline, nie potrafił sobie wmówić, że to wyłącznie ona odpowiada za niepowodzenie ich małżeństwa. On ponosił winę w tym samym stopniu, bo przecież przed ślubem nie dawał jej spokoju i zaciągnął ją do ołtarza, zanim ich wzajemne oczarowanie miało szansę osłabnąć. Gdyby nie pozwolił pożądaniu zapanować nad jego rozsądkiem, rozumiałby, że pod wieloma względami zanadto się z Caroline różni, by tworzyć zgodną parę poza sypialnią.

Zerknąwszy na okazałe wieżyczki Sterling House, widoczne za szpalerem starych wiązków, pomyślał z zadowoleniem o swym małym synu, którego wkrótce miał zobaczyć. Przede wszystkim właśnie przez Wyna zachował wątpliwości w kwestii rozwodu. Sam zebrał gorzkie doświadczenia, gdy dorastał w rozbitej rodzinie. Nie chciał, by stało się to również udziałem jego dziecka.

Wyn jednak nie tęsknił za Caroline, tak jak zdarzało się to niektórym innym dzieciom, gdy ich matka była nieobecna. Według pani McGregor jego elegancka żona przede wszystkim poświęcała czas odpoczynkowi po późnym powrocie do domu al-

bo przygotowaniom do kolejnego wydarzenia towarzyskiego. Te rzadkie chwile, które spędzała w pokoju dziecięcym, tylko rozbijały rozsądnie ułożony, zdrowy rozkład dnia. Co więcej, Caroline nieznośnie psuła chłopca podarunkami i słodyczami. Nic dziwnego, że w jej obecności stawał się zanadto rozbrykany.

A kiedy już miała dość zabawy i znużyła się obecnością Wyna albo kiedy malec stawał się kapryśny, po prostu oddawała go pod opiekę pani McGregor, która cierpliwie to wszystko znosiła.

Dopóki jednak chłopiec miał wierną piastunkę i jednego odpowiedzialnego rodzica, można było spokojnie patrzeć na jego zdrowy rozwój.

Oznaczało to dla Bennetta, że powinien jeszcze gorliwiej zaznaczać swoją obecność w życiu syna. Odkąd Wyn się urodził, pilnował, by odwiedzać dziecięcy pokój jak najczęściej i pytać, czy dobrze spał, czy jego apetyt jest zadowalający, czy jest w dobrym zdrowiu i humorze. Gdy malec nieco podrośł, Bennett zaczął mu czytać książki i zabierać na spacer po posiadłości. Jedno i drugie pani McGregor aprobowala całym sercem.

Tak naprawdę obawiał się teraz tylko jednego ojcowskiego obowiązku – konieczności wyjaśnienia wyjazdu Caroline. Należało to zrobić w taki sposób, by mógł zrozumieć, co się stało, a jednocześnie nie dowiedział się najgorszego. Chociaż Bennett nie miał pojęcia, w jaki sposób znajdzie właściwe słowa, wiedział, że kiedy spróbuje, same do niego przyjdą. Nie mógł skazać dziecka na niepokój, bo przecież w każdej chwili mogło usłyszeć strzępy plotek z ust służby. Bennett dobrze to znał z własnego doświadczenia.

Po przekroczeniu progu Sterling House natychmiast skierował się do pokoju dziecięcego, aby sprawdzić, czy u Wyna wszystko w porządku. Miał nadzieję, że Caroline nie była tak nierozważna, by narazić dziecko na długie i łzawe pożegnania.

Gdy wszedł do dużego, nasłonecznionego pokoju na drugim piętrze wschodniego skrzydła, panowała tam cisza przerywana jedynie cichym pobrzękiwaniem drutów od robótki i skrzypieniem bujanego fotela. Bennett omiół wzrokiem znajomą sylwetkę pani McGregor i dalej rozglądał się za synkiem.

– Gdzie Wyn? – spytał przyciszonym głosem na wypadek, gdyby dziecko spało. – To nie jest pora jego drzemki.

– Nie, milordzie. – Długie druty piastunki znieruchomiały. – Gdyby Wyn tu był, już by się zbudził, ale pojechał na wakacje z panią hrabiną. Czy milord miał nadzieję ich pożegnać, zanim wyruszą?

– Wakacje? – powtórzył Bennett, jakby pierwszy raz słyszał to słowo i próbował dociec jego znaczenia. – Jakie wakacje? Dokąd Caroline go zabrała?

Na twarzy piastunki pojawił się grymas oburzenia.

– Wydawało mi się to wyjątkowo niewłaściwe, ale milady twierdziła stanowczo, że postępuje zgodnie z instrukcją milorda.

Było prawdą, że polecił Caroline wyjechać. Nie dał jej jednak pozwolenia na zabranie Wyna, a tym bardziej nie kazał jej tego zrobić.

– Czy powiedziała, dokąd jada? Jak dawno wyruszyli?

– Z samego rana, milordzie. Nigdy nie widziałam, żeby milady tak wcześnie wstała... Powiedziała, że jada do domu milorda na wyspach Scilly.

Nagle Bennett poczuł się tak, jakby znalazł się na skraju przepaści. Wprawdzie

Caroline powiedziała McGregor, że jadą na wyspy Scilly, ale to wcale nie musiała być prawda. A jeśli uciekła z kochankiem i zabrali jego syna - na kontynent albo na tę przeklętą plantację Astleya w Indiach Zachodnich?

Dokądkolwiek pojechała Caroline, musiał ją wytropić i sprowadzić syna do domu, bo tu było jego miejsce.

Po pięciu dniach Wyn Maitland zaczynał coraz gorzej znosić podróż. Pociągnął lekko matkę za rękaw pelisy.

- Jak długo jeszcze będziemy jechać, mamo?

Zadawał to pytanie mniej więcej raz na dwa kilometry w ciągu prawie pięćsetkilometrowej drogi do Penzance, a odkąd wsiedli na statek zmierzający na wyspy, robił to jeszcze częściej. Caroline czuła, że coraz bardziej działa jej to na nerwy. Szorstka odpowiedź cisnęła jej się na usta, ale pewna myśl powstrzymywała ją przed reprimendą. Wyn wcale jej nie prosił, aby wzięła go w tę długą, monotonną i męczącą podróż. Zabrała go z jego przytulnego, bezpiecznego pokoju dziecięcego, przewiozła przez dzicz Kornwalii, a teraz żeglowali po morzu. Jeśli któreś z nich miało powód do pretensji, to właśnie jej syn, a nie ona.

- Już niedługo, kochanie.

- Mam nadzieję - zrzędlawie wtrąciła służąca, która siedziała na ławie naprzeciwko nich w ciasnej, słabo oświetlonej kabinie. - Kiedy wsiadaliśmy, powiedzieli nam, że przy dobrym wietrze to potrwa najwyżej osiem godzin. Ile już płyniemy?

- Prawie dwanaście - odpowiedziała z ciężkim westchnieniem Caroline. - Mam nadzieję, że służba będzie jeszcze na nogach, gdy dotrzemy do celu.

Tylko ta jedna myśl dodawała jej otuchy przez ostatnie dni, gdy przekonała się, jak trudno jest podróżować z małym dzieckiem i zajmować się nim cały czas. Ratowała się wizją przytulnego wiejskiego domu z przyjaźnie nastawioną służbą, która ich powita i się nimi zaopiekuje. Caroline zamierzała zacząć od filiżanki gorącej czekolady, którą wypije przy ogniu trzaskającym na kominku. A kiedy ułoży Wyna do snu, zmyje z siebie trudy podróży w gorącej kąpieli.

- Nic mnie nie obchodzi, czy już się położyli - burknął Albert, młody lokaj, który był ostatnim członkiem ich podróżującej czteroosobowej grupki. - Ktoś powinien dać mi maść na kostkę.

Przed kilkoma godzinami Albert upadł podczas gwałtownego przechyłu statku.

- Jestem pewna, że z przyjemnością ci pomogą. - Caroline chciała polepszyć nastrój nadąsanego lokaja. Nie ulegało wątpliwości, że i on, i Parker byli mocno niezadowoleni, że muszą towarzyszyć pani w tej podróży. W dodatku gdyby ich pobyt na wyspie zaczął się przeciągać, oboje służący mogliby ją opuścić. - Co z twoją kostką?

- Z godziny na godzinę gorzej, proszę pani - powiedział Albert z wyrzutem, jakby to ona była winna jego pechowi. - Spuchnięta i boli jak diabli.

- Jak długo jeszcze? - spytał znowu Wyn. - Tęsknię za Greggym. Dlaczego nie mogła z nami pojechać na te wakacje?

Caroline zadawała sobie to samo pytanie. O ile łatwiejsza byłaby ta podróż dla nich obojga, gdyby doświadczona piastunka Wyna mogła się nim zająć i odpowiadać na jego niezliczone pytania? Z drugiej strony obecność pani McGregor miałyby

również poważne wady. Jak Caroline spełniłaby swoje ambicje zostania lepszą matką, gdyby piastunka cały czas była w pobliżu, ciągle stawała między nią i dzieckiem i dyskretnie krytykowała wszystkie jej poczynania?

- Pani McGregor też od dawna należą się wakacje.

To była prawda. Caroline próbowała zagłuszyć coraz głośniejsze wyrzuty sumienia. Ta kobieta naprawdę zasłużyła sobie na wakacje, nawet jeśli o nie nie prosiła.

- A tata? - spytał Wyn. - Dlaczego z nami nie pojechał?

Ścisnęło jej się serce. Zastanawiała się, czy Wyn spytałby o nią choć raz, gdyby została usunięta z jego życia. A jeśli tak, to jak Bennett odpowiedziałby na takie pytanie? Czy w ogóle zadałby sobie trud znalezienia odpowiedzi?

- Tata na pewno bardzo chciałby z nami być. - Minęła się z prawdą, ale ponieważ zrobiła to w dobrej wierze, starała się, by jej słowa zabrzmiały szczerze. - Wiesz jednak, że jest bardzo zajęty w Izbie Lordów. Przygotowuje tam prawa, żeby w naszym kraju dobrze się działo.

To przynajmniej w części była prawda. W odróżnieniu od niektórych deputowanych hrabia traktował swoje obowiązki w parlamencie bardzo poważnie. Ponieważ nie należał na stałe do konkretnego stronnictwa, często zabierał decydujący głos lub pomagał w osiągnięciu kompromisu.

Była jednak pewna kwestia, w której Bennett nigdy nie zgodziłby się na kompromis, a mianowicie zniesienie niewolnictwa. I choć Caroline z wielką niechęcią myślała o jego braku zaufania do niej i groźbie rozwodu, to mimo woli darzyła go podziwem za uczciwość i poświęcenie słusznemu dziełu.

- Kiedy wreszcie dopłyniemy?

Na szczęście los oszczędził Caroline konieczności udzielenia odpowiedzi. Właśnie w tej chwili z pokładu dobiegł ich stłumiony okrzyk:

- Ziemia, ziemia!

Były to najbardziej upragnione słowa, jakie usłyszała od wielu tygodni.

- Bardzo niedługo, kochanie. Znowu staniemy na lądzie, ogrzejemy się i dostaniemy jeść. I jutro nie będziemy musieli nigdzie jechać.

Wyn wydał radosny okrzyk, a Parker z Albertem wymienili spojrzenia pełne ulgi.

Godzinę później znaleźli się na brzegu. Noc była ciemna, bezksiężycowa. Nie byłoby nawet tak bardzo zimno, gdyby nie wilgotny, przenikliwy wiatr, kłuszący chłodem.

- Dokąd pani się kieruje? - spytał młody człowiek, który przełożył ich bagaże na wózek ciągnięty przez kuca. - Do Dolphin Town? Do gospody w New Grimsby?

Jak duża jest ta wyspa? - zastanawiała się Caroline. Na globusie Scilly wyglądały jak kilka kamyków wkopanych do morza przez but Kornwalii.

- Chcemy się zatrzymać w domu należącym do hrabiego Sterling. Znasz to miejsce? Czy to daleko stąd?

Tonem głosu zaczynała przypominać Wyna.

- Słucham? - spytał właściciel wózka w taki sposób, jakby było mu przykro, że nie zrozumiał. - Nie ma żadnego hrabiego, który mieszkałby na Tresco.

- Ten hrabia wcale tu nie mieszka. - Caroline uciszyła Wyna, który tańczył wokół niej i zarzucał ją pytaniami. - Z pewnością nie było go tutaj przynajmniej od siedmiu

lat. Powiedział mi jednak, że jest właścicielem domu na tej wyspie.

- Tu mieszkają tylko miejscowi, proszę pani. Chyba że... ma pani na myśli stary dom Maitlandów?

Jej zamierający duch znowu odżył.

- Właśnie o niego mi chodzi! Bennett Maitland jest hrabią Sterling, a ja jego żoną. Jak długo jeszcze będzie mogła tak dumnie się przedstawiać?

- Daleko do tego domu? - spytała. - Możesz nas tam zabrać?

- To dwa kroki, proszę pani. O tam - powiedział, wymierzając palec w ciemność.

Caroline wyteńczyła wzrok, wypatrując świateł w oknach, ale niczego nie dostrzegła.

- Czy wynajmę gdzieś powóz, który nas tam zawiezie?

- Przykro mi, proszę pani, ale tu jest tylko mój wózek i Steren. - Młody człowiek poklepał kuca po zadzie. - Pani i chłopiec możecie usiąść, jeśli zmieścicie się między bagażami.

Wyn podbiegł do wózka i młody człowiek go podsadził. Caroline chciała się wspiąć śladem syna, gdy kaszlnięcie zwróciło jej uwagę na Alberta. Nawet jeśli do domu były zaledwie dwa kroki, lokaj nie miał szans tam dokuśtykać. Jedno spojrzenie na przepełniony wózek wystarczyło Caroline, by zrozumieć, że znajdzie się tam miejsce najwyżej dla jeszcze jednej osoby.

- Wsiadaj - powiedziała z wymownym gestem do lokaja. - W taki wieczór nie chcę być na dworze dłużej, niż to konieczne.

Wkrótce ruszyli w drogę. Caroline nigdy nie sądziła, że doczeka dnia, gdy będzie szła piechotą po to, by mógł jechać służący. Przynajmniej jednak wysiłek trochę ją rozgrzał, a podmuchy słonego wiatru pomogły jej zapanować nad mdłościami, które męczyły ją przez całą przeprawę.

Co najgorsze, nie mogła pozbyć się wyrzutów sumienia, jakie cierpiała z powodu Wyna, którego zmusiła do tej okropnej podróży. Gdyby miała więcej czasu i mogła przewidzieć konsekwencje swojego postępowania, być może nawet zostawiłaby go pod kompetentną opieką pani McGregor. Jednak lęk, że nigdy więcej nie zobaczy swojego dziecka, i pragnienie sprawdzenia się w roli troskliwej matki wzięły górę nad wszelkimi innymi względami.

- W porządku, Wyn? - zawołała.

- Tak, mam. - Chłopiec zważywszy na okoliczności, wydawał się całkiem zadowolony. - Dotąd nie wolno mi było wychodzić z domu po zmroku i nigdy nie jeździłem na takim wózku. Ale przygoda!

Parker mruknęła pod nosem coś, czego Caroline nie zrozumiała.

- Jesteśmy - oznajmił wyspiarz i zatrzymał wózek. - To jest dom Maitlandów.

- Chyba zaszło nieporozumienie. - Caroline zmierzyła wzrokiem wiejski dom z kamienia widoczny w przygasającym niekiedy na wietrze świetle pochodni. Budowla nie była większa niż stróżówka w Sterling House. Przez szczelnie zamknięte okiennice nie przenikał nawet najwątleszy promyczek światła. - Ten dom wygląda na opuszczony. Czy nie mieszkają w nim jego opiekunowie?

- Od dziesięciu lat już nie, proszę pani. - Ta uprzejma odpowiedź zniweczyła wszelkie nadzieje Caroline. - Mag i Jack Harris zajmowali się tym domem dla damy, która była właścicielką, ale po śmierci Jacka ciotka Mag zamieszkała u swojej córki

na Bryher. Od tej pory dom stoi zamknięty.

- Czy ktoś ma klucz? - Bliska rozpaczy Caroline usłyszała, że jej głos staje się niebezpiecznie piskliwy. - Chcielibyśmy przynajmniej schronić się przed wiatrem.

- Zamki i klucze na Tresco są niepotrzebne, proszę pani - zapewnił ją właściciel wózka. - Obcy uważają, że wszyscy jesteśmy przemytnikami, ale tutejsi mieszkańcy są uczciwi, a jest nas tak niedużo, że zaraz wiedzielibyśmy, gdyby ktoś przywłaszczył sobie coś, co do niego nie należy.

Dla dowiedzenia słuszności swoich słów podniósł rygiel i otworzył drzwi. Zawiasy boleśnie zaskrzypiały.

Wyn szybko zeskoczył z wózka i razem z matką wszedł do domu za przewodnikiem, który oświetlał drogę pochodnią. Gdy Caroline rozejrzała się z niepokojem po salonie, jej wizja ognia na kominku, czekolady i gorącej kąpeli rozviała się. Cały pokój zasłany był warstwą kurzu. W kątach przy suficie wisiały imponujące pajęczyny. Na podłodze leżały dziesiątki martwych owadów.

- A ten zapach to skąd? - spytała Parker, wachlując się dłonią. - Czy ktoś tutaj podłożył ogień pod wiadro gnijących ryb?

- Och nie. - Właściciel wózka wciągnął powietrze nozdrzami. - To są pozostałości dymu po paleniu wodorostów latem. Widocznie zapach napłynął już dawno, ale nikt tu porządnie nie wywietrzył.

W tej chwili Caroline dałaby wszystko, żeby znaleźć się z powrotem w Sterling House, nawet w części przeznaczonej dla służby. Gdyby nie było z nią Wyna, pewnie osunęłaby się bezsilnie na podłogę i zaczęła szlochać z rozpaczy. A tak musiała zmobilizować wszystkie siły, by zachować opanowanie.

- Nie możemy tu dzisiaj nocować - powiedziała, kręcąc głową. - Najpierw wszystko trzeba przewietrzyć i posprzątać.

- Ja tego nie zrobię - powiedziała Parker, krzyżując ramiona na piersi. - Jestem pokojówką damy, a nie pomywaczką. Prędzej wrócę wpływ do Penzance, niż to wszystko wyszoruję.

Caroline była zbyt zmęczona i zmarznięta, by wdawać się w spory. Spojrzała błagalnie na właściciela wózka.

- Czy gdzieś tu możemy znaleźć dzisiaj nocleg? Mówiłeś, zdaje się, że na Tresco jest gospoda?

- Tak, proszę pani. Na drugim końcu wyspy.

Parker i Albert jęknęli.

- Możemy tam być za pół godziny, jeśli będziemy szybko szli - dodał chłopak.

Chociaż Caroline ucieszyła się z wiadomości, że do gospody jest niedaleko, to jednocześnie przeraziła ją myśl, jak mała musi być ta wyspa, skoro tak szybko można przejść z jednego jej końca na drugi. Tresco będzie dla niej wiejskim więzieniem. Trudno o większy kontrast z luksusowym, zajmującym życiem, jakie prowadziła w Londynie.

Jak długo będę zmuszona tutaj mieszkać? - pytała się w duchu, gdy ich niewielka grupa wędrowała powoli do gospody w zimny, wietrzny wieczór. Czy dopóki nie ucichną plotki o niej i Fitzu Astleyu?

A może będzie tkwiła tutaj już do końca życia, kiedy Bennett się z nią rozwiedzie?

Gdy wreszcie dotarli na miejsce, wynajęła pokoje na noc, zamówiła skromną kolację i położyła Wyna do łóżka. Gdy malec zasnął, wykradła się na palcach z pokoju. W wąskim korytarzu spotkała żonę gospodarza, drobną, schludną kobietę z rumianą twarzą i ciemnobrązowymi włosami, siwiejącymi przy skroniach.

- Czy milady jest chora? - spytała życzliwym tonem kobieta. - Proszę powiedzieć, co milady dolega, a spróbuję zaparzyć zioła, które pomogą.

- Nie jestem chora, pani Pender, tylko zmęczona. - Caroline uśmiechnęła się nieznacznie. - Jechaliśmy z Londynu, a w dodatku nie spałam dobrze.

- Rozumiem - powiedziała pani Pender. - Skoro to nic gorszego, kubek herbaty rumiankowej powinien pani dobrze zrobić. Czy milady zechce usiąść ze mną w prywatnym salonie?

Caroline przez moment się wahała. Co powiedziałyby jej przyjaciółki w Londynie, gdyby wiedziały, że przyszło jej dotrzymać towarzystwa żonie karczmarza? Niektóre uważałyby, że to gorsze niż dać się złapać na gorącym uczynku u Almacka z panem Astleyem.

Była jednak bardzo daleko od Londynu. Caroline mocno zresztą wątpiła, by którakolwiek z przyjaciółek zechciała przyjąć w odwiedziny do Stirling House w najbliższym czasie. Skandal zdawały się traktować jak zakaźną chorobę, którą można się zarazić.

Owa kobieta była pierwszą osobą, która okazała jej życzliwość od czasu tego straszego wieczoru, gdy nagle zawalił się cały jej świat. Aż do tej pory Caroline nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo brakuje jej miłego towarzystwa.

- Bardzo jest pani uprzejma. - Mimo zmęczenia Caroline zdobyła się na szczery uśmiech. - Wydaje mi się, że nigdy nie piłam rumiankowej herbaty.

- Jest bardzo smaczna, milady. - Pani Pender ruszyła schodami na dół, a Caroline poszła za nią. - Ma delikatny aromat i uspokaja umysł, więc pomaga w zasypianiu. Zrywam kwiaty na początku lata na łąkach otaczających Wielki Staw.

Czyżby na tej wyspie były łąki, na których kwitną dziko rosnące kwiaty? Caroline trudno było w to uwierzyć po pierwszym wrażeniu, jakie wywarł na niej nieprzyjazny krajobraz Tresco.

- To dla nas zaszczyt gościć tu panią i jej syna, milady. - Gospodyni ruchem dłoni zaprosiła Caroline do niewielkiego, przytulnego salonu, potem wezwała służącą, by przyniosła gorącą wodę z kuchni. - Cieszę się, że po tylu latach w domu Maitlandów znowu zamieszka rodzina. Pamiętam, że pani mąż przyjeżdżał tutaj z matką, kiedy był mniej więcej w wieku panicza.

- Naprawdę? - Caroline usiadła na fotelu przy kominku i zaczęła się rozkoszować ciepłem ognia. - Nie miałam o tym pojęcia.

- Tak było, proszę pani. - Gospodyni promieniała. - Ciocia dla nich gotowała, a ja pomagałam, kiedy chodzili na spacer. Hrabina była wyjątkowo życzliwą damą, a panicz Bennett... chcę powiedzieć jego lordowska mość... był kropka w kropkę, taki jak teraz pani syn.

- Czyżby? - Bennett nigdy nie mówił o swojej matce, więc Caroline założyła, że umarła, gdy był jeszcze bardzo mały. Dlaczego pomijał jej istnienie całkowitym milczeniem? - Czy mój mąż był blisko ze swoją matką?

- Był dla niej całym światem. Ciągle brała go na spacer i pikniki. Kiedy psuła się

pogoda, grała z nim w karty i bez końca mu czytała.

Wszystko to Caroline chciała robić z Wynem. Najpierw jednak musiała dopilnować uprzątnięcia tego opustoszałego domu, tak aby nadawał się do zamieszkania.

- Jakiego rodzaju kobietą była matka mojego męża? Nie miałam przyjemności jej poznać.

Caroline nie była pewna, czy pani Pender nie uzna za dziwne, że Bennett nie opowiedział żonie o swojej matce.

- Hm... - Gospodyni się zamyśliła. - Pamiętam, że zawsze bardzo uprzejmie odnosiła się do ludzi, bez względu na ich pozycję.

Caroline zastanawiała się, czy miało to wpływ na jego obecne poglądy polityczne. Jego troska o ludzi pozbawionych wolności osobistej i pracującą biedotę była do prawdy godna podziwu.

- Była śliczna jak z obrazka - ciągnęła pani Pender - chociaż biedaczka nigdy nie miała dużo sił. Ze względu na klimat zawsze przyjeżdżała tutaj jesienią, kiedy jej mąż polował.

Służąca wróciła z czajniczką, filiżankami i dymiącym garnkiem. Caroline przyglądała się, jak pani Pender przygotowuje herbatę.

Podczas gdy napar naciągał, Caroline postanowiła zaspokoić ciekawość, zadając kolejne pytania.

- Przypuszczam, że minęło już sporo czasu, odkąd mój mąż z matką ostatni raz odwiedzili wyspę.

- Jejku, milady, mnóstwo! Chyba ze dwa wieki.

- Pewnie wtedy jego matka umarła - mruknęła pod nosem Caroline.

Pani Pender, która właśnie uniosła czajniczek, znieruchomiała.

- Nie, milady. Ona tu jeszcze raz wróciła kilka lat później, ale już bez niego. Nie na długo, tylko na kilka dni, żeby spakować rzeczy z domu i je wywieźć.

Kobieta wyglądała tak, jakby chciała dodać coś jeszcze, ale nagle się rozmyśliła. Zaczęła z przesadną energią krzątać się przy herbacie, którą nalewała przez nieduże sitko.

- Niech pani nie przerywa. - Biorąc filiżankę, Caroline uważnie przyjrzała się gospodyni. - Proszę mówić dalej.

Kobieta zbyła to życzenie machnięciem ręki.

- Nie lubię plotkować, proszę pani, a zwłaszcza o milady. Ona zawsze była dla mnie dobra.

Ta wymijająca odpowiedź tylko podsyciła zaciekawienie Caroline. Jakiego rodzaju plotki na temat matki Bennetta mogła znać karczmarzka z wyspy?

Caroline wzięła łyk herbaty rumiankowej. Miała przyjemny i słodkawy smak. Aromat rzeczywiście zdawał się działać kojąco.

- Doceniam pani dyskrecję, pani Pender, i to że nie chce pani opowiadać obcym o prywatnych sprawach mojej rodziny. Jestem jednak jej członkiem, może zrobiłaby pani dla mnie wyjątek?

Gospodyni popijała w milczeniu swoją herbatę. Wyraźnie zastanawiała się nad prośbą Caroline.

- To chyba nic wielkiego, proszę pani. Po prostu kiedy milady przyjechała tutaj ostatni raz, towarzyszył jej dżentelmen. Przystojny i bardzo przyjemny. Nie przypo-

minam sobie, jak się nazywał, ale... to nie był jej mąż.

Ostatnie słowa pani Pender wypowiedziała konspiracyjnym szeptem.

Caroline omal nie zakrztusiła się herbatą. Czyżby rodzice Bennetta się rozwiedli? On nigdy nie opowiadał o rodzicach. Czy właśnie z tego powodu? Wstydził się rodzinnego skandalu?

- Może to był jakiś krewny milady - podsunęła Caroline. - Brat albo kuzyn.

- Mógł być, proszę pani - powiedziała pani Pender z wyraźnym powątpiewaniem.

Caroline zamyśliła się. Jeśli Bennett wstydził się rozwodu swoich rodziców, to dlaczego nie bał się naznaczyć syna tym samym piętnem?

ROZDZIAŁ TRZECI

Uciekając z Wynem, Caroline pomogła Bennettowi pozbyć się ostatnich wątpliwości w kwestii rozwodu. Ścigał ich niestrudzenie przez całą drogę z Londynu i z pewnością dopadłby ich w Penzance, gdyby nie okulał mu koń. Następnego popołudnia, gdy dopływał do brzegów Tresco, obawiał się, że nie znajdzie tam już ani śladu Caroline i syna, ponieważ Astley wywiózł ich za granicę.

Idąc energicznym krokiem w strugach deszczu od nabrzeża w Old Grimsby, miał wrażenie, że nagle cofnął się w czasie. Wyspa wyglądała tak, jak dwadzieścia lat temu, od kamiennych chat krytych strzechą po beczkowsy do transportu wody z Wielkiego Stawu.

Ostrożnie uniósł rygiel i z pewnym ociąganiem otworzył drzwi. Salon okazał się pusty, meble wciąż kryły się w wielkich pokrowcach. Pokój wydawał się znacznie mniejszy niż w jego wspomnieniach. Na podłodze leżała warstwa kurzu, sadzy i martwych much. Czyżby nikt się tym miejscem nie zajmował? A może po tylu latach po prostu przestano się przejmować. Może miejscowi oczekiwali wiadomości przed przyjazdem właściciela, aby zadać sobie trud uprzątnięcia. Jedyne, co świadczyło o czyjejs obecności, to świeże odciski stóp na podłodze.

Czyżby Caroline przyjechała tutaj, tak jak jej przykazał, i zaraz uciekła z obrzydzeniem? Nie był przekonany o tym, że mógłby mieć do niej pretensje, gdyby tak zrobiła.

Niemile zapachy snuły się od strony kuchni, ale to ciche odgłosy z góry kazały Bennettowi wejść na schody. Kierując się do źródła dźwięków, zajrzał do sypialni, którą podczas wakacji dawno temu zajmowała jego matka. Widok, jaki ukazał się jego oczom, całkiem zbił go z tropu.

Caroline na czworakach energicznie szorowała podłogę. Chociaż była odwrócona do niego tyłem, poznał jej złociste loki i ubranie. Suknia była o wiele zbyt ozdobna dla służącej wykonującej taką pracę, mimo że w garderobie Caroline należała do najskromniejszych.

Czyżby jego elegancka hrabina zniżyła się do wykonywania zwykłej pracy? Gdyby nie zobaczył tego na własne oczy, nie uwierzyłby, że jest to możliwe.

Przyglądając się Caroline, mimo woli zatrzymał spojrzenie na jej kształtnych pośladkach. Uniesione i przykryte jedynie cienkimi warstwami płótna i muślinu kołysały się w urzekającym rytmie. Wyobrazil je sobie nagie i jego ciało natychmiast zareagowało. Miał ochotę rzucić żonę na to zatechłe łoże i dać upust wszystkim sprzecznym uczuciom, które nim targały.

Mimowolnie jęknął. Caroline odwróciła się gwałtownie. Na jego widok krzyknęła przeraźliwie, jakby ukazał jej się duch. Chciała wstać, ale przewróciła wiadro z mydlinami. Odskoczyła i uderzyła głową w obniżający się w tym miejscu sufit.

– Popatrz, co przez ciebie zrobiłam! – Potarła głowę. – Co ty sobie wyobrażasz, że tak się podkradasz?

Jej wściekłe spojrzenie i oskarżycielski ton kazały mu zapomnieć o współczuciu, które obudził w nim widok jej mozołu.

- A ty co sobie wyobrażałaś, wykradając z Londynu mojego syna? Nie dałem ci na to pozwolenia!

- Ale też mi tego nie zabroniłaś! - Pochyliła się, by podnieść wiadro. - Tylko w ten sposób mogłam spędzić jeszcze trochę czasu ze swoim dzieckiem.

- Zabroniłbym - burknął - gdybyś tylko była łaskawa wspomnieć o swoim zamiarze. Tymczasem pozostało mi odkryć, że wyjechałaś z nim bez mojej wiedzy i zgody. Sądziłem, że zamierzasz uciec za granicę z Wynem i swoim... kochankiem.

Jej oczy w kolorze morskiej wody przybrały sztormowy odcień.

- Nie mam kochanka. I nigdy nie rozdzieliłabym cię z Wynem. To ty zamierzasz pozbawić nasze dziecko jednego z rodziców, skoro grozisz mi rozwodem.

Gdyby cisnęła szczotką i trafiła Bennetta w głowę, nie zabolaloby go to bardziej niż oskarżenie, które zdawało się echem głosu jego sumienia. Przez siedem lat małżeństwa jeszcze nigdy nie kłócili się z tak otwartą wrogością. Ich ulubioną bronią było dotąd lodowate milczenie, przerywane okazjonalnymi przytykami.

- A skąd mogłem wiedzieć, że nie jesteś zdolna do uprowadzenia mojego syna? - spytał z gryzącym sarkazmem. - Może powinienem był to wywnioskować z twojego niestosownego zachowania, do jakiego niedawno się zniżyłaś? I to z Astleyem! Ten wybór nie świadczy dobrze o twojej umiejętności dokonywania wyborów.

- Dlaczego nie chcesz uwierzyć, że między mną a Astleyem nie zaszło nic gorszego niż to, co sam na własne oczy miałeś okazję widzieć u Almacka? - spytała stanowczo. - Czy dlatego, że tak ci jest wygodnie? Może od dawna czekałaś na taką okazję, potrzebowałaś pretekstu, żeby się mnie pozbyć, skoro wypełniłam już swoje zadanie i dałam ci dziedzica?

Czyżby naprawdę uważała, że od dawna chce się z nią rozwieść? A może próbuje jedynie odwrócić uwagę od swojego haniebnego zachowania? Tak czy inaczej w prostej sukience, z rumieńcem wysiłku na twarzy i potarganymi włosami Caroline wcale nie wyglądała jak perła towarzystwa. Była zwyczajną, lecz bardzo zmysłową kobietą, która pociągała go pod każdym względem. Nie mógł pozwolić, by się domyśliła, jaką ma nad nim władzę.

Zamiast odpowiedzieć na jej absurdalne oskarżenie, zmienił temat.

- Ale, ale... Skoro mowa o dziedzicu, to gdzie jest Wyn? I czemu sama myjesz podłogę? Nie sądziłem, że wiesz, jak to się robi.

- To nie jest greka ani wyższa matematyka. Od dziecka przyglądałam się służbie, która myje podłogi. - Caroline odsunęła zabłąkany kosmyk włosów z twarzy. - Wyn jest z Albertem w gospodzie, a ja próbowałam doprowadzić ten pokój do stanu jakiegokolwiek używalności. Nie było to łatwe, zważywszy na to, że nikt nie sprzątał tu od lat. A teraz wygląda to jeszcze gorzej niż przedtem...

Spoglądając na zalaną podłogę, pokręciła głową i ciężko westchnęła. Wyglądała na tak załamana, że Bennett nie umiał obronić się przed wstydem.

- Nie miałem pojęcia, że zastaniesz dom w takim stanie. Sądziłem, że wciąż ktoś się nim zajmuje...

Caroline przesłała mu spojrzenie pełne niedowierzania. Czyżby sądziła, że celowo wysłał ją do opuszczonego domu? Inna sprawa, uznał, że trochę uczciwej pracy jej nie zaszkodzi.

- Dlaczego to ty szorujesz podłogę, a Albert bawi się w niańkę? - nie ustępował.

- Ponieważ Albert w tej chwili nie nadaje się do niczego innego - odparła i opowiedziała, co się stało z nogą lokaja. - Parker stanowczo odmówiła szorowania podłóg, a ja nie chciałam na nią naciskać, żeby mnie nie zostawiła i nie odplynęła najbliższym statkiem. Zgodziła się robić zakupy i gotować, co wymaga więcej umiejętności niż sprzątanie.

Sądząc po zapachach dolatujących z kuchni, Bennett wątpił w kucharskie umiejętności Parker.

- Dlaczego nie chcesz pomieszkać jeszcze przez kilka dni w gospodzie i nie najmiesz do sprzątania miejscowych kobiet?

Caroline pomasowała sobie krzyż.

- Większość pieniędzy, które ze sobą wzięłam, wydałam na podróż. Ponieważ nie wiedziałam, kiedy mogę liczyć na następne, byłam zmuszona do przezorności. Cztery osoby mieszkające w gospodzie i jedzące tam posiłki szybko powiększają wydatki.

W innych okolicznościach wykład ekonomii wygłoszony przez żonę wydałby mu się zabawny. Wydatki w gospodzie, których tak się obawiała, nie zrównoważyłyby nawet kosztu jednej jej sukni czy wymyślnego wachlarza, który kupiła dla kaprysu nie dalej jak w zeszłym tygodniu.

Mimo wszystko Bennett miał wyrzuty sumienia, że wysłał Caroline tak daleko, nie sprawdzwszy najpierw, czy żona ma dość pieniędzy na zaspokojenie swoich potrzeb.

- A zatem już jestem i przywiozłem mnóstwo pieniędzy. Możesz zostać w gospodzie, póki dom nie będzie nadawał się do zamieszkania. Zanim wyjadę, najmę kilkoro miejscowych, żeby nie brakowało ci służby.

Miał nadzieję, że dzięki temu będzie mógł bez poczucia winy wrócić do Londynu, tym bardziej że wyspa była w tych okolicznościach zdecydowanie najlepszym miejscem dla Caroline.

- Jak szybko zamierzasz stąd wyjechać? - W pytaniu Caroline zawierała się niewypowiedziana prośba.

Bennett postanowił być twardy.

- Jutro. Łódź, którą wynająłem w Penzance, stoi na kotwicy w zatoce. Muszę wracać do parlamentu.

Miał wielkie oczekiwania wobec lorda Liverpoola, odkąd ten wypowiedział się za zniesieniem niewolnictwa na Kongresie Wiedeńskim. Ostatnio jednak jako minister wydawał się bardziej skłonny do pozbawiania zwykłych obywateli swobód niż do dawania wolności zniewolonym.

- Przypuszczam, że po powrocie do Londynu będziesz bardzo zajęty pracą.

- Oczywiście.

Co, u diabła, obchodziła ją jego praca?

- Dlaczego więc nie miałbyś pozwolić, żeby Wyn został tutaj ze mną? Nie będziesz miał dla niego czasu, a ja znajdę go mnóstwo. Poza tym dopiero tu dotarliśmy po długiej podróży. Dla dziecka z pewnością nie byłoby dobrze, gdyby musiało tak szybko wyruszyć z powrotem.

- Może powinnaś była pomyśleć o tym, kiedy pod fałszywym pretekstem wyciągnę-

łaś małego z dziecięcego pokoju.

- Nie sądziłam, że przyjedziesz tak szybko. - Błagalny ton Caroline zmienił się w gniewny. - Niebawem nas na zawsze rozdzielisz. Chyba nie proszę o zbyt wiele? Czy bardziej zależy ci na wymierzeniu mi kary niż na uczuciach dziecka?

Ten zarzut doprowadził Bennetta do wściekłości.

- Od kiedy troszczysz się o syna lub cokolwiek innego, co ma z nim związek? Jestem pewien, że gdyby na tej wyspie były jakiegokolwiek rozrywki, z przyjemnością pozbyłabyś się dziecka. Mój syn nie jest zabawką, po którą możesz sięgać, kiedy ci się nudzi. Macierzyństwo nie jest zabawą!

- Jak śmiesz kwestionować szczerłość moich uczuć? - wykrzyknęła. - Nigdy nie widziałam, żebyś sam okazał mu choć najmniejszy ślad uczucia.

- On jest dla mnie bardzo ważny! - Bennett podniósł głos, aby zagłuszyć zdradzieckie wątpliwości. Kochał Wyna, nie był jednak pewien, czy to okazywał. - Od jego narodzin opiekuję się nim i dbam, żeby miał wszystko, czego potrzebuje, by czuł się bezpiecznie... i był zadowolony. Rzuciłem wszystko i przyjechałem po niego... To więcej niż twoje puste gesty.

Caroline się wzdrygnęła.

- Może rzeczywiście czasem z przesadą demonstruję uczucia, ale chcę mu zrekompensować twój chłód. Wiem, że nie byłam tak stała i troskliwa, jak powinna być matka, ale właśnie dlatego wzięłam Wyna z sobą, aby nadrobić czas. Proszę, pozwól mi go zatrzymać trochę dłużej.

- Dlaczego miałbym się zgodzić? Jeśli przywiążesz go do siebie, będzie zdruzgotany rozwodem.

- Zdruzgotany? Czy właśnie tak się czuleś, kiedy twój ojciec rozwiódł się z matką? Jak wiele Caroline wiedziała o jego rodzinie? Z pewnością nie znała wszystkich ohydnych szczegółów. Jednak jej domysł trafił stanowczo zbyt blisko celu.

- Kto ci opowiedział o małżeństwie moich rodziców? - zapytał.

- Jakie to ma znaczenie? - odparła. - Nie sądzisz, że powinnam była usłyszeć to od ciebie, i to już dawno temu?

Rozmawiać o tak bolesnej i osobistej sprawie? - zadał sobie pytanie w duchu. Nigdy nie przyszło mu to do głowy, a już na pewno nie wtedy, gdy ich małżeństwo zaczęło się psuć, podobnie jak kiedyś związek jego rodziców.

- Jaki to miałoby sens? Stara historia, a do tego nie dotyczy ciebie.

- Mnie się wydaje, że jednak dotyczy, zwłaszcza kiedy postanowiłeś rozdzielić mnie z Wynem tak samo, jak ciebie rozdzielono z matką, gdy ojciec się z nią rozwiódł.

Tymi słowami rozdrapała jego dawną ranę, która nigdy dobrze się nie zabiłiła.

- Nikt nie rozdzielił mnie z matką! Ona sama mnie opuściła... dla swojego kochanka, chociaż zapewniała wcześniej, że jestem dla niej ważny. Nie możesz się zatem dziwić mojej stanowczości.

To wyznanie rozwiało nadzieje Caroline. Spuściła wzrok. Bennett zamyślił się. Czyżby rzeczywiście popełnił błąd? Może gdyby opowiedział jej o matce, nie postąpiłaby równie nikczemnie?

Nie zamierzał dodać już ani słowa na temat swojej przeszłości. Puszka Pandory została jednak otwarta.

Matka Bennetta porzuciła syna, by uciec z innym mężczyzną? Caroline miała chaos w głowie, czuła się rozdarta. Współczuła mężowi jego przeżyć z dzieciństwa, lecz z drugiej strony była oburzona, że posądził ją o powtarzanie błędów swojej matki.

Jak kobieta mogła opuścić dziecko i skazać je na taki wstyd? Jej własne małżeństwo nie było w ostatnich latach szczęśliwe, a mimo to nie rozważała nawet wzięcia sobie kochanka, nie mówiąc o wspólnej ucieczce. Kochała tylko jednego mężczyznę, własnego męża.

Nagły przyjazd Bennetta bardzo ją zaskoczył. Jakby ujrzała kogoś, kogo ledwo znała. Bardzo zmężniał od czasu, gdy była panną, a on odwiedzał jej ojca. Kiedyś chudy i nieco nieśmiały, teraz miał postawną sylwetkę. W wyrazistych rysach znać było dojrzałość. Obfite czarne brwi, które kiedyś nadawały jego twarzy niemal komiczny wyraz, teraz sprawiały, że wyglądał intrygująco.

Nie zmieniły się za to ciemne oczy o bystrym spojrzeniu. Wciąż błyszczały inteligencją, jednak nie sposób było przeniknąć ich głębi. Caroline nigdy nie umiała odgadnąć myśli męża.

Tego dnia jednak Bennett mówił wyjątkowo otwarcie.

- Dla twojej informacji dodam, że ojciec nie rozwiódł się z moją matką. Bez wątplenia na to liczyła, bo wtedy zachowałyby resztki zszarganej reputacji, biorąc ślub z tym łajdakiem, z którym uciekła. Ojciec odmówił. Uważał, że matka zasługuje na to, by ponieść pełne konsekwencje swojego kaprysu. Ty zdajesz się nie doceniać przysługi, jaką wyświadczyłbym ci, dając rozwód.

- Oczekujesz ode mnie wdzięczności za to, że chcesz zrujnować mi życie z powodu chwili nierozwagi? Powiedz mi, czy ty nigdy nie popełniłeś błędu? Czy nie ma zdarzenia, słowa, zaniechania, którego byś nie żałował? Och, jest! - Spojrzała na niego oczami pełnymi żalu. - Ślub, prawda? Żałujesz go od dawna, a teraz wreszcie dałam ci pretekst...

Poczucie krzywdy, frustracja, która trawiła ją od miesięcy, wykipiała. Caroline ściągnęła z palca obrączkę i z całej siły cisnęła nią w Bennetta.

- Proszę! Rozwiódź się ze mną, ukradnij mi syna, usuń mnie poza nawias towarzystwa! To na pewno nie będzie gorsze niż małżeństwo z kimś takim jak ty!

Widząc, jak bardzo wstrząsnął nim jej wybuch emocji, przez chwilę odczuwała satysfakcję. Jej miejsce jednak szybko zajął smutek, łzy zaczęły gromadzić się pod powiekami. Nie chciała okazać przy Bennecie słabości. Wyminęła go i wyszła z pokoju. Gdy znalazła się w głównym korytarzu, tuż przy drzwiach wejściowych zobaczyła synka. Na jego twarzy malowało się bezbrzeżne zdziwienie, oczy miał szeroko otwarte, o smutnym wyrazie.

Nie miała pojęcia, ile z ich głośnej kłótni podsłuchał.

- Wyn...

Chciała zapewnić go, że wszystko jest w porządku, ale to oczywiste kłamstwo uwięzło jej w gardle. Zanim zdążyła wymyślić coś lepszego, chłopiec obrócił się i zaczął biec przed siebie.

- Wyn! - zawołała i pobiegła za nim. - Wracaj, kochanie! Nie musisz się niczego bać!

Jej okrzyk zwabił Bennetta, który z tupotem pognął za nią po schodach.

- Miał przecież być w gospodzie pod opieką Alberta! - zawołał rozwścieczony.

- Był! - odparła stanowczo. - Albert musiał go tutaj przyprowadzić. Nie wiem po co.

Boleśnie skrzypnęły drzwi wejściowe. Caroline i Bennett pognali natychmiast w tamtą stronę, odpychając się wzajemnie po drodze. Gdy dotarli na miejsce, drzwi kołysały się na zawiasach, a zimny wiatr wwiewał do środka ciężkie krople deszczu.

Kiedy zaczęło padać? - zdziwiła się w myślach Caroline. Była zanadto pochłonięta kłótnią z Bennettem, by to zauważyć. Czy to możliwe, że właśnie z powodu gwałtownej zmiany pogody Albert przyprowadził Wyna z gospody i jeszcze zdążył przed deszczem?

Teraz nie miało to jednak znaczenia. Oboje z Bennettem wybiegli na dwór i zaczęli się gorączkowo rozglądać. Na cały głos wołali jego imię z nadzieją, że przekrzyczą wycie wiatru.

Deszcz zacinał z wielką siłą, a niebo stało się ciemne i groźne. Caroline przemokła do suchej nitki, ledwie zrobiła kilka kroków. Było jej zimno, ale teraz liczył się tylko Wyn.

- Wyn! Wracaj, kochanie! Wróc do mamy!

Dokąd mógł pójść? - zastanawiała się gorączkowo. Nie mógł się zbyt oddalić. Na pewno schronił się gdzieś w pobliżu.

Szła wzdłuż ściany, przez cały czas nawołując. Wicher zdawał się jednak porywać jej głos i unosić go w eter.

Na tyłach domu spotkała Bennetta, nadchodzącego z przeciwnej strony.

- Wracaj do środka! - ryknął. - Ja poszukam Wyna!

- Nie! - Caroline odgarnęła mokre włosy z twarzy. - Muszę go znaleźć! Nie rozumiesz? To moja wina, że jest tutaj! Jeśli coś mu się stanie...

Obawiając się, że Bennett spróbuje ją zatrzymać, obróciła się i na oślep pobiegła przed siebie. Ulżyło jej, gdy zorientowała się, że jest sama.

- Gdzie jesteś? Wyn! - wołała na poły do siebie.

Przemoczona suknia i pantofle ważyły już prawie tyle co kamień na jej sercu. Wyrzucała sobie, że zabrała Wyna z bezpiecznego dziecięcego pokoju i wywiozła na tę dziką wyspę.

Jeśli coś mu się stanie, otrzyma najokrutniejszą karę. Może właśnie to Bennett miał na myśli, mówiąc, że nie wie ona, czym jest miłość. Czy kiedykolwiek dostanie jeszcze szansę, by pokazać, że nareszcie zrozumiała?!

- Jeśli coś mu się stanie...

Caroline odbiegła, a jej ostatnie zdanie odbijało się echem w głowie Bennetta. Przychodziły mu na myśl wszystkie niebezpieczeństwa, jakie mogą spaść na dziecko, jeśli zanadto oddali się od domu. Klify podmywane przez morze, stare kopalnie cyny, gniewny i wiecznie głodny ocean, który pożera brzegi wyspy. Jedynie siłą woli Bennett zdołał przerwać ciąg tych straszliwych myśli.

Ponieważ Caroline pobiegła w głąb wyspy, do niego należało przeszukać brzeg morza. Tam zresztą kryło się największe zagrożenie.

- Wyyyn! - zawołał pełną piersią, rozpaczliwie wodząc wzrokiem dookoła. - Gdzie jesteś? Przyjdź do mnie, synu!

Wciąż jednak przed oczami miał obraz Caroline. Była śmiertelnie blada i próbowała powstrzymać łzy, nerwowo mrugając. Nawet pani Siddons, legendarna aktorka, nie zdołałaby tak przekonująco zagrać rozpacz. Bennett, choć bardzo chciał, nie znajdował argumentów na potwierdzenie niegodziwości żony, a wręcz przeciwnie. Wszystko zdawało się zaświadczać o jego błędzie. Wyglądała na tak bezbronną i skruszoną, że mimo woli obudziła w nim opiekuńcze uczucia. Starał się je powściągnąć, ale mimo starań i dzielących ich, niezliczonych różnic, musiał zauważyć, że łączą ich miłość do dziecka.

Nie mógł dalej negować uczuć Caroline do Wyna. Nie była najbardziej troskliwą matką, ale on także nie należał do najczulszych ojców. Dopiero teraz, kiedy zniknął ich synek i poczuł panicznych strach o jego zdrowie, zrozumiał zachowanie Caroline i powody, dla których nie wyjechała z Londynu sama.

Mijało coraz więcej czasu, a po Wynie nie było śladu. Bennett z coraz większym trudem powściągał niepokój. Kochał swojego jedyne syna ponad wszystko. Znał ludzi, których podziwiał lub szanował, ale nikt inny nie budził w nim jednocześnie dumy, opiekuńczości i czułości.

Caroline miała rację, niewiele zrobił, by okazać dziecku swoje prawdziwe uczucia. Martwiło go, że Wyn może myśleć o nim tak samo, jak on sam myślał o swoim zimnym, pełnym dystansu ojcu. A jeśli już nie dostanę szansy, by to zmienić? – niepokojące słowa zadźwięczały w jego głowie.

Wróciły do niego straszne wspomnienia z czasu, gdy matka nagle znikła, a jego pytania zderzały się ze ścianą milczenia. Budował dystans, by powtórnie nie narazić serca na takie cierpienie. Dzisiaj ponad wszelką wątpliwość zrozumiał, że nad uczuciami nie można zapanować.

– Bennett! – rozległ się wąty, ochrypy głos Caroline.

Podniósł wzrok i zobaczył żonę, stojącą przy domu z Wynem w objęciach.

Przejęty radością i ulgą, jakich jeszcze w życiu nie zaznał, podbiegł do nich.

Caroline wyglądała jak morska nimfa albo upadły anioł. Mokre złociste włosy kleiły się do jej ramion, a oczy lśniły od łez. Nigdy nie wydała mu się taka piękna. Trzymała na rękach jego syna, któremu nic już nie groziło.

Chciał objąć ich oboje i mocno przytulić. Bał się jednak, że jeśli to zrobi, straci panowanie nad swymi uczuciami. Postanowił więc poszukać schronienia w konkretnym działaniu.

Szarpnięciem otworzył drzwi i wprowadził Caroline do kuchni. Uderzył go w nozdrza nieprzyjemny zapach, który zwrócił już jego uwagę zaraz po przyjeździe. Teraz były jednak ważniejsze sprawy do załatwienia.

– Trzeba was przebrać w coś suchego. Są tu jakieś ubrania?

Zwrócił się z tym pytaniem do Parker, która rzuciła się ku swojej pani w tej samej chwili, gdy przestąpili próg. Służąca skinęła głową.

– Ten młody człowiek z wózkiem przywiózł kufry z gospody, kiedy wziął Alberta i panicza.

– To dobrze. Zaopiekuj się więc, proszę, swoją panią, a ja tymczasem zajmę się synem. – Odwrócił się do Caroline i otworzył ramiona. – Już go mogę wziąć.

Dziecko jednak zacisnęło ręce na szyi Caroline i ukryło twarz w zagłębieniu jej szyi.

- Tata będzie na mnie zły, że uciekłem, tak samo jak był zły na ciebie, mamo!

Wyn zaczął się trząść. Strwożony Bennett zastanawiał się, czy malec ma dreszcze z zimna, czy ze strachu.

- Nie, synu - powiedział. Starał się znaleźć ton, który dodałby dziecku otuchy. - Nie jestem zły. Martwiłem się o ciebie, to wszystko.

- Oboje się martwiliśmy, kochanie. - Caroline trąciła policzkiem czubek głowy chłopca. - Nie martw się, już wszystko jest w porządku. Idź do taty. On się tobą dobrze zaopiekuje.

Czyżby naprawdę tak uważała? - zadał sobie pytanie Bennett. Po tych wszystkich obelgach i oskarżeniach, którymi wzajemnie się niedawno obrzucili? Miał pewne wątpliwości, ale w tonie Caroline nie usłyszał ani śladu niechęci.

- Mama ma rację, Wyn. Nie musisz się mnie bać.

Gdy brał dziecko od Caroline, znaleźli się niepokojąco blisko siebie. Wierzchem dłoni trącił stanik jej przemoczonej sukni. Czuł, jak delikatne ciało pod spodem reaguje na jego dotyk. Wargi Caroline wzywały go bezgłośnie, lecz z wielką siłą. Łatwo było pobudzić jego uśpione pragnienie.

Czy właśnie o to chodziło Caroline? Czy chciała, by stał się niewolnikiem własnego pożądania i zarazem jej kaprysów? Nieufność, o której na chwilę zapomniał, wróciła z całą mocą. Teraz, gdy jego żona miała za sobą przedsmak życia poza złotym kokonem ich małżeństwa, nie należało wykluczać, że wszelkimi możliwymi środkami będzie próbowała odzyskać swoją uprzywilejowaną pozycję.

Czyżby mimo pogardy, jaką do mnie czuje, próbowała mnie uwieść? - zadał sobie w duchu pytanie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jak wiele czasu minie, nim Bennett otrząśnie się po odnalezieniu Wyna i przypomni sobie, że gdyby nie ona, ich syn z pewnością nie znalazłby się w niebezpieczeństwie? Ta myśl dręczyła Caroline, gdy jej mąż starał się zapewnić im maksimum wygody po ciężkich przeżyciach. Reakcja na ucieczkę Wyna dowiodła, że Bennett darzy syna głębszym uczuciem, niż przypuszczała, a na pewno głębszym, niż potrafi okazać.

Wiedziała, że powinno ją to ucieszyć ze względu na dziecko. Chciała, żeby miało ojca, który je kocha. Im bardziej jednak Bennett się z Wynem wiązał, tym mniejszą miała szansę, że pozostawi go pod jej opieką na Tresco. Zwłaszcza teraz, gdy przekonał się o czyhających tu niebezpieczeństwach.

- Musicie się ogrzać. - Bennett otulił ich jednym kocem, gdy skulili się razem na kanapie przy kominku. - Wygląda na to, że możemy być zmuszeni do spędzenia tutaj nocy... Nawalnica nie cichnie.

- A ty? - spytała, mocniej obejmując synka. Wyn nie przestawał się trząść, mimo że został przebrany w suche rzeczy. - Wyglądem przypominasz topielca.

Niestety, nawet w tym stanie nie wydawał się mniej pociągający. Jego krótko przystrzyżone ciemne włosy były jeszcze wilgotne. Pozbył się mokrego fraka i kamizelki, deszcz jednak przemoczył mu również koszulę, która kleiła się teraz do szerokich ramion i umięśnionego torsu w bardzo zmysłowy sposób. Caroline zrobiło się nagle gorąco. Jednocześnie uprzytomniła sobie, jak okropnie musi wyglądać z posklejanymi, mokrymi włosami.

- Topielca? - Bennett spojrzał na swoje odzienie. - Rzeczywiście. Może uda mi się pożyczyć coś suchego od Alberta, bo moje rzeczy są wciąż na statku.

Naraz do pokoju weszła Parker, niosąc dla wszystkich po filiżance herbaty.

Gdy Caroline upiła pierwszy łyk, żołądek jej zaburczał, domagając się czegoś konkretniejszego. Wzdrygnęła się zakłopotana, ale Wyn parsknął śmiechem, i było to tak przyjemne, że roześmiała się razem z nim.

- Jesteś głodna, mamó?

- Chyba tak. To sprzątanie musiało mi zaostrzyć apetyt.

- Czy mogę spytać, co przygotowałaś na kolację, Parker?

Bennett spojrzał z powątpiewaniem w kierunku kuchni.

- Obawiam się, że jakieś paskudztwo, milordzie - powiedziała spłoszona Parker. - Tak przynajmniej twierdzi ten nicpoń Albert. Próbowałam przyrządzić potrawkę rybną, ale jestem pokojową pani, a nie kucharką. Zrobiła się z tego gęsta maź, która przywarła do dna garnka i...

Parker przełknęła ślinę i pociągnęła nosem, powstrzymując łzy.

- Nie przejmuj się. - Bennett wydawał się niezadowolony, choć w jego szorstkim tonie słyhać było również nutę współczucia. - Czy jest jeszcze coś do jedzenia, czego nie próbowałaś ugotować?

- Trochę ziemniaków, proszę pana. I jajka, i poleć bekonu na śniadanie. A czemu pan pyta?

- Zamierzam przygotować kolację, która będzie jadalna.

- Umiesz gotować? - Caroline byłaby bardziej zaskoczona, gdyby zadeklarował chęć powrotu piechotą po wodzie do Kornwalii. Jak wiele nieodkrytych przez nią zalet miał jeszcze jej mąż?

Bennett wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że to nic takiego.

- Kręciłem się trochę po kuchni w czasie wakacji, kiedy jeszcze byłem w szkole. Zawsze uważałem, że mężczyzna powinien umieć samemu przyrządzić coś sobie do jedzenia.

Zrozumiała. Nauczył się gotować, aby nie być zależnym od innych. Tymczasem Bennett wyszedł z salonu i wkrótce z kuchni doszedł ich apetyczny aromat smażonego bekonu, który przyćmił przykrą woń przypalonej przez Parker ryby.

Nieco później siedzieli w piątkę przy stole, państwo i służba równie zakłopotani tym, że jedzą razem. Tylko Wyn wydawał się nie przejmować sytuacją.

- Nie zapomnijcie o modlitwie - zwrócił uwagę dorosłym, chyląc głowę i składając dłonie.

Caroline zerknęła na syna z uśmiechem, wyrażającym jednocześnie rozbawienie i dumę. Bennett, który spojrzał na nią w tej chwili, odczuł żywy niepokój.

- Odmówisz ją, tato? - spytał chłopiec.

- Uhm... oczywiście. - Bennett wybąkał coś o wdzięczności za jedzenie, które przed nimi stoi. - A teraz bierzmy się do jedzenia.

Caroline nieufnie ugryzła pierwszy kęs, szybko jednak przybrała bardzo zadowoloną minę i pochłonęła całą zawartość talerza.

- Nie wiem, czy jadłam kiedykolwiek równie doskonałe danie - oznajmiła na koniec. - Dziękuję.

A więc była jednak zdolna do okazania wdzięczności, pomyślał złośliwie. To odkrycie okazało się dla Bennetta dość kłopotliwe.

- Cieszę się, że moje wysiłki spotkały się z twoim uznaniem - powiedział oficjalnym tonem. Zakłopotany, zerknął na syna: - Obawiam się jednak, że Wyn nie dzieli twojego entuzjazmu.

Chłopiec prawie nie tknął kolacji.

- Powinieneś spróbować, kochanie - zachęciła Caroline. - To jest bardzo smaczne, a ciepłe jedzenie pomoże ci się rozgrzać.

- Spróbuj odciąć wierzch jajka i maczać ziemniaki w żółtku - włączył się Albert. - Tak smakują jeszcze lepiej.

Wyn przesunął frytkę po talerzu.

- Nie jestem głodny.

Bennetta kusilo, by zmusić do dokończenia posiłku, ale Caroline uprzedziła jego zamiar z właściwą sobie wyrozumiałością.

- Pewnie jesteś zbyt zmęczony, żeby jeść, biedaku. Musimy położyć cię do łóżka.

Nieprzyzwyczajony do jednomyślności z żoną w jakiegokolwiek sprawie Bennett musiał przyznać, że to dobry pomysł. Im lepiej Wyn się wyśpi, tym szybciej zapomni o przykrych przeżyciach tego dnia.

Razem zanieśli chłopca na górę, pomogli mu przebrać się w strój do spania i położyli go do łóżka.

- Co to za zapach? - spytał Wyn, marszcząc nos.

- Cedrowe drzazgi, kochanie. - Caroline pocałowała syna w czoło. - Leżały w spakowanej pościeli, żeby nie załęgły się tam mole. Rano powieszę prześcieradła na dworze, ale pewnie potrzebują dłuższego wietrzenia.

Bennett nie umiałby sobie wyobrazić żony rozwieszającej bieliznę, gdyby nie to, że widział ją, jak na kolanach szoruje podłogę. Może nie wyszło jej to najlepiej, ale przynajmniej próbowała. Tym samym nabrał do niej szacunku, choć nie zwykł go okazywać zbyt szczerze.

- Teraz, synu - odezwał się Bennett - muszę cię prosić, żebyś mi przyrzekł coś bardzo ważnego.

- Słucham, tato.

Wyn spuścił wzrok i ścisnął matkę za rękę.

- Powiedziałem już, że nie jestem na ciebie zły. - Starał się złagodzić ton na tyle, by nie przestraszyć dziecka, choć zarazem musiał dać mu do zrozumienia, że sytuacja była niebezpieczna. - Musisz dać mi słowo, że nigdy więcej tak nie uciekniesz.

- Tata ma rację, kochanie - dodała Caroline ku pewnemu zaskoczeniu Bennetta. - Bardzo się o ciebie martwiliśmy. Łatwo mogłeś wyrządzić sobie wielką krzywdę.

Skruszony chłopczyk skinął głową.

- Obiecuję. Ten deszcz był bardzo zimny i bałem się, że wiatr zwieje mnie do morza.

- Dlaczego uciekłeś? - spytała Caroline, zanim zdążyła ugryźć się w język.

- Słyszałem, jak z tatą na siebie krzyczycie. Powiedzieliście coś o mnie i pomyślałem, że to przeze mnie.

- Nie! - zawołali chórem Caroline i Bennett.

Bennett przesłał żonie wymowne spojrzenie, aby jakoś pokrzepiła dziecko. Choć uważano go za jednego z najlepszych oratorów w Izbie Lordów, nie był pewien, czy potrafi wyjaśnić małemu chłopcu tak skomplikowaną sytuację. Miał nadzieję, że Caroline potrafi znaleźć odpowiednie słowa.

Caroline pogładziła Wyna po głowie.

- Tata i ja nie kłóciliśmy się przez ciebie, kochanie. Prawdę mówiąc, doskonale się zgadzamy co do tego, że jesteś przemiłym chłopcem, i oboje bardzo cię kochamy. Prawda, milordzie?

- Naturalnie - potwierdził po krótkim wahaniu. Krępowało go mówienie o uczuciach. Musiał jednak udowodnić żonie, że jest do nich zdolny. - Oboje bardzo cię kochamy, synu.

Wyn po dziecięcemu zmarszczył czoło.

- To dlaczego krzyczeliście na siebie ze złością?

- No wiesz... - Caroline zastanawiała się, jak ubrać wyjaśnienie w proste słowa. - Kochamy cię, i to nas łączy. Poza tym jednak w wielu sprawach bardzo się różnimy. Co innego lubimy... czego innego chcemy... Czasem przez te różnice złościmy się na siebie.

Czy Wyn zrozumiał, co próbowała mu powiedzieć? Bez wątplenia był dostatecznie bystry, by niektóre różnice zauważyć samemu.

- Jeszcze nigdy nie słyszałem, żebyście na siebie krzyczeli - powiedział chłopiec, nie do końca usatysfakcjonowany wyjaśnieniem.

- To prawda... - odparła, Bennett był ciekaw jej słów. - Często jednak kiedy ludzie są na siebie źli, nie rozmawiają ze sobą wcale, choćby dlatego, że czują się urażeni. Mogą nawet myśleć, że rozmowa tylko pogorszy sytuację. Mogą też być zbyt dumni, by przyznać, że coś jest nie w porządku. Jeśli jednak nigdy ze sobą nie rozmawiają, niczego nie udaje im się uzgodnić.

Bennett zastanowił się. Nigdy dotąd nie myślał o ich małżeństwie w taki sposób. A przecież niejedno z tego, co powiedziała jego żona, brzmiało słusznie. Nie próbował z nią porozmawiać o tym, że się od siebie oddalają, przekonany, że to niczego nie zmieni... poza tym nie chciał prowokować takiej kłótni, do jakiej doszło tego popołudnia. Teraz jednak, gdy było już po wszystkim, musiał przyznać, że jego zadawniona uraza stała się mniej bolesna.

Wyn zdawał się rozumieć wyjaśnienie matki na tyle, żeby uznać, że w niczym nie zawinił. Odprężył się, szeroko ziewnął, a potem sennie spytał:

- A czy trzeba krzyczeć...?

Z tymi słowami powieki mu opadły i zasnął. Caroline pogłaskała go po policzku.

- Pewnie tak - przyznała, choć nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, że powiedziała to na głos. - Tylko nie zawsze jest łatwo.

To też była prawda i Bennett w duchu się z tym zgadzał. Nie wyjawiał Caroline niejednego o sobie i swojej przeszłości. Zawsze sądził, że nie byłaby tym zainteresowana. Jednak dzisiaj okazało się, że się mylił. Co więcej, Caroline zdawała się mieć mu za złe tę powściągliwość. Czyżby właśnie dlatego bez skrępowań zwracała się ku innym mężczyznom? Bo jej własny mąż wydawał się równie obcy?

Nie miało to już znaczenia. Po skandalicznej scenie u Almacka Caroline nie pozostawiła mu wyboru. Musiał się z nią rozwieść.

Czy byłoby lepiej, gdyby porozmawiali bez krzyków i złorzeczenia? Naiwna, lecz mądra rada syna tłukła się po głowie Caroline, gdy przygotowywali z Bennettem jeszcze dwie sypialnie. Za oknem wciąż lało. Pracowali w ostrożnym milczeniu, jakby bali się otworzyć usta, by również w domu nie rozszalała się nawałnica, która zbierała się przez lata?

Bennett chciał, żeby wyjaśniła synowi, dlaczego tak zaciekle się kłócili. Zastanowiło ją, czy nie przydzielił jej tego trudnego zadania po to, by ją ukarać. A jeśli nie? Jeśli pierwszy raz w ciągu ich małżeńskiego życia Bennett szukał u niej pomocy, bo ufał, że uda jej się znaleźć właściwe słowa, które trafią do Wyna?

W takim razie mąż wierzyłby w jej umiejętności bardziej niż ona sama. Ku jej zaskoczeniu okazało się jednak, że miał rację. Odnalazła właściwe słowa.

Siedziała już w sypialni, kiedy nagle w jej sypialni pojawił się Bennett.

- Czy nie sprawiłoby ci kłopotu, gdybyś pomogła mi w słaniu łóżka? Męcę się okropnie z tą stroną przy ścianie.

- Naturalnie - powiedziała, starając się nie zwracać uwagi na mocniejsze bicie serca.

W milczeniu rozpostarli prześcieradło i założyli jego brzegi. Gdy zrobili to samo z drugim, Bennett się odezwał:

- Chcę ci podziękować za odnalezienie Wyna dziś po południu. Bardzo się o niego niepokoiłem.

Nie spojrzawszy jej w oczy, wzrok miał skierowany na łóżko.

- Musiałam go znaleźć - powiedziała cicho, lecz bardzo stanowczo. - To przeze mnie się zgubił w tej ulewie. Płakał, jak oszalały. Biedak musiał odchodzić od zmysłów ze strachu.

- Nie była to tylko twoja wina - sprzeciwił się szorstko Bennett. - Do kłótni potrzeba dwojga, a niejedno z tego, co powiedziałem, powinno zostać przemilczane.

Jeszcze przed kilkoma minutami myślał o niej jak najgorzej i niesprawiedliwie ją oskarżał. Teraz, gdy sama przyznała się do poważnego zaniedbania, nie miał do niej pretensji, mimo że byłyby zasłużone.

- Nie jestem przekonana, czy przemilczenie byłoby właściwe - zastanawiała się na głos. - Otwarcie powiedzieliśmy sobie, co czujemy, byliśmy ze sobą szczerzy. Może gdybyśmy zrobili to wcześniej...

Kilka godzin później Caroline wciąż czuła mrowienie w palcach. Przewracała się z boku na bok i nie mogła zasnąć.

Częściowo winna była nawałnica. Deszcz bębnił o szyby, jakby olbrzym tłukł w nie pięściami. Wicher wył ze złości, że nie może dostać się do wnętrza domu. Caroline nie była pewna, czy lada chwila nie stracą dachu nad głową.

Jednak gniew żywiołów nie przerażał jej aż tak bardzo jak perspektywa wyjazdu Bennetta z ich synem. Nazajutrz mogła zostać na tej zapomnianej wyspie sama, mając za towarzystwo jedynie wyrzuty sumienia...

Wracały też do niej myśli o Bennecie śpiącym tak blisko. W Sterling House ich sypialnie były w tym samym korytarzu, a wyglądały na mocno oddalone. Tutaj podobna odległość wydawała się dużo mniejsza. Może dlatego że przez ostatnie kilka godzin wymienili między sobą więcej zdań niż przez cały poprzedni miesiąc.

- Gregg? Gregg! - Krzyki przestraszenia Wyna przebiły się przez odgłosy nawałnicy.

Caroline zerwała się z łóżka. Przeszył ją dreszcz, gdy stanęła bosymi stopami na chłodnej podłodze. Zimno przeniknęło ją do szpiku kości. Miała ochotę znowu schronić się w pościeli, ale nie mogła zignorować krzyków syna.

Wyszła na korytarz i wpadła prosto na męża. Odskoczyła raptownie. Mimo że zetknęli się tylko na moment i byli w nocnych koszulach, poczuła żar jego ciała. Chętnie przytuliłaby się do niego.

- Mamo? Tato? - wołał Wynn.

Natychmiast popędzili korytarzem. Caroline pierwsza dopadła drzwi sypialni dziecka, Bennett jednak był tuż za nią. Wyczuwała bliskość męża wszystkimi zmysłami.

- Co się stało, synu? - spytał. - Spadłeś z łóżka i zrobiłeś sobie krzywdę?

Caroline przypadła do łóżka i wyciągnęła ręce.

- Śniło mi się, że goni mnie olbrzym! - Chłopiec wtulił się w jej objęcia. - Zbudziłem się i ciągle słyszałem jego ryki.

- To był tylko sen - powiedział Bennett. - Nic, co dzieje się we śnie, nie może wyrazić ci krzywdy.

- Może jednak przestraszyć. - Caroline przesunęła dłonią po włosach Wyna. - Mnie też się zdawało, że te grzmoty są podobne do ryków olbrzyma.

- Naprawdę? - Wyn pociągnął nosem. - Bałaś się?

- Trochę - przyznała. - Chciałbyś, żebym położyła się przy tobie, póki znowu nie zaśniesz? Opowiem ci jakąś historię, żebyś nie myślał o burzy.

Poczuła łaskotanie na ramieniu, gdy Wyn skinął głową.

- Tak, mam. Proszę - powiedział.

Caroline szybko wsunęła się pod kołdrę. Prawie zapomniała o obecności męża, który w końcu nagle się odezwał:

- Jeśli nic ci nie jest, Wyn, wróć do łóżka. Dobranoc.

Gwałtowny podmuch zatrzęsł szybami w oknach.

Dziecko wydało okrzyk przerażenia i przytuliło się do Caroline.

- Tato, proszę, połącz się razem z nami.

- To tylko wiatr - powiedział Bennett, starając się dodać dziecku otuchy. - Brzmi tak głośno, bo dom jest mniejszy niż ten, do którego jesteś przyzwyczajony.

Caroline czuła opór Bennetta przed znalezieniem się z nią w jednym łóżku, mimo że Wyn miał leżeć między nimi. W niej też owa sytuacja nie budziła entuzjazmu. Wolałaby, żeby Bennett spróbował zrozumieć, jak bardzo burza i koszmary mogą przestraszyć dziecko. Czyżby on sam niczego się nie bał, nawet gdy był małym chłopcem? Trudno jej było sobie wyobrazić męża w tym wieku.

- Proszę - powtórzył Wyn. - Mama i ja nie będziemy się tak bardzo bali, jeśli będziesz z nami. Prawda, mam?

Chociaż miała mocny powód, by obawiać się gniewu Bennetta, przytaknęła:

- To prawda. Nawet burzowy olbrzym byłby bardzo niemądry, gdyby chciał stawić czoło tacie. Zaraz przeniosę się na drugą stronę łóżka, żeby zrobić dla taty miejsce.

Bennett się poddał w obliczu tak silnego sojuszu.

- Tylko chwilę. Naprawdę nie ma się czego bać. Ten dom wytrzyma burze i sztormy od lat - powiedział.

Wsunął się do łóżka, a Caroline przetoczyła się na drugi brzeg, aby uniknąć przypadkowego zetknięcia ich nóg.

- Czy tak jest lepiej, kochanie? - spytała Wyna.

- Tak, mam. - Dziecko mocno się do niej przytuliło. - Dlaczego te wyspy tak się nazywają? Nie podoba mi się.

Caroline zaczęła się zastanawiać, co wyobrażał sobie Wyn, gdy powiedziała mu, dokąd jada. Z pewnością sztormowe Tresco musiało okazać się dla niego wielkim rozczarowaniem.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, w ciemności rozległ się głos Bennetta:

- Wyspy nazywają się Scilly. To słowo może pochodzić z dawnego języka kornwalijskiego. Niektórzy wierzą, że te wyspy są wszystkim, co pozostało z zatopionego królestwa Lyonesse.

- Jak może zatonać całe królestwo? - spytał Wyn.

- Pewnie musiałyby nadejść wielka powódź - powiedział Bennett, a domem zatrzęsł kolejny potężny podmuch.

- Taka jak za czasów Noego? - spytał trwożliwie Wyn. - Greggy opowiadała mi tę historię. Myślicie, że robi się dzisiaj wielka powódź, która nas porwie?

Pamiętając, jak małe są te wyspy w porównaniu z powierzchnią Atlantyku, Caroline stawiała sobie to samo pytanie.

- Niemożliwe - powiedział Bennett z tak niezbitą pewnością, że lęk Caroline natchmiast ustąpił. Potem głos Bennetta złagodniał w zupełnie niezwykły sposób. - Nie musisz się bać, Wyn. Jestem tutaj i nie pozwolę, żeby cokolwiek ci się stało.

Caroline zastanawiała się, czy Bennett miał na myśli ochronę syna przed nawałnicą, czy raczej przed nią.

Przez ostatnie godziny uświadomiła sobie, że Bennett kocha Wyna nie tylko jako przyszłego dziedzica majątku. Z jakiegoś powodu nie potrafił jednak okazać wszystkich uczuć z równą swobodą, z jaką demonstrował swoje praktyczne umiejętności. Tymczasem chociaż gotowanie czy strzeżenie syna były bardzo ważne, Caroline uważała, że dziecko potrzebuje od ojca czegoś więcej.

Powiedział synowi, że nawałnica na pewno nie przekształci się w wielką powódź. Jednak gdy wcisnął się do łóżka obok Wyna i Caroline, miał takie wrażenie, jakby wichur porwał go na otwarte morze.

Nie był przyzwyczajony do dzielenia łóżka z kimkolwiek. Nawet w początkowym okresie małżeństwa niechętnie zostawał z Caroline, gdy już oboje nasycili się rozkoszą. Po chwilach uniesienia, gdy pozwalał, by owładnęło nim pożądanie, zawsze czuł się diabelnie skrępowany. Poza tym wydawało mu się, że żona oczekuje od niego czegoś więcej, niż jest w stanie jej ofiarować.

Wciąż brzmiały mu w uszach jej wcześniejsze oskarżenia. Może nie miał potrzeby zasypywania syna pieścizkami i czułymi słówkami, co tak łatwo przychodziło Caroline, ale potrafił wyrazić swoje oddanie w inny, nieco praktyczniejszy sposób. Łagodzenie lęków syna znajdowało się gdzieś pomiędzy tymi dwoma biegunami - nie umiał tego robić z pełną swobodą, wiedział jednak, że nie ma wyjścia. Jeśli w przyszłości Wyn miał się zwracać do niego z problemami, musiał być już zawsze blisko niego.

- Widziałem znacznie gorsze nawałnice niż ta - powiedział i słowa uwięzły mu w gardle, bo nigdy nie lubił się dzielić wspomnieniami z młodych lat, a zwłaszcza z tych szczęśliwych miesięcy, które spędził na Tresco z matką.

- Naprawdę? - wyraził powątpiewanie Wyn. - Kiedy?

- Gdy byłem w twoim wieku. Przyjeżdżałem tutaj na wakacje. To łóżko było kiedyś moje.

- Ojej. - Wynowi trudno było uwierzyć, że jego tata był kiedyś takim samym dzieckiem jak on. - Przyjeżdżałeś tu z mamą i tatą?

To niewinne pytanie całkiem go zaskoczyło. Powinien był się na nie przygotować, ale o tym nie pomyślał. Wytłumaczył sobie, że u dziecka taka ciekawość jest całkiem naturalna, więc nie może unikać odpowiedzi.

- Tylko z mamą. Przyjeżdżaliśmy tutaj jesienią przez kilka lat z rzędu i kiedyś...

- Jaka była twoja mama?

- Porozmawiamy o tym kiedy indziej. Teraz chcę ci opowiedzieć o tej nawałnicy. Były wtedy nie tylko ulewa i wichur, lecz również błyskawice i grzmoty tak głośne, jakby pękało niebo.

Urwał z nadzieją, że Wyn nie wróci do kwestii jego matki. Nie mylił się. Wyglądało na to, że historia o nawałnicy odwróciła jego uwagę.

- Bardzo się bałeś?

Nie miał pewności, jakiej odpowiedzi oczekuje Wyn, więc postanowił trzymać się prawdy.

- Bardzo.

Matka tuliła go, głaskała i uspokajająco szeptała. Pośród szalejącego żywiołu czuł się bezpieczny dzięki sile jej miłości. Bennett musiał przyznać, acz niechętnie, że to wspomnienie przywiodło mu na myśl niektóre uwagi Caroline o potrzebach ich syna.

- Po pewnym czasie burza osłabła i na niebie ukazała się wielka, barwna tęcza. - Mówił cicho do dziecka, a od wspomnienia burzy przeszedł do opisu różnych ciekawych miejsc na wyspie.

Przez cały czas opiekuńczo otaczał synka i żonę ramieniem. Z zaskoczeniem zauważył, że czuje się wspaniale. Caroline ze swoimi delikatnymi rysami i złocistymi puklami dookoła twarzy wyglądała tak młodo i bezbronne, że budziła w Bennecie najszczęśliwszą czułość.

Naraz usłyszał wewnętrzny surowy głos doświadczenia, które przypomniało mu przewinę Caroline. Ta myśl dała mu wreszcie siłę potrzebną, by ruszyć ramieniem i oderwać wzrok od rozbrajającego widoku matki z synem tulących się do siebie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Po przebudzeniu Caroline rozkoszowała się przez chwilę spokojem, jaki zapanował po przejściu nawałnicy. Deszcz nie bębnił już o szyby. Ucichły jęki i łoskot wiatru. W oddali dudnił stłumiony basowy odgłos fal rozbijających się o brzeg. Wraz z nastaniem nowego dnia wzeszło słońce i rozśpiewały się ptaki, jakby nic złego wcześniej się nie wydarzyło.

I wtedy Caroline przypomniała sobie wywołaną przez skandal nawałnicę w swoim życiu, po której mogło nie pozostać nic oprócz zniszczeń. Raptownie uniosła powieki.

Omam nie krzyknęła z zaskoczenia, gdy ujrzała Bennetta, leżącego na boku twarzą do niej. Dzielił ich wtulony między nich Wyn. Opiekuńczo wyciągnięte ramię Bennetta chroniło ją przed spadnięciem z łóżka.

Gdy minął pierwszy wstrząs, zaszuchana w szmer oddechów odzyskała spokój. Mogła teraz przyjrzeć się twarzy męża, jakiej nigdy nie widziała. Sen złagodził mu rysy i nadał znacznie większe podobieństwo do syna, podobieństwo, którego wcześniej nie zauważyła. Przez ostatnią dobę odkryła zresztą u swojego męża niejedno, czego wcześniej się nie spodziewała. Dziwnie się czuła, słuchając jego głosu, gdy zasypiała. Brzmiał łagodnie i kojąco, aż trudno jej było uwierzyć, że należy do Bennetta.

Nagle Bennett się poruszył. Szybko zamknęła oczy i udała, że śpi, aby nie zobaczył, że go obserwuje. Po chwili napięcia poczuła, że Bennett ostrożnie cofnął rękę z jej ramienia i cicho opuścił pokój.

Ponownie otworzyła oczy, by nasycić się widokiem śpiącego dziecka. Przesuwała wzrokiem po jego twarzy i starała się zapamiętać te drogie jej sercu rysy... na wypadek, gdyby był to ich ostatni wspólny dzień.

Wyn otworzył oczy.

- Zimno mi, mamie. Ciągle zimno.

Chociaż był po brodę przykryty kilkoma kocami, Caroline poczuła, jak jego ciałem znów wstrząsają dreszcze. Przytknęła dłoń do jego czoła i przekonała się, że jest gorące.

Chłopiec szarpnął się i jęknął.

- Chyba jesteś chory, kochanie - powiedziała, starając się ukryć niepokój. - Leż spokojnie, a ja przyprowadzę tatę. On będzie wiedział, co robić.

Wybiegła na korytarz i zaczęła wołać Bennetta. Już chciała zbiec na dół, ale właśnie wtedy zobaczyła, jak wchodzi pośpiesznie po schodach.

- Co się stało, Caro?

Nie nazywał jej tym zdrobnieniem od wielu lat, więc dlaczego nazwał ją tak teraz? - zastanowiła się.

- Chodzi o Wynę. Ma gorączkę. Chyba wysoką. Widocznie przeziębził się wczoraj. Trzeba wezwać do niego doktora.

- To nie jest Londyn, gdzie masz pod ręką dziesiątki modnych lekarzy. Na Saint Mary może być jeden doktor, który leczy miejscowych, ale na pozostałych wy-

spach... – Bennett pokręcił głową.

– Musi być ktoś, kogo można wezwać. – Caroline wyrzucała sobie, że zbyt pochopnie podjęła decyzję o zabraniu ze sobą dziecka. – Co ludzie tutaj robią, kiedy zachowują albo się zranią?

– Posyłają po jedną z ciotek – odpowiedział Bennett po chwili namysłu. – To są uzdrowicielki, które parzą zioła i robią maści. Moja matka czasem szukała ich rady. Twierdziła, że z ciotek ze Scilly miała więcej korzyści niż z lekarzy i aptekarzy w Londynie. Czy zajmiesz się Wynem, gdy pójdę sprowadzić jedną z nich?

– Oczywiście – powiedziała Caroline. – Nigdy nie zajmowałam się chorym dzieckiem. Co powinnam robić?

– Dasz sobie radę – zapewnił ją szorstko. – Przemywaj mu czoło zimną wodą. Każę Parker przynieść miskę i chustę. Niedługo wrócę.

Zaskoczyło ją, że Bennett nie zaproponował, by to Parker zajęła się chłopcem. Caroline wróciła do pokoju i usiadła przy łóżku. Kusiło ją, by samej zatrudnić służącą, gdy ta pojawiła się po kilku minutach z miską pełną wody. Nie dlatego że nie chciała zajmować się Wynem, lecz dlatego że czuła się niekompetentna.

A jeśli Wyn zacznie płakać i nie będzie chciał przestać? A jeśli zacznie miotać się w paroksyzmach? Słyszała, że przy wysokiej gorączce to się zdarza.

– Bardzo mi zimno, mam – jęknął. – Czuję się tak, jakby bolała mnie każda kostka...

Chciał, żeby to właśnie Caroline go pokrzepiła. To pomogło jej odzyskać wiarę w siebie.

– Masz gorączkę, kochanie. – Wzięła miskę od Parker i zanurzyła chustkę w wodzie, by zaraz przyłożyć ją Wynowi do czoła. – Tata poszedł przyprowadzić kogoś, kto mógłby ci pomóc.

– Chciałbym, żeby była tu Greggy – szepnął smutno.

– Ja też, kochanie.

Nie mogła mieć pretensji do syna o to, że tęskni za piastunką. Do tej pory gdy był chory, zawsze zajmowała się nim pani McGregor. Bardzo starannie pilnowała, żeby matka nie wchodziła wtedy do dziecięcego pokoju.

Teraz Caroline gorzko żałowała, że nie była przy dziecku wtedy, gdy najbardziej jej potrzebowało.

– Może opowiem ci jakąś historię o pani McGregor?

Chłopiec skinął głową.

– Lubię twoje historie. Taty też. Mam nadzieję, że tata pokaże mi niektóre z tych miejsc na wyspie, o których nam wczoraj opowiadał.

Caroline mocno w to wątpiła. Teraz Bennett z pewnością będzie chciał jak najszybciej wrócić do wygodnego i bezpieczniejszego Londynu.

– Kiedyś, kiedyś – powiedziała cicho, przesuwając chusteczkę z czoła Wyna na rozpalony policzek – pani McGregor wyjechała ze Sterling House na wakacje w Szkocji...

Ciągnęła tę opowieść najdłużej, jak potrafiła, z nadzieją, że odwróci tym uwagę Wyna od jego złego samopoczucia. Gdy wreszcie usłyszała trzask drzwi, a potem energiczne kroki Bennetta na schodach, odetchnęła z ulgą.

Chwilę później Bennett wszedł do pokoju. Miał minę pełną niepokoju.

- Jak Wyn? Lepiej?

- Nie wydaje mi się. - Caroline pochyliła się i dotknęła policzka syna. Mimo wszystkich jej

wysiłków Wyn wciąż był rozpalony. - Mówi, że jest mu zimno i wszystko go boli, ale od pewnego czasu jest spokojny.

Drobna, krzepka kobieta weszła do pokoju za Bennettem.

- Wygląda na to, że go pani uśpiła. Cokolwiek mu dolega, trudno o lepszy lek niż sen.

Kobieta miała głęboko osadzone oczy i pospolite, grube rysy. Spod czepka wystawały jej kosmyki siwych włosów. Roztaczała krzepiącą aurę spokoju.

Bennett zniżył głos:

- Moja droga, to jest pani Hicks. Powiedziano mi, że nie ma na wyspie uzdrowicielki o większej wiedzy i doświadczeniu.

- Dziękuję, pani Hicks, że przyszła pani o tak wczesnej porze - powiedziała Caroline. - Mam nadzieję, że będzie pani mogła pomóc naszemu synkowi.

Kobieta cicho się zaśmiała.

- Mnie wzywają o wszystkich możliwych porach, proszę pani. I nikt na Tresco nie nazywa mnie panią Hicks. Wszyscy mówią do mnie „ciociu Sadie”.

Zbliżyła się do łóżka i z uwagą przyjrzała się Wynowi.

- Pani mąż mówił, że chłopak był wczoraj na deszczu.

- Tak. Wytarliśmy go do sucha najszybciej, jak się dało, ale wyglądał na przemarzniętego i przy kolacji nie miał apetytu.

Uzdrowicielka zadała jeszcze kilka pytań, a gdy Wyn się zbudził, zbadała go. Zajrzała mu do ust, sprawdziła, czy nie ma wysypki, obmacała brzuch i miejsca za uszami. Przez cały czas mówiła do niego cichym, kojącym głosem. Może nie ukończyła studiów medycznych, ale Caroline od razu jej zaufała.

- Czy mogę coś zrobić? - spytała szeptem uzdrowicielkę.

Ciocia Sadie skinęła głową.

- Proszę dalej obmywać mu twarz, dawać dużo pić i niech jak najwięcej śpi. Przygotuję mu napar z krwawnika, który często obniża gorączkę. I jeszcze jedno - dodała, gdy zaczęli jej dziękować. - Róbcie wszystko, co w waszej mocy, żeby chłopiec się nie wzburzył, bo może dostać gorączki mózgowej. Wtedy będzie źle.

Caroline zmartwiała i dopiero po chwili przekonała się, że mocno ściska rękę Bennetta. Zakłopotana próbowała uwolnić dłoń, ale jej na to nie pozwolił.

Następnego wieczoru Bennett wciąż czuł lekki ból ręki od uścisku Caroline. Ten fizyczny dowód jej lęku o Wyna jeszcze wzmocnił jego przekonanie, że żona kocha syna nie mniej szczerze niż on. Miłość przemieszana z obawami sprawiła, że nieustannie siedzieli i czuwali przy łóżku chorego dziecka.

Ciocia Sadie wracała, by sprawdzić, jak Wyn się czuje, i donieść krwawnika. Jej napar rzeczywiście zmniejszył gorączkę, dzięki czemu chłopiec lepiej spał. Później jednak budził się obolały i niespokojny i znów trzęsły nim dreszcze, a gorączka wracała.

Wtedy do pracy brali się rodzice. Caroline obmywała mu twarz zimną wodą, a oj-

ciec poił naparem z krwawnika. Gdy zioła zaczynały działać, chłopiec zasypiał, słuchając historii opowydanych przez Caroline. Mimo niepokoju o dziecko Bennettowi ta wspólna praca dla dobra syna wydawała się dziwnie satysfakcjonująca.

Gdy sen chłopca stawał się głębszy, siadali na krzesłach i przyglądali się, czy widzą jakąś zmianę w jego stanie.

- Nie krępuj się - powiedziała stanowczo Caroline podczas jednej z tych chwil. - Powiedz to na głos.

Bennett spojrział na nią nieufnie.

- Co twoim zdaniem chcę powiedzieć?

- Że Wyn zachorował przeze mnie. - Jej delikatna twarz zdradzała zmęczenie i wydawała się udręczona. - Przecież nie leżałby teraz rozpalony z gorączką, gdybym nie zabrała go na Tresco.

- Nie mogę udawać, że nie przemknęło mi to przez głowę. Pomyślałem jednak również, że nie zabrałabyś go, gdybym bez ostrzeżenia cię tutaj nie wysłał. - Spojrział jej w oczy. - Wzajemne oskarżenia nie uzdrowią Wyna. Spróbujmy więc skupić się na tym, co teraz możemy dla niego zrobić.

Patrzyła ze skupieniem prosto w jego oczy tak długo, aż poczuł się niezręcznie. Może próbuje rozstrzygnąć, czy moja propozycja jest szczera? - zadał sobie pytanie Bennett.

W końcu nieznacznie skinęła głową.

- No dobrze - powiedział i potarł świeży zarost na policzku. - Może więc teraz trochę się prześpisz. Zawołam cię, kiedy Wyn się zbudzi albo zajdzie jakaś zmiana.

- Ja będę przy nim czuwać, a ty pośpij - odpowiedziała zmęczonym szeptem. - Chyba że nie ufasz mi nawet w tak prostej sprawie.

Bennett nawet nie miał siły się zirytować. Ostatnio sporo rozmyślał nad tym, czy to na pewno obojętność była źródłem niedostatecznego zainteresowanie Caroline ich synem, jakie obserwował przez lata. Może jednak co innego?

- Próbowałem tylko okazać ci trochę zrozumienia. Wiem, że nie jesteś do tego przyzwyczajona.

Oczekiwał zjadliwej riposty, tymczasem Caroline odpowiedziała rzeczowo i spokojnie:

- Dziękuję, ale wolałabym zostać z Wynem. Jestem mu to winna za cały ten okres, kiedy nie było mnie przy nim, gdy mnie potrzebował.

Nie ulegało wątpliwości, że jest świadoma swoich zaniedbań w roli matki i próbuje to nadrobić. Jak mógł mieć o to pretensje?

- Pozwolę ci się z nim widywać, jeśli będziesz chciała - powiedział, mając na myśli to, co będzie po rozwodzie.

- Oczywiście, że chcę - odparła z westchnieniem. - Zastanawiam się tylko, czy dla niego nie byłoby lepsze co innego.

- Jak to? - Bennett potarł skronie, w których czuł bolesne pulsowanie. - Dałbym wszystko za to, żeby móc widywać matkę po tym, jak odeszła, i wiedzieć, co się z nią stało. Tymczasem któregoś dnia nagle okazało się, że zniknęła. Nikt mnie nie poinformował, dokąd ani dlaczego odjechała. Myślałem, że ją uprowadzono albo stało się coś jeszcze gorszego...

Te słowa wymknęły mu się w chwili nieuwagi. Zwykle trzymał język i emocje na

wodzy.

- To straszne! - Caroline chciała go dotknąć, ale w pół ruchu zorientowała się, co robi, i cofnęła rękę. - Kiedy moja matka umarła, też mi było ciężko, ale nie musiałam żyć w takiej zabójczej niepewności. Poza tym byłam mała i nie rozumiałam, że to rozstanie jest na zawsze.

Pierwszy raz powiedziała coś o swojej matce i było to dla Bennetta poruszające. Gdy ją poznał, dowiedział się, że jej ojciec jest wdowcem, ale nigdy nie miał czasu zastanowić się nad tym, że również Caroline straciła najbliższą osobę.

- A twój ojciec? - spytała. - Niczego ci nie powiedział?

Bennett chrapliwie się zaśmiał.

- Gdybyś miała okazję poznać mojego ojca, zrozumiałabyś, jak niedorzeczne jest takie przypuszczenie. Służący mnie ostrzegali, żebym nie ważył się nawet wspomnieć przy nim o matce. Wszyscy zachowywali się tak, jakby nigdy nie istniała, a mnie karano za pytanie o nią. O ile wiem, działo się to z polecenia ojca.

Musiał znowu obudzić w sobie czujność i skończyć z opowiadaniem o przeszłości, ale jakoś nie mógł się na to zdobyć. Poza tym to wcale nie było takie bolesne, jak wcześniej mu się zdawało.

- Jeśli twój ojciec był taki okrutny, to chyba nie ma nic dziwnego w tym, że matka od niego uciekła?

Pytanie Caroline powściągnęło jego skłonność do wspomnień.

- Właśnie taki zrobił się przez jej odejście! - szepnął z naciskiem, chociaż sumienie kazało mu wątpić w prawdziwość tych słów. Rozparł się na krześle. - Nie widzę sensu w kontynuowaniu tego tematu. Co było, to było, nie zmienimy tego, cokolwiek powiemy lub zrobimy.

- Tak... Chyba rzeczywiście masz rację - odparła Caroline. - Czy jednak nie sądzisz, że przeszłość wpływa na późniejsze nasze postępowanie? Czy byłbyś równie pochopny w oskarżaniu mnie o cudzołóstwo, gdyby twoja matka nie uciekła?

To pytanie prawdziwie zabolowało Bennetta.

- Powiedziałem ci, że nie chcę o tym rozmawiać.

- Twój ojciec nie chciał rozmawiać o tym, co stało się z matką - odparła. - To jednak nie znaczy, że miał rację. W jaki sposób dowiedziałeś się w końcu, co zaszło?

Nie miał zamiaru wyjawić niczego więcej, ale prawda była jak trucizna. Musiał ją wypluć, żeby go nie zabiła.

- Opowiedział mi o tym Fitz Astley! - syknął - Ze wszystkimi ohydnyymi szczegółami, a dwaj jego kolesie mnie trzymali, żeby mógł mnie obić na kwaśne jabłko podczas mojego pierwszego tygodnia w szkole.

- Łajdak! - krzyknęła Caroline, gdy Bennett zerwał się z krzesła. - Jednego nie rozumiem. Skąd on wiedział, co się stało, skoro ty nie miałaś pojęcia?

- Wiedział - burknął Bennett - ponieważ to jego ojciec był tym draniem, z którym uciekła moja matka. A teraz przepraszam cię, ale jednak udam się na spoczynek.

Gdy szedł do drzwi, Wyn poruszył się i jęknął. Bennett przypomniał sobie zalecenie uzdrowicielki, żeby nie niepokoić syna. Czy chłopiec mógł ich słyszeć nawet przez sen? Czy gniewny ton mógł zakłócić jego odpoczynek?

Zatrzymał się i znów usiadł na krześle.

- Kogo próbuję oszukać? - mruknął. - Nawet nie zmrużyłbym oka.

Nic dziwnego, że Bennett zabronił jej mieć cokolwiek wspólnego z Fitzem Astleyem. Rewelacja z ostatniej rozmowy poruszyła Caroline do głębi, dała bowiem możliwość zajrzenia w przeszłość męża. Gdyby wcześniej się domyślała...

Żałowała, że już dawno nie opowiedział jej o zdradzie swojej matki. Gdyby o tym wiedziała, może miałyby więcej zrozumienia dla tego, co Bennett mówił i robił w czasie ich małżeństwa. Nie dopuściłaby, aby jej uraza jeszcze pogłębiła różnice między nimi.

Siedzieli przy łóżku Wyna i Caroline obserwowała męża kątem oka. Teraz łatwiej jej było pojąć, dlaczego tak pochopnie posądził ją o zdradę.

- Jeszcze coś mnie zastanawia - zaczęła. - Dlaczego Astley pobił cię z powodu czegoś, co zrobił jego ojciec?

Wiedziała dobrze, że nie można wszystkich kłopotów w ich małżeństwie przypisywać przeszłości Bennetta i jego wrogim stosunkom z Astleyem. Wyczuwała jednak, że po części to właśnie są przyczyny, dla których Bennett nie chciał jej uwierzyć i wybaczyć. Uważała więc, że powinna zrozumieć, w czym rzecz - chociaż tyle się jej należy przed rozwodem.

- Astley obwiniął mojego ojca o to, że zmusił kochanków do wyjazdu do Irlandii. Gdyby rozwiódł się z moją matką, mogłaby ponownie wyjść za mąż i częściowo odzyskać reputację. A tak i ona, i jego ojciec stali się wyrzutkami żyjącymi w grzechu.

- Przecież ty w niczym nie zawiniłaś. - Poczucie sprawiedliwości Caroline zostało wystawione na poważną próbę. Wyobraziła sobie bandę starszych chłopaków znęcających się nad Wynem z powodu czegoś, na co Wyn nie miał najmniejszego wpływu. Żałowała, że nie może cofnąć czasu do tamtego wieczoru u Almacka, aby pokazać Astleyowi, na co naprawdę zasługuje!

Bennett zmarszczył czoło.

- Astleya nigdy nie obchodziło, kto płaci rachunek za jego złość. Po prostu potrzebował ofiary... Zawsze był gotów wykorzystać każdą ludzką słabość, byle dostać to, czego chciał.

Tym razem wykorzystał jej słabość. Caroline czuła, jak wzbierają w niej wściekłość i wstyd. Z powodu tego, co zrobiła, ucierpiał nie tylko Bennett, lecz również jej syn. Na szwank został wystawiony także ruch na rzecz zniesienia niewolnictwa, dla którego tak ciężko pracowali jej mąż i ojciec.

- Szkoda, że mi nie powiedziałaś, z jakiego powodu mam się trzymać z dala od tego typu, tylko po prostu zabroniłaś mi z nim rozmawiać. - Nie sądziła, by mąż chciał jej uwierzyć, mimo to mówiła dalej: - Gdybym miała choć blade wyobrażenie o tym, co ci zrobił, nigdy nie... nie czyniłabym mu zachęt.

Czyżby Astley od początku miał w planie wciągnięcie jej w kompromitującą sytuację, by jak najbardziej zaszkodzić Bennettowi i jego sprawie? To oczywiście nie umniejszało jej odpowiedzialności, ponieważ ułatwiła Astleyowi zadanie. Ten drań posłużył się nią, by zadać Bennettowi upokarzający cios. Teraz mąż z pewnością nią pogardzał.

Nie oczekiwała od niego odpowiedzi. Jednak po kilku minutach napiętego milczenia otrzymała ją.

- Może rzeczywiście powinienem był ci opowiedzieć całą tę historię. Obawiałem się jednak, że wyrze ona odwrotny efekt do zamierzonego.

Chociaż powiedziało to z rezygnacją, słowa zabolą ją. Jak mógł uwierzyć, że pozwoliłaby sobie na tak podłą prowokację?

- Tamtego wieczoru nie sądziłam, że on zacznie mnie całować - powiedziała, choć wiedziała, że Bennett i tak jej nie uwierzy. - I wcale tego nie chciałam.

Mąż przesłał jej spojrzenie, którym zdawał się pytać, jaki jest sens wyłgiwania się w taki sposób, a zwłaszcza okłamywania samej siebie. Powinna już dawno zrozumieć, że nie przekona Bennetta do swojej niewinności. Był zdecydowany pozbyć się jej, a jedynie dowiedziona zdrada mogła dać mu drogę do rozwiązania małżeństwa. Po tylu latach niszczącego milczenia nie umiała jednak powściągnąć języka.

- Przyznaję, że posunęłam się zdecydowanie za daleko, flirtując z Astleyem. Zrobiłam to jednak tylko dlatego, że od dawna już nie mogłam pod tym względem liczyć na ciebie. Chyba po prostu chciałam się upewnić, że jestem jeszcze atrakcyjna.

Bennett zaśmiał szyderczo.

- Chyba żartujesz! Nie zauważyłaś, w jaki sposób mężczyźni na ciebie patrzą i jak zachowują się w twojej obecności?

Tylko że inni mężczyźni nie mieli dla niej znaczenia.

- To tylko taka głupia gra, nie rozumiesz?

- Może dla ciebie - odparł Bennett, trąc oczy. - Niektóre gry mają jednak poważne konsekwencje.

Caroline zerknęła na syna, który znów zaczął się wiercić przez sen.

- Teraz to wiem. - Przekonała się o tym w wyjątkowo bolesny sposób. - Mam nadzieję, że zrewanżowałaś się Astleyowi za to pobicie przed laty.

- Owszem. - Zdawało się, że to wspomnienie sprawiło Bennettowi satysfakcję. - Szybko nauczyłem się, jak bronić interesów swoich i innych kolegów, którzy też byli przez niego terroryzowani. Uważam to za cenną lekcję życia.

Zawsze widziała w Bennecie człowieka wpływowego i opanowanego. Teraz ujrzała go w całkiem nowym świetle.

- Czy właśnie z tego powodu tak zaciekle walczysz z niewolnictwem?

- Częściowo tak. - Zamyślił się. - Poza tym rozmawiałem ze zbiegłym niewolnikiem, który opisywał, jak rozbijano rodziny, jak odbierano matkom dzieci...

Przez lata zdawało jej się, że zaangażowanie w walkę z niewolnictwem bierze się u Bennetta z hołdowania abstrakcyjnym zasadom sprawiedliwości i człowieczeństwa. Teraz pojęła, że była to kruczjata o głęboko osobistym podłożu.

Podziwiała męża za to, w jaki sposób wyciągnął wnioski ze swojego cierpienia w przeszłości i przekuł je w korzyść innych. To jednak stawiało jej życie pełne przyjemności w bardzo nieprzychylnym świetle.

Caroline nie mogła zaprzeczyć, że pewnego aspektu tego życia teraz jej brakuje. Nie sukni i klejnotów ani kosztownych rozrywek, lecz podziwu. Nazywano ją przecież „perłą towarzystwa” i „diamentem pierwszej próby”. Damy naśladowały ją pod względem mody. Dżentelmeni rywalizowali o to, by móc z nią tańczyć i flirtować. Nie były to może wybitne osiągnięcia, ale potrzebowała ich, bo rekompensowały jej niepowodzenia w dużo ważniejszych dziedzinach. Nawet jeśli - wbrew pogładowi Bennetta - nie była cudzołożnicą, to i tak zupełnie nie nadawała się na żonę dla kogoś takiego jak on.

Chciała powiedzieć Bennettowi, jak bardzo jej przykro, że swoim wybrykiem za-

szkodziła jego dumie i sprawie, o którą walczył. Wiedziała jednak, że to na nic. Im dłużej się nad tym wszystkim zastanawiała, w tym głębszą popadała zadumę.

Nieco później mgliście uświadomiła sobie, że Bennett dokądś ją niesie. Opierała się głową o jego muskularną klatkę piersiową i wdychała jego zapach. Wszystkie jej urazy, złość i poczucie winy były uspięne.

Czuła, że została delikatnie ułożona na łóżku. W odpowiedzi na dotyk Bennetta po jej ciele przelewały się fale ciepła. Chciała wyciągnąć ramiona i go objąć, ale okowy snu były zbyt ciężkie. Poza tym obawiała się, że jej zalotne zachowanie mogłoby wywołać u niego pogardę, nawet gdyby okazał się zbyt zmęczony, by się jej oprzeć.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Czyżby Caroline naprawdę nie zdawała sobie sprawy z tego, jaką jest atrakcyjną kobietą? Bennett zastanawiał się nad tym dziwnym problemem, gdy układał śpiącą żonę na łóżku w jej ciemnej sypialni.

Równie dobrze można było nie wiedzieć, że słońce jest złociste jak jej włosy albo że błękit morza przypomina jej oczy. Odkąd wrócił na Tresco, nieustannie walczył z pokusą. W prostej sukience, z rozpuszczonymi włosami i twarzą rozjaśnioną przez matczyną miłość Caroline wyglądała wyjątkowo pociągająco. Jako modna dama z londyńskiego towarzystwa wystrojona w piękną suknię, ufryzowana i obwieszona klejnotami nie robiła na nim żadnego wrażenia.

Trudno było mu uwierzyć, że za tą elegancką fasadą kryły się głęboka niepewność i zwątpienie w siebie. Dlaczego jednak wprawiało go to w takie zmieszanie? Wiedział przecież doskonale, że należy pielęgnować wizerunek silnego, zdecydowanego człowieka. Czasem oznaczało to również utrzymywanie pewnych faktów w tajemnicy.

Przez ostatnie dwa dni opowiedział Caroline o swojej przeszłości więcej, niż kiedykolwiek zamierzał. W innych okolicznościach na pewno by tego nie zrobił. Po raz pierwszy od lat rozmawiał swobodnie, mimowolnie poruszał trudne dla siebie kwestie, aż nagle poczuł się lekko, jakby zrzucił z serca wielki ciężar, który towarzyszył mu nieprzerwanie od wielu lat. Nigdy nie pomyślałby, że Caroline okaże się taką wdzięczną słuchaczką!

Ułożywszy żonę na łóżku, Bennett pochylił się nad nią. Podobał mu się miły zapach i ciepło promieniujące od jej ciała. Wreszcie z ociąganiem się wyprostował, obawiał się bowiem, że za chwilę straci nad sobą panowanie. Gdy jednak wstał, by opuścić pokój, zakręciło mu się w głowie i znów przysiadł na krawędzi łóżka.

Źródłem światła w pokoju były jedynie wąty odblask świec z pokoju Wyna i srebrzysta poświata księżycy sącząca się przez okno. Wszystko było pogrążone w głębokim cieniu.

Caroline, leżąca na łóżku, wydawała się bardzo delikatna i bezbronna. Bennett czuł wyraźne podniecenie ich niedawną bliskością, ale zidentyfikował w sobie również całkiem nowe, oszałamiające doznanie. Odniósł się do niego z ostrożnym zadowoleniem.

Oczywiście, dalej analizował małżeństwo, popełniała błędy, musiał jednak przyznać, że to samo mógł powiedzieć o sobie. Czy to możliwe, by właśnie przeze mnie Caroline zaczęła szukać towarzystwa poza domem, bo przestałem okazywać jej jakiegokolwiek zainteresowanie? Czyżby to ja swoim zachowaniem pchnąłem ją w ramiona kochanka? W naszej sferze zdarzało się to dość często, zwłaszcza gdy żona wywiązała się już z dynastycznego obowiązku i urodziła dziedzica.

Bennett powoli wstał i z zadowoleniem stwierdził, że zawroty głowy ustały. Wcale nie miał ochoty opuścić Caroline, wiedział jednak, że musi wrócić do syna.

Gdy rozłożył koc, leżący w nogach łóżka, i troskliwie okrył Caroline, zwróciła jego uwagę ironia ich sytuacji. Po siedmiu latach, kiedy ich małżeństwo rozpadało się,

wreszcie zaczęli się rozumieć.

Caroline mimo zmęczenia nie spała długo. Gdy Wyn się zbudził, usłyszała jego głos i zareagowała natychmiast.

- Proszę, kochanie, napij się jeszcze trochę ziół. - Podtrzymując chłopca, przytknęła mu kubek do warg. - Wiem, że ci nie smakują, ale po nich zawsze czujesz się lepiej, proszę.

Dziecko odwróciło głowę.

- Nie chcę.

- Wyndhamie Wilberforsie Maitland - powiedział z powagą Bennett, siedzący w nogach łóżka. - Musisz robić to, co każe ci matka.

Poczuł się jak odrażający troll, bo chłopcu zatrzęsała się broda. Mimo wszystko Wyn przestał bronić się przed podaniem kubka i upił długi łyk.

- Grzeczny, dzielny chłopiec - pochwaliła go Caroline i pocałowała w spocone czoło.

Gdy odwróciła głowę do Bennetta, spodziewał się karcącego spojrzenia za to, że tak srogo odezwał się do chorego dziecka, ale z jej oczu biło tyle ciepła i wdzięczności, że nawet nie było potrzebne słowo „dziękuję”.

Wyczuł w tym spojrzeniu coś jeszcze - niewypowiedzianą prośbę. Ku swemu zaskoczeniu miał wrażenie, że wie, o co chodzi.

- Dobra robota, synu. - Uśmiechnął się z nadzieją, że chłopiec zrozumie, skąd ten surowy ton przed chwilą. - Chcemy tylko, żebyś jak najszybciej poczuł się lepiej.

- Tak, tato.

Skrzywił się przy następnym łyku herbatki z krwawnika. Udało im się go zachęcić, by wypił resztę, a potem zjadł trochę bulionu. Po posiłku Bennett podał Wynowi nocnik, a Caroline przebrała go w suchą, czystą koszulę nocną.

- Chciałbyś posłuchać jakiejś historii? - spytała, gdy otulony znowu leżał w pościeli.

- A czy tata mógłby opowiedzieć mi, jak to było, kiedy przyjeżdżał tutaj ze swoją mamą?

Bennett samą miną zdradził niechęć do tego pomysłu, więc Caroline interweniowała.

- Tata jest bardzo zmęczony, kochanie. Powinien trochę pospać. Może opowie ci coś później.

- Dam radę. - Bennett zajął miejsce żony na łóżku. Chociaż był jej wdzięczny za to, że chciała mu oszczędzić kłopotu, miał poczucie, że musi korzystać ze sposobności zbliżenia się do Wyna. - Chyba zapamiętałem dość z tamtych czasów, by móc ci coś opowiedzieć. Musisz jednak obiecać, że mnie szturchniesz, jeżeli przysnę w trakcie.

- Dobrze. - Wyn na chwilę wrócił do swojego dawnego, radosnego usposobienia. Bennett miał nadzieję, że gorączka już nie wróci. Zaczął opowiadać Wynowi wszystko, co sobie mógł przypomnieć z wakacji, które spędzał w dzieciństwie na Tresco. Na szczęście przychodziły mu do głowy jedynie przyjemne zdarzenia. We wszystkich brała udział troskliwa matka, w niczym nieprzypominająca rozpustnej cudzołożnicy, która go opuściła. W tej chwili Bennett miał jednak zbyt duży chaos

w głowie, by spróbować jakoś pogodzić te dwa wyobrażenia.

Był właśnie w połowie opowieści o miejscowym święcie plonów, *Tekla Theis*, gdy poczuł na ramieniu dłoń Caroline.

- Wyn znowu zasnął, ty też powinienesz pospać - szepnęła mu do ucha.

- Posiedzę przy nim.

Zatoczył się, próbując przesiąść się na swoje krzesło.

- Bądź rozsądny, proszę. - Caroline chwyciła go za ramię, żeby nie upadł. - Zwykle nie masz z tym kłopotów. Jeśli zaśniesz na siedząco, ja na pewno nie zaniosę cię do łóżka. Chodź więc od razu, póki jeszcze możesz. Jeśli to zrobisz, obiecuję, że następnym razem kiedy Wyn zaśnie, ja z kolei skorzystam i odpocznę. Na nic mu się nie przydamy, jeśli będziemy przemęczeni.

- Mówisz całkiem do rzeczy - wymamrotał, jakby był pijany. - Możesz mną pokierować, żebym nie spadł ze schodów?

Kilka dni temu pewnie nie nawiedziłyby go podejrzenia, że zaraz zostanie zepchnięty. Wspólna troska o syna zatarła jednak dzielące ich różnice.

- Oczywiście. - Caroline melodyjnie się zaśmiała, zupełnie jakby śledziła jego myśli. - Chodźmy.

Udało im się bez przeszkód dotrzeć do pokoju Bennetta. Przez okno widać było horyzont na wschodzie. Niebo mieniło się pastelowymi smugami zapowiadającymi świt. Caroline nigdy nie wyglądała piękniej niż w tym świetle. Z bólem serca Bennett uświadomił sobie, jak wiele musiał stracić przez to, że nigdy nie zostawał w łóżu żony do rana.

- Wiem, że oboje potrzebujemy snu - przyznał półprzytomnie, gdy już się położył. Ujął Caroline za rękę i lekko uścisnął. - Będę jednak żałował przespanej okazji do rozmowy. Może gdybyśmy rozmawiali tak wcześniej...

„Może gdybyśmy rozmawiali tak wcześniej...” - Caroline powtarzała sobie w myślach niedokończone zdanie męża.

Jaka szkoda, że Bennett był zbyt wyczerpany, by dokończyć. Urwał, jakby szukał właściwych słów, ale zanim je znalazł, ręka bezwładnie mu opadła, a oddech się wyrównał. Zmorzył go sen.

Z najwyższą trudnością Caroline oparła się pokusie, by zostać i poprzyglądać się Bennettowi lub nawet pozwolić sobie na coś bardziej zuchwałego. Powtarzała sobie, że ta nagła poufałość między nimi jest tylko złudzeniem. Kilka szczerych zdań zamienionych w środku nocy nie mogło uratować ich małżeństwa.

Uznała, że kiedy Wyn wyzdrowieje, a Bennett nadrobi braki snu, wszystko wróci do normy. Zmieni się tylko jedno. Inaczej będzie tłumaczyła sobie przyczyny, dla których ich małżeństwo się rozpadło. Zaczynała wierzyć, że było naznaczone piętnem niepowodzenia od samego początku.

Chciała umożliwić Bennettowi długi i mocny sen, ale okazało się to niemożliwe. Zaledwie dwie godziny później Wyn znowu się zbudził. Tym razem czoło miał jeszcze gorętsze niż przedtem. Zdawał się nawet nie poznawać Caroline i nie wiedział, gdzie się znajduje. Ciągłe nazywał ją „Greggy” i błagał, żeby nie pozwoliła rodzicom krzyczeć na siebie. Czyżby Wyn dostał gorączki mózgowej, przed którą ostrzegała ich ciocia Sadie?

- Parker, zawołaj jego lordowską mość! - poleciła służącej, która właśnie doniosła wodę. - Potem pošlij Alberta po panią Hicks. I przynieś mi kubek jej naparu dla panicza Wyna.

- Natychmiast, milady.

Służąca chyba przestraszyła się trwożnego tonu pani, bo niezwłocznie ruszyła do drzwi.

Chwilę później do pokoju wpadł Bennett.

- Czy Wynowi się pogorszyło? Wiedziałem, że powinienem przy nim siedzieć.

- Niczego by to nie zmieniło.

Caroline drżącą ręką próbowała obmyć synowi czoło, ale opierał się tym niezgrabnym zabiegom, rzucając głową na prawo i lewo.

- Spał zupełnie spokojnie, ale kiedy się zbudził... nie poznał mnie.

Czy syn wołałby ją imieniem innej kobiety, gdyby nie scedowała tyłu swoich matczynych obowiązków na najętą służącą? Sumienie nie dawało jej spokoju.

Zanim Bennett zdążył odpowiedzieć, chłopiec znów zrobił się niespokojny i zaczął jęczeć.

- Przestań, Greggy! Już się kąpałem. Czy mama przyjdzie powiedzieć mi „dobranoc”, zanim wyjedzie?

Caroline zerknęła na męża, szukając u niego pokrzepienia. Chciała, by zapewnił ją, że nie potwierdzą się jej najgorsze obawy. Jednak gdy spojrzała mu w oczy, zobaczyła w nich lęk nie mniejszy od swojego.

- Posłałaś po panią Hicks?

Bennett ukląkł przy łóżku syna obok Caroline, która w odpowiedzi na jego pytanie skinęła głową.

- Twoja mama jest tutaj, Wyn, i ja też. - Ujął dziecko za rękę i zaczął przemawiać kojącym tonem, jakiego Caroline nigdy u niego nie słyszała: - Spróbuj leżeć spokojnie.

- Tata? - Wyn odsunął się od niego. - Proszę, nie bądź na mnie zły i nie krzycz na mamę.

Im bardziej Bennett próbował uspokoić dziecko, tym bardziej było pobudzone, a lęk Caroline rósł z każdą chwilą.

Zanim przyszła pani Hicks, Caroline niemal odchodziła od zmysłów. Posępna mina uzdrowicielki była kroplą, która przelała czarę.

- To moja wina! Nie powinnam była go tu przywieźć. A jeśli on...

Urwała, nie będąc w stanie wypowiedzieć swojego najgorszego przypuszczenia.

Bennett wymienił spojrzenia z uzdrowicielką. Chwilę potem Caroline poczuła, że mąż odciąga ją od łóżka chorego dziecka, delikatnie, ale stanowczo.

- **Ćśśś**, Caro. Wszystko będzie dobrze. - Mówił takim tonem, jakim niekiedy zwracał się do syna, a jednocześnie prowadził ją do drzwi. - Chodźmy. Musimy pozwolić pani Hicks zrobić wszystko, co w jej mocy, by pomóc Wynowi.

Dała się w końcu wyprowadzić, ale nie mogła powstrzymać łez. Gromadzące się w niej od dawna uczucia lęku i żalu wezbrały. Mój synek umrze przeze mnie, przez mój egoizm, wyrzucała sobie, i będę musiała żyć z tym ciężarem.

Zatopiona w myślach, nie widziała, dokąd idzie, dopóki Bennett nie posadził jej na

krawędzi łóżka. Usiadł obok, przyciągnął ją do siebie tak, że czołem oparła się o jego silne ramię, a drugą ręką zaczął z niezgrabną czułością głaskać ją po plecach.

- Cicho, nie mów tak, bo sama zachorujesz. - Wydawał się nieco skrępowany wybuchem uczuć, a zarazem szczerze zatroskany jej stanem. - Na pewno nie jest aż tak źle. Po prostu jesteś bardzo zmęczona.

Cofnął dłoń z jej pleców, wyjął chusteczkę i zaczął delikatnie ocierać łzy z jej twarzy. Było w tym tyle ciepła i czułości, że Caroline odzyskała panowanie nad swoimi uczuciami.

- Już lepiej... - Szept Bennetta uspokajał ją. - Dużo lepiej...

Wsunął jej w dłoń wilgotną chustkę, a sam ostrożnie pogłaskał ją po policzku. Zdało się, że oboje znaleźli się pod wpływem niewidzialnej siły, która ciągnie ich usta ku sobie. Pierwsze nieśmiałe zetknięcie warg sprawiło, że zmysły Caroline wyostrzyły się. Ogień popłynął w jej żyłach i rozlał się po całym ciele niepohamowanym pożądaniem.

Płomień ogarnęły również Bennetta. Mocniej objął Caroline. Pocałunek stał się głębszy i gorętszy. Caroline rozchyliła wargi pod naporem jego języka.

Czegoś tak wspaniałego razem nigdy nie doświadczyli. Caroline rozkoszowała się tą chwilą jak wyrafinowanym daniem podanym po okresie postu. Miała świadomość, że pewnie ostatni raz Bennett ją całuje i chciała dobrze zapamiętać wszystko, co w tej chwili czuła. Gdy z takim entuzjazmem wymieniali pieszczoty, zaczęła sobie wyobrażać, że Bennett darzy ją miłością, o jakiej kiedyś marzyła.

- Milordzie! Milady!

Nagłące wezwanie Parker z korytarza przerwało magiczny moment pocałunku.

- Pani Hicks prosi, żeby państwo szybko przyszli!

Caroline i Bennett raptownie odsunęli się od siebie, jakby byli parą kochanków złapaną na gorącym uczynku w odosobnieniu sypialni.

Wyn! Ta myśl podziałała na Caroline jak kubeł zimnej wody. Jak mogła zapomnieć o swoim chorym synu, by samolubnie oddawać się rozkoszy?

Bennett skrzywił się i jego wyraziste rysy ułożyły się w ponury grymas. Patrzył gdzieś przed siebie, byle tylko nie spojrzeć w oczy Caroline. Było jasne, że i on żałował tej chwili słabości, w której niefrasobliwie oddał się pożądaniu. Może nawet miał do niej pretensje.

Co się stało? - zastanawiał się Bennett, gdy przejęty głos Parker rozwiął magię pocałunku. Miał nawet ochotę ostro skarcić służącą za zniszczenie najwspanialszej chwili, jakiej doświadczył od dawna, ale na szczęście rozsądek i instynkt ojcowski przypomniały mu, że Wyn jest najważniejszy.

Z drugiej strony odczuł coś na kształt ulgi. Kto wie, dokąd mógł zaprowadzić nas ten pocałunek... - stwierdził w duchu. Utrata panowania nad sobą była niebezpiecznym sygnałem. Łatwo mógł przypisać to impulsywne zachowanie zmęczeniu i sile pożądania, w duchu wiedział jednak, że jego powodem było coś daleko głębszego i o wiele bardziej niepokojącego.

Tymczasem pospieszyli do pokoju Wyna. Przygotowany na najgorsze Bennett nie mógł uwierzyć własnym oczom, gdy dziecko wyciągnęło ręce do Caroline.

- Mamo, jestem głodny. Mogę dostać trochę owsianki?

Zawahała się, a Bennett zaczął się zastanawiać, czy Caroline nie przestraszy dziecka kolejnym wybuchem płaczu. Nie mógłby zresztą mieć o to do niej pretensji. Do jego oczu również napłynęły łzy szczęścia i ulgi. Caroline jednak opanowała emocje i rozładowała je głośnym wybuchem śmiechu.

- Oczywiście, kochanie! Owsianki albo czegoś innego, na co miałbyś ochotę. - Zerknęła na uzdrowicielkę. - Pod warunkiem że pani Hicks ci na to pozwoli.

Kobieta skinęła głową. Spoglądała z życzliwością i satysfakcją.

- Tylko nic ciężkiego i na razie w małych porcjach. Teraz, gdy gorączka ustąpiła, chłopak musi jeść, aby odzyskać siły.

Bennett odetchnął z ulgą, słysząc, że synowi już nic nie grozi. Gdy jednak uwolnił się od tego zmartwienia, znów zaczęła go dręczyć kwestia pocałunku. Wmawiał sobie, że to tylko efekt zmęczenia i zbyt silnych emocji.

Czy właśnie dlatego Caroline tak namiętnie odwzajemniła jego pocałunek? - zastanawiał się, obserwując żonę, jak krząta się przy łóżku syna. Może w ten sposób chciała wykorzystać jego słabość i powstrzymać go przed rozwodem? Jeszcze niedawno uwierzyłby bez wahania, że żona może uciec się do takiej manipulacji. Teraz nie był już taki pewny.

Ponieważ Wynowi spadła gorączka, uzdrowicielka zebrała swoje rzeczy do koszyka i przygotowywała się do odejścia. Bennett wskazał ruchem głowy korytarz.

- Czy możemy jeszcze zamienić kilka słów?

Kobieta skinęła głową. Uszła jednak nie więcej niż dwa kroki, gdy Caroline zbliżyła się do niej, ujęła jej sękatą dłoń i ucałowała.

- Nawet nie wiem, jak dziękować za wszystko, co pani zrobiła dla naszego syna!

Pani Hicks wydawała się zaskoczona, lecz jednocześnie zachwycona tak gorącymi wyrazami wdzięczności.

- Ludzie na Tresco mają szczęście, że mogą korzystać z pani pomocy. Na zawsze pozostanę pani dłużniczką - powiedziała jeszcze Caroline i wróciła do Wyna.

Bennett i uzdrowicielka wyszli na korytarz.

- Jak szybko pani zdaniem mój syn nabierze dość sił, by popłynąć z powrotem na ląd? - spytał.

Perspektywa spędzenia dłuższego czasu pod jednym dachem z Caroline była dla niego bardzo niepokojąca, chociaż z całkiem innego powodu niż przedtem.

Pani Hicks zastanawiała się chwilę nad jego pytaniem. Wyglądała tak, jakby próbowała odgadnąć, jakiej odpowiedzi Bennett oczekuje.

- Wystarczy tydzień, milordzie, jeśli mały będzie wypoczywał, dobrze jadł i nic go nie wytrąci z równowagi. Dzieci odzyskują siły bardzo szybko. Im jednak dłużej milord tu zostanie, tym lepiej syn się wzmocni. Na pewno będziecie z żoną umieli ocenić, kiedy można już wyruszyć w podróż.

Tydzień... - Bennett powtórzył w duchu. Nie wiedział, czy jest to prawie wieczność, czy wręcz przeciwnie - zaledwie krótki moment. To oznaczałoby, że jego nieobecność w parlamencie potrwa blisko trzy tygodnie. Poczucie obowiązku nakazywało mu wrócić jak najszybciej, a przezorność upewniała, że nierozsądnie postąpi, przedłużając pobyt na Tresco. Mimo to był zdecydowany jeszcze trochę poczekać, po pierwsze ze względu na samopoczucie syna, a po drugie z przyczyn, których istnienia nie chciał przyjąć do wiadomości.

- Przekonamy się więc, jak Wyn będzie się czuł. - Bennett koniecznie chciał szczerze wynagrodzić uzdrowicielkę. - Mam nadzieję, że zaopiekuje się nim pani jeszcze przez kilka dni, aby dochodził do siebie pod pani czujnym okiem.

- Oczywiście. - Pani Hicks pogroziła mu palcem. - Teraz, kiedy gorączka spadła, nie ma potrzeby, żeby milord i jego żona czuwali przy nim dzień i noc. Jeśli państwo chcą, żeby ktoś przez cały czas miał na niego oko, niech ta Parker pokaże, że zasługuje na swoją wypłatę. Państwo muszą swoje odespać, bo inaczej też zachorują.

Bennett obiecał stosować się do zaleceń i dopilnować, by robiła to również Caroline.

Po odprowadzeniu pani Hicks Bennett wrócił do pokoju syna. Miał pewne obawy przed znalezieniem się sam na sam z żoną, gdy nie było już uzdrowicielki. Na szczęście Wyn jeszcze nie zasnął i właśnie opowiadał mamie, co zapamiętał ze swoich dziwnych snów w gorączce. Bennett wolał się zanadto nie zbliżać do Caroline, stanął więc w nogach łóżka i słuchał. Starał się unikać wzroku żony, od czasu do czasu jednak mimo woli kierował ku niej ukradkowe spojrzenie.

Wyglądało na to, że Caroline jest nie mniej niż on poruszona ich pocałunkiem. A skoro tak, to może i ona wolałaby udawać, że nic się nie stało.

Wyn przerwał opowieść, gdy pojawiła się Parker z talerzem gorącej owsianki. Dziecko zmierzyło służącą nieufnym spojrzeniem.

- Sama gotowałeś? - spytał.

Parker spojrzała skonsternowana. Zdawała się nie wiedzieć, czy powinna się oburzyć, czy roześmiać.

- Niech panicz się nie obawia. Ojciec panicza najął kucharkę.

Dziecko uśmiechnęło się i głośno nabrało powietrza.

- Pachnie ładnie.

- Nakarmić go, milady? - zwróciła się Parker do Caroline.

Caroline pokręciła głową.

- Poradzę sobie, dziękuję.

- Mogę sam zjeść - nalegał Wyn. - Nie jestem niemowlakiem.

- Oczywiście, że nie, kochanie. - Caroline wzięła talerz od Parker, nabrała owsianki na łyżkę i podmuchała, aby ostudzić. - Tyle że byłeś bardzo chory, a poza tym w łóżku trudno jeść tak, żeby nie porozlewać.

Chłopiec uparcie trzymał buzię zamkniętą. Bennett już miał go skarcić, kiedy Caroline udało się osiągnąć cel zachętą.

- Zrób przyjemność mamie jak grzeczny chłopiec. Rzadko miałam okazję cię nakarmić, kiedy byłeś niemowlakiem.

Bennett zastanawiał się, czy chłopiec zauważył chwilę słabości mamy, czy po prostu miał taki kaprys. Przyglądał się, jak Caroline karmi syna, który wkrótce potem znowu zasnął. Bennett sięgnął po pusty talerz.

- Odniosę to do kuchni, a przy okazji powiem Parker, żeby przyszła. My też musimy usiąść w spokoju i zjeść, jak należy.

Caroline pokręciła głową.

- Nie jestem głodna. Wolałabym zostać tutaj, na wypadek gdyby Wyn mnie potrzebował.

Naprawdę o to jej chodziło? A może nie chciała jeść z nim przy jednym stole i prowadzić sztywnej konwersacji? Jemu też ta perspektywa się nie uśmiechała, ale radę uzdrowicielki zamierzał traktować poważnie.

- Nie musisz niczego mi udowadniać, przecież wiesz.

Mimo jej wcześniejszego zachowania uznał, że Caroline naprawdę bardzo kocha Wyna, chociaż sposób wyrażania tego uczucia był zupełnie odmienny od jego wyobrażeń.

- Muszę coś udowodnić Wynowi i sobie samej - wyjaśniła Caroline, wysuwając podbródek do przodu. - Poza tym będę mogła spać do woli, kiedy Wyn wyjedzie.

- Zostaniemy jeszcze co najmniej kilka dni. Chyba nie chcesz opaść z sił i zachorować?

- Czy o tym rozmawiałeś na korytarzu z panią Hicks? Jak szybko Wyn będzie na tyle zdrowy, by móc podróżować?

Bennett skinął głową.

- Co powiedziała?

- Być może już za tydzień.

- Na pewno nie tak szybko. - Caroline zerknęła na śpiące dziecko. - Zobacz, jaki jest mizerny. Przeprowa do Kornwalii jest ciężka. Potem trzeba jeszcze podróżować kilka dni po nierównych drogach, a w powozach są przeciągi. Każdą noc spędza się w innej gospodzie, nie zawsze czystej. Cały czas się zastanawiam, czy on nie dostał gorączki właśnie przez tę podróż.

- Co się stało, to się nie odstanie. Rozpamiętywanie niczego nie zmieni.

Czy mówił teraz o przywiezieniu Wyna na Tresco, czy o błędach, które popełnili w małżeństwie? Nic z tego, co zaszło przez ostatnie dni, nie mogło zmienić przeszłości.

Tymczasem Bennett nie umiał zrozumieć, dlaczego czuje się tak, jakby między nimi zaszła jakaś głęboka i bardzo ważna zmiana.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tydzień.

Caroline wiedziała, jak najlepiej wykorzystać ten czas. Musiała dowieść Bennettowi, że się zmieniła i że jest w stanie być taką matką, jakiej Wyn potrzebuje. Gdyby udało jej się wywiązać z tego zadania odpowiednio, może Bennett zgodziłby się, żeby syn został na wyspie do czasu, aż w pełni odzyska siły.

Odnosiła wrażenie, że sytuacja jej sprzyja. Z każdym mijającym dniem stawało się bardziej oczywiste, że Bennett nie może się doczekać, kiedy pożegna Tresco... i swoją żonę. Przyczynę nietrudno było odgadnąć. Wszystko przez ich pocałunek!

Gdy przypominała sobie zmysłowe doznania towarzyszące dotykowi jego warg, serce zaczynało jej bić szybciej, a po całym ciele rozlewało się gorąco. Nadal jednak nie miała pojęcia, dlaczego właściwie Bennett ją pocałował. Nie była też pewna, dlaczego tak entuzjastycznie odpowiedziała.

Czy była to tylko desperacka prośba o pokrzepienie, a potem sytuacja wymknęła się spod kontroli? – zastanawiała się. A może stracili nad sobą panowanie po prostu z powodu zmęczenia?

Z późniejszego zachowania Bennetta wynikało, że żałował tych impulsywnych uścisków i wolał udawać, że nigdy się nie zdarzyły.

Jeśli właśnie tego sobie życzył, umiała się dostosować.

– Mamo! – przywołał ją do porządku głos Wyna. – Co dalej? Przerwałaś w połowie historii!

– Ojej, no tak. – Dzięki Bogu, że nie było w pobliżu Bennetta, który wypomniałby jej wpadkę. Mijał czwarty dzień bezcennego tygodnia i czuła, że jej plan udowodnienia, że potrafi być dobrą matką, nie został w pełni zrealizowany. Okazał się trudniejszy do wykonania, niż początkowo przypuszczała. – Na czym to ja skończyłam?

– Stara kobieta spotkała wołu.

– Naturalnie. – Caroline próbowała nadażyć za wątkiem, aby tym razem nie zbłądzić myślami. – Staruszka powiedziała: „Wole, wole, wypij wodę. Woda nie chce zgasić ognia. Ogień nie chce przypalić kija. Kij nie chce uderzyć psa. Pies nie chce ugryźć świnki. Świnka nie chce przeskoczyć ogrodzenia i ja przez to nie mogę się dzisiaj dostać do domu”.

– Ale wół nie chciał – włączył się Wyn.

Znał już tę historię tak dobrze, że prawdopodobnie mógłby ją wyrecytować bez pomocy.

– Uciążliwe stworzenia te woły – powiedziała Caroline, tłumiąc ziewnięcie, podczas gdy próbowała sobie przypomnieć dalszy ciąg historii.

Chociaż z Bennettem nie musieli już czuwać nocami przy synu, wciąż jeszcze czuła się zmęczona. Odkąd Wyn zaczął zdrowieć, bardzo niecierpliwiło go pozostawanie w łóżku – chciał już chodzić. Caroline musiała poświęcić wiele energii i zaangażować całą swoją pomysłowość, żeby czymś go zająć i zapewnić dobry humor. Zwykle zachęcanie do jedzenia i drzemki stało się nie lada wyzwaniem, które z każdym dniem było trudniejsze. Caroline zaczynała rozumieć, dlaczego pani McGregor czę-

sto wydawała się poirytowana.

Wiedziała jednak, że nie wolno jej narzekać, a zwłaszcza nie przed Bennettem. Nie chciała dać mu pretekstu do zabrania Wyna do Londynu, gdy tylko tydzień dobiegnie końca. Tym bardziej że przez ostatnie dni mąż zdawał się obserwować ją uważniej niż dotąd. Choć milczał, wydawał się krytyczny wobec wszystkich jej zabiegów. Nieważne, jak bardzo się starała być lepszą matką, krępująca obserwacja Bennetta przypominała jej, że i tym razem wszystkie jej wysiłki spełzną na niczym.

- A potem świnka przeskoczyła przez ogrodzenie... - opowiadając dalej, Caroline usiłowała odsunąć od siebie przykre myśli. - I staruszka jednak wróciła tego wieczoru do domu.

Gdy tylko padły ostatnie słowa, Wyn przybrał błagalny ton.

- Opowiedz mi inną historię, mamó. Proszę!

Szeroki uśmiech dziecka sprawił, że wszystkie strapienia stały się nagle dla Caroline nieistotne. Zrobiło jej się ciepło na sercu, gdy widziała, jak bardzo Wyn się cieszy. Odkąd dorósł na tyle, by sprawiało mu to przyjemność, czuła, że ma większe szanse, by wymyślić dla niego coś zajmującego.

Uniosła jego rękę i pocałowała.

- A jeśli opowiem ci jeszcze jedną, to spróbujesz zasnąć?

- Spróbuję.

Trzy historie później wcale nie wydawał się bardziej senny, za to Caroline rozboleło gardło. Właśnie wtedy zajrzał do pokoju Bennett. Pięknie ogolony, w czystym ubraniu przypominał jej dość boleśnie o tym, jak sama wygląda. To niedorzeczne, powiedziała sobie. Przecież zupełnie jej nie obchodziło, co sądzi mąż o jej prezencji. Mogłoby to być jedynie źródłem kolejnego krępującego incydentu, jak pocałunek.

- Zdawało mi się, że słyszę głosy. Czy przypadkiem młody kawaler nie powinien już spać?

Aluzyjnie wyrażone niezadowolenie było dla jej skołatanych nerwów trudne do zniesienia.

- Staram się - powiedziała z westchnieniem.

- Nie chcę - zaprotestował Wyn. - Chcę wyjść na dwór i zobaczyć wszystkie te miejsca na wyspie, o których mi opowiadałeś. Zamki, plaże i to Gimble.

Bennett słuchał go ze zmarszczonym czołem.

- Nie możemy nigdzie iść, dopóki nie odzyskasz sił. Dlatego musisz odpoczywać i jeść, a zdaje się, że ani jedno, ani drugie nie wychodzi ci dobrze.

Wyn spojrział na ojca z wyrzutem i nadał się. Caroline widziała, że przygana Bennetta sprawiła mu przykrość.

- Mama musi teraz trochę odpocząć - oznajmił synowi Bennett tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Może zaśniesz, jeśli w pokoju zapadnie cisza i nic nie będzie odwracało twojej uwagi.

Czyżby Bennett sugerował, że jej historie przeszkadzają Wynowi spać? Może uznał, że celowo utrudnia jego rekonwalescencję? Nie zdziwiłoby jej to ani trochę, zważywszy na to, o jakie przewinienia wcześniej ją podejrzewał.

W najgorszym okresie choroby Wyna zdawało się, że niektóre bariery między nią a Bennettem kruszeją. Teraz jednak, gdy dziecku już nic nie groziło, Bennett sprawiał takie wrażenie, jakby chciał je odbudować i w dodatku umocnić. Jak mogła być

tak naiwna, by sądzić, że niechęć podsycana przez lata zniknie w ciągu kilku dni?

Najwyraźniej Bennett nie chciał uwierzyć w to, że jego żona potrafi być troskliwą matką. Dopóki zaś uważał jej opiekę rodzicielską za nieodpowiednią, czuł się w prawie, by odebrać jej syna.

Początkowo Bennett myślał o tym, że choroba syna zbliżyła ich dwoje. Jednak w miarę jak chłopiec zdrowiał, znowu oddalali się od siebie. Próbował sobie tłumaczyć, że tak jest lepiej, zważywszy na to, co miała przynieść przyszłość, ale utrata domowej harmonii pozostawiła w nim żal.

Przez ostatnie kilka dni Bennett musiał poddać rewizji swoje poglądy. Przez większą część życia syna chlubił się tym, że jest bardziej wiarygodnym i oddanym rodzicem. Ostatnio jednak pod nieobecność pani McGregor to Caroline ze znacznie większą cierpliwością znosiła narzekania i kaprysy chłopca.

Nieraz zdawała się bliska utraty zmysłów. Mimo to udawało jej się zapanować nad sobą i dzielnie trwała przy boku Wyna. Bennett nigdy nie podejrzewałby żony o taką stałość charakteru. Zaczynał się zastanawiać, czy i pod innymi względami nie ocenił jej zbyt pochopnie. Chciał jak najszybciej wrócić do Londynu, żeby nie zakwestionować absolutnie wszystkiego, co dotyczyło jego małżeństwa i życia.

- Nie masz obowiązku dawać mu wszystkiego, o co poprosi - powiedział cicho do Caroline, gdy wyszli na korytarz.

W zamierzeniu Bennetta miała to być dobra rada. Nie chciał, by Caroline całkiem opadła z sił, spełniając każdy bez wyjątku kaprys ich syna.

Zrobiła zakłopotaną minę. Wydawała się zmęczona, lecz mimo to wyglądała bardzo atrakcyjnie.

- Ja tylko się staram, żeby było mu jak najlepiej. Tak przynajmniej mogę wynagrodzić mu to, że go tutaj ściągnęłam.

Gdy razem szli na dół, Bennett przypomniał sobie, w jakim pośpiechu zbiegali z tych samych schodów parę dni temu. Omal nie stratował Caroline, żeby dotrzeć do syna.

- Mimo wszystko nie powinnaś spełniać każdej jego zachcianki. On potrzebuje wyraźnych granic i stałego rozkładu zajęć, który posłuży jako fundament. To da mu poczucie bezpieczeństwa.

Caroline parsknęła.

- Rozumiem, że to są słowa ewangelii według pani McGregor?

Słyszac ten przytyk, mimo woli się uśmiechnął.

- Ta kobieta zna się na swojej pracy. Musisz zresztą przyznać, że dobrze wychowała naszego syna. Wiem, że odkąd poczuł się zdrowszy, trudno nad nim zapanować, ale to bardzo porządny młody mężczyzna.

Przystanęli w salonie, który wyglądał już całkiem inaczej niż wtedy, gdy Bennett wszedł do niego pierwszy raz po przyjeździe na Tresco. Bennett najął do uprzątnięcia domu miejscowe kobiety i specjalnie dla Caroline postarał się, żeby dom był dobrze zaopatrzony i miał służbę. Inna sprawa, że w ten sposób częściowo zabezpieczył się przed wyrzutami sumienia, które nieuchronnie musiały towarzyszyć jego wyjazdowi z Wynem do Londynu.

W odpowiedzi na uwagę o pani McGregor Caroline z ociąganiem skinęła głową.

- Powiedz, proszę, od kiedy znasz się na wychowaniu dzieci.

- Nie twierdzę, że się znam. Sam jednak kiedyś byłem dzieckiem i pamiętam tamte czasy. Uporządkowany, przewidywalny rozkład dnia w pokoju dziecięcym, a potem w szkole dał mi oparcie, kiedy wszystko inne przewróciło się do góry nogami.

- Czy jednak musisz być teraz taki surowy dla Wyna? On może pomyśleć, że jesteś na niego zły.

- Surowy? Bzdura. Po prostu wyegzekwowałem bardzo racjonalne polecenie. Najwyższy czas, żeby ktoś to zrobił.

Żałował, że dawno temu nie zakończył nieustannych balów i przyjęć Caroline, zanim sytuacja wymknęła się spod kontroli. Nie zamierzał popełnić podobnego błędu z synem.

- Nie musisz podnosić na niego ręki albo głosu, żeby go zranić. - Caroline potarła skronie. - Wystarczy chłód twojego dezaprobowującego milczenia.

Ten zarzut był jak mocny cios zadany w eleganckiej rękawiczce.

- Wyn wie, że jest dla mnie bardzo ważny. Życie nie polega na oddawaniu się przyjemnościom bez względu na konsekwencje. Im szybciej dziecko się tego nauczy, tym mniej kłopotów będzie miało w przyszłości.

Przewidywał, że ich wymiana zdań przekształci się w kolejną kłótnię, która tylko podsyci wzajemną wrogość. Dlatego zanim Caroline zdążyła odpowiedzieć, uniósł dłonie:

- Nie ma sensu o tym rozmawiać, prawda? Ty masz swoje zdanie, a ja swoje. I jak zwykle nasze stanowiska są całkiem nie do pogodzenia. - Odniósł wrażenie, że tymi słowami nieco rozładował napięcie. Wyciągnął rękę w kierunku kuchni. - Chodź, wypijemy po filiżance herbaty i coś zjemy, póki masz okazję.

Podążyła za nim.

- Ja też nie chcę, żeby Wyn wyrósł na zepsutego i samolubnego człowieka. Wiem, że bardzo ci na nim zależy. Chciałabym tylko, żeby i on o tym wiedział. Nie może dorastać z poczuciem, że nijak nie jest w stanie sprostać twoim oczekiwaniom... że nie jest dostatecznie dobry, by móc być pewnym twoich uczuć.

Jej słowa głęboko dotknęły Bennetta. Wyczuł, że Caroline mówi nie tylko o ich synu.

Gdy weszli do kuchni, owionęły ich apetyczne aromaty świeżo upieczonego chleba i potrawki baraniej. Kucharka mieszała ciasto w misce, Parker zajmowała się szyciem, natomiast Albert pucował parę butów Bennetta.

Kucharka odstawiła miskę i zdjęła czajnik z kuchni. Zerknęła na Bennetta.

- Milordzie?

- Nie, dziękuję. - Nie zamierzał zostać i prowadzić banalnej konwersacji w obecności służby. Za dużo niepokojących myśli obudziła w nim rozmowa z żoną. - Siedzę bez przerwy w czterech ścianach. Dość tego, potrzebuję świeżego powietrza.

Otworzył kuchenne drzwi i wyszedł na dwór.

- Chcę wyjść z domu i obejrzeć wyspę. - Wyn miał na twarzy buntowniczy grymas. - Nie jestem już chory. Mam dosyć leżenia przez cały dzień w łóżku.

Wbrew surowemu zaleceniu ojca nie zasnął i był teraz w jeszcze bardziej kapryśnym nastroju.

Caroline głęboko odetchnęła i spróbowała wykrzesać z siebie nowe pokłady cierpliwości, choć nigdy nie była to jej mocna strona.

- Posłuchaj, kochanie. Nawet gdybyś był już całkiem zdrowy, dzisiaj jest zimno i wietrznie. Pani Hicks mówi, że potrzebujesz przynajmniej jeszcze jednego dnia odpoczynku, zanim będziesz dość silny, by wyjść z domu.

- Nie lubię jej! - Ostry ton Wyna przypomniał Caroline jego nieustanne zawroźnienie, gdy był niemowlęciem. - To ona robiła te ohydne ziółka, które musiałem pić, a teraz nie chce pozwolić, żebym wyszedł na dwór i mógł się bawić. Gdzie jest tata?

Bardzo jej ulżyło, gdy zobaczyła wychodzącego Bennetta, że nawet go nie spytała, dokąd się wybiera. Od kiedy ich synowi przestało cokolwiek grozić, różnice między nią a Bennettem jeszcze się pogłębiły.

W dodatku teraz bardziej niż przedtem zwracała uwagę na władcą aurę męża, a to jeszcze utrudniało sytuację. W korytarzach ciasnego domu często się mijali. Przy stole ich ręce stykały się przypadkiem, gdy sięgali po sól. Każdy dotyk rozbuźdzał jej zmysły w bardzo niepożądany sposób.

- A czy wyjdziemy na spacer? - spytał jękliwie Wyn i to pytanie doprowadziło Caroline do kresu wytrzymałości.

Kusiło ją, żeby odpowiedzieć twierdząco, ale nie mogła przecież składać obietnic, których nie mogła dotrzymać.

- To zależy od pogody i od tego, jak będziesz się czuł. Nie mam kontroli ani nad jednym, ani nad drugim.

W ogóle zdawała się ostatnio mieć za mało kontroli nad czymkolwiek, a zwłaszcza nad swoimi uczuciami. Jeśli Wyn będzie musiał poleżeć w łóżku jeszcze jeden dzień, pozostanie jej siedzieć razem z nim i próbować jakoś go rozerwać opowiadaniem historii i grammi, które jednak szybko traciły urok. Jeśli z kolei poczuje się dobrze, Bennett może zdecydować się na podróż.

- Opowiedzieć ci jeszcze jakąś historyjkę? - spytała z wymuszoną wesołością.

- Nie chcę... - Wyn ciężko westchnął i przewrócił się na drugi bok. - Chcę wyjść.

Caroline usiłowała zapanować nad rosnącym rozdrażnieniem.

- Może więc w coś zagramy?

Wyn pokręcił głową.

- A mogę dostać coś do jedzenia? Tylko nie bulion, nie galaretkę i nie owsiankę. Coś dobrego. Ciasto!

Caroline miała coraz więcej zrozumienia dla poglądu Bennetta, że nie należy ulegać wszystkim kaprysom dziecka. Miała wrażenie, że im gorliwiej stara się Wyna zadowolić, tym bardziej rosną jego wymagania. Z drugiej strony gdy próbowała narzucić mu jakieś granice, Wyn się dąsał i złościł. Nie chciała, żeby był zły z jej powodu teraz, gdy być może spędzali wspólnie ostatnie dni.

Wyglądało na to, że jak zwykle nie udaje jej się niczego zrobić tak, jak należy.

- Co powiesz na *Henny Penny*?

- To jest historyjka dla małych dzieci!

Caroline rozłożyła ręce.

- Co wobec tego chcesz zrobić?

- Zjeść ciasto! Wiem, że kucharka upiekła. Czuję zapach.

Załamana się, choć wiedziała, że sama wpędziła się w tę pułapkę.

- Wyn, przecież wiesz, że tata nie pozwala ci jeść przed kolacją.

- Co mnie to obchodzi! - Dziecko uderzyło pięścią w materac. - Taty nie ma. Wyszedł i dobrze się bawi, a mnie nie wziął!

- Wyn, proszę cię...

Przez cały dzień wracały do niej wspomnienia z czasów, gdy był niemowlęciem i w żaden sposób nie umiała ukoić jego płaczu. Dziś także wszystko, czego próbowała, tylko pogarszało sytuację.

Wyn zaczął wierzgać nogami.

- Nie podoba mi się tutaj! Tęsknię za Greggym. Chcę do domu!

Coś w Caroline pękło.

- Niedługo pojedziesz do domu, ale wątpię, czy twoja nieoceniona pani McGregor zechce cię z powrotem, jeśli będziesz zachowywał się w ten sposób.

- Nic cię nie obchodzi! Ani taty! - Wyn zalał się łzami. - Chcę Greggym!

Zanim Caroline zdążyła odpowiedzieć, Wyn naciągnął sobie koc na głowę i zaczął szlochać tak, jakby zaraz miało mu pęknąć serce.

Łzy, które Caroline powstrzymywała przez cały dzień, wreszcie znalazły ujście. To był największy zawód i największe niepowodzenie jej życia. Skąd przyszło jej do głowy, że skoro Wyn podrośł, to uda się jej naprawić błędy i zbudować z nim więź?

W przyszłości ilekroć Wyn pomyśli o matce, wspomni samolubnego potwora, który wyrwał go z bezpiecznego pokoju dziecięcego i unieszczęśliwił. Wtedy będzie już wiedział, jaką niesławę sprowadziła na rodzinę swym nieopanowanym zachowaniem. Bez wątpienia będzie uważał, że zdradzała ojca z innymi mężczyznami.

Łzy zaczęły rześić się spływać na policzki. Obróciła się na pięcie, wybiegła z pokoju i... wpadła prosto w objęcia Bennetta. Bardzo chciała zatopić się w nich i wypłakać, wiedziała jednak, że nie zasługuje na pocieszenie.

- Co się stało?

Pytanie męża zabrzmiało szorstko i oskarżycielsko.

Caroline całą siłą woli próbowała powstrzymać płacz, ale bez skutku.

- Wyn... mnie nienawidzi! Uważa, że go nie kocham. Nie powinnam była go tu przywieźć. Zrób, jak chcesz... Zabierz go. Jemu będzie lepiej... beze mnie!

- Uspokój się. Przecież wcale tak nie myślisz.

- Właśnie, że myślę! I wiesz, że to prawda. - Chciała się wyrwać z zaskakująco delikatnych objęć Bennetta. - Powiedziałeś mi, że pani Hicks nie pozwoliła go denerwować. A jeśli dostanie gorączki mózgowej?

- Będzie zdrowy, jestem tego pewien.

Mimo tych krzepiących słów Bennett sprawiał wrażenie zatroskanego, do czego zresztą miał powód.

- Zawiodłam! - szlochała dalej. - Zawiodłam jako żona i jako matka!

Kiedy tylko poczuła, że uścisk Bennetta osłabł, wyrwała się, uciekła do swojej sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Nie próbował jej gonić. Po dłuższej ciszy usłyszała jego kroki, oddalające się w kierunku pokoju syna. Potem rozległ się stłumiony szmer głosów.

Nogi się pod nią ugięły. Przepełniona żalem nad sobą osunęła się na podłogę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Chłodny i praktyczny umysł Bennetta przekonywał go, że zgodnie z sugestią Caroline najlepiej byłoby wyjechać z Wynem do Londynu, gdy tylko chłopiec będzie zdolny do podróży. W ten sposób nie musiałby się martwić, że Caroline zrobi scenę w chwili rozstania. W dodatku byłoby wtedy mniej prawdopodobne, że dziecko za nią zatęskni, czego ostatnio coraz bardziej się obawiał.

To jednak kłóciło się z jego poczuciem sprawiedliwości. Przez ostatnie dni przyglądał się Caroline, jak próbuje być dla ich syna przykładną matką. Nie wydawało mu się w porządku, by w taki sposób położyć kres jej heroicznym staraniom.

Gdy Caroline zatrzasnęła drzwi sypialni, kusiło go, by za nią pobiec, ale nie chciał ryzykować, że znowu znajdą się sam na sam. Po drugim pocałunku nie sposób byłoby czegokolwiek udawać.

Poza tym Wyn mógł w tej chwili potrzebować obecności ojca, chociaż Bennett nie miał przekonania, czy potrafi syna pocieszyć.

- Wyn? - Zajrzał do dziecięcego pokoju. - Twoja mama bardzo się zdenerwowała. Czy możesz mi powiedzieć, co się stało?

Potem Bennett usłyszał cichy płacz dochodzący spod koca.

Z ociąganiem podszedł do łóżka i usiadł na jego krawędzi.

- Synu, nie jestem na ciebie zły, ale muszę się dowiedzieć, o co chodzi.

- Przepraszam, tato - dobiegł go spod koca stłumiony głos Wyna. - Byłem niegrzeczny. Krzyczałem na mamę. Powiedziałem, że nie podoba mi się tutaj i że chcę wrócić do domu, do Greggy.

To chyba niemożliwe, żeby coś takiego doprowadziło Caroline do stanu bliskiego hysterii, pomyślał.

- Jeszcze coś?

Wyn powoli wyjrzał spod kołdry. Na pytanie ojca odpowiedział szeptem przesyconym poczuciem winy:

- Powiedziałem, że mama mnie nie kocha, bo nie chce dać mi ciasta ani wypuścić mnie na dwór.

- No tak...

Bennett pogłaskał syna po głowie i zastanowił się, czy ten gest pomoże chłopcu zrozumieć, że ojciec go kocha, chociaż nie aprobuje jego zachowania.

- Zachowałeś się niezbyt grzecznie wobec mamy, prawda? A ona tak bardzo się starała przez te ostatnie dni, żebyś się nie nudził. Obawiam się, że bardzo ją uraziłeś.

- Przepraszam - wydusił z siebie Wyn.

Głaskanie po głowie zdawało się pomagać, więc Bennett nie przerywał, mimo że tak czuły gest wprawiał go w zakłopotanie.

- Na szczęście dla ciebie mama kocha cię bez względu na to, co powiesz albo zrobisz. Uważam jednak, że jesteś jej winien przeprosiny.

Wyn w milczeniu skinął głową, więc Bennett postanowił skupić jego uwagę na konkretnym zadaniu do wykonania.

- Najpierw przyniosę ci coś do jedzenia. Nie będzie to ciasto, ale może kiedy zjesz coś pożywnego, poczujesz się lepiej.

Ułożywszy Wyna do spania, Bennett zrobił kolejną wyprawę do kuchni i wrócił na górę, niosąc talerz baraniej potrawy przyrządzonej przez panią Jenkins.

Nieśmiało zapukał do drzwi sypialni Caroline, tak żeby jej nie zbudzić, gdyby zasnęła. Odpoczynku potrzebowała bardziej niż jedzenia.

Za drzwiami usłyszał zrezygnowany głos żony:

- Idź sobie i zostaw mnie w spokoju.

Uważając, by nie upuścić talerza, Bennett otworzył drzwi i wszedł do środka. W pokoju panował półmrok, słychać było jedynie deszcz bębniący o szyby i odległy szum morza.

- Musisz coś zjeść... i odpocząć. Nic dziwnego, że jesteś wyczerpana i łatwo cię wyprowadzić z równowagi.

- Powiedziałaś mi, żebyś sobie poszedł. - Caroline odwróciła się do niego plecami. - Nie dość złego już narobiłam? Będę miała mnóstwo okazji do jedzenia i spania, kiedy wyjedziesz.

Bennett postanowił się nie poddawać.

- Jak mam wytłumaczyć Wynowi, że powinien jeść, jeśli ty też odmawiasz posiłku? Spróbuj potrawy pani Jenkins. Miejskowa baranina jest krucha i delikatna.

- Nie jestem głodna! Dlaczego nagle zaczęło dla ciebie mieć znaczenie, czy jadłam?

Nie wiedział, co odpowiedzieć, skoro sam tego nie rozumiał.

- Wyn nie wygląda tak, jakby miał być znowu chory, za to powiedział mi, że jest mu przykro z powodu swojego zachowania. Chciał przyjść i przeprosić, uznałem jednak, że należy przełożyć rozmowę do jutra. - Nie dostał odpowiedzi, więc kontynuował: - On to zrobił nieumyślnie. Jest po prostu bardzo zawiedziony tym, że musi siedzieć w domu, chociaż czuje się już znacznie lepiej.

Caroline ciężko westchnęła i przekręciła się, by na niego spojrzeć.

- Nie jestem zła na Wyna. Jestem rozczarowana sobą. Straciłam cierpliwość... nie umiałam nad nim zapanować, zupełnie jak wtedy, gdy był niemowlęciem. Wszystko robię źle. Byłam głupia, sądząc, że mogę być dobrą matką tylko dzięki temu, że się postaram.

- Co masz na myśli, mówiąc: „gdy był niemowlęciem”?

Bennett usiadł na krawędzi jej łóżka.

- Nie pamiętasz? - Zaśmiała się łzawo, co zabrzmiało bardzo żałośnie. - Bo ja chciałabym o tym zapomnieć. Jaki jest sens rozgrzebywać przeszłość? Niczego nie zmienimy, a będę tylko gorzej się czuła.

Bennett zastanawiał się, czy kiedykolwiek znalazł czas, by jej naprawdę wysłuchać albo trochę lepiej ją poznać. Jego sumienie domagało się rzetelnej odpowiedzi na pytanie, czego dowiedziałaby się, gdyby w swoim czasie zadał sobie nieco więcej trudu. Może zdołałby zapobiec tej upokarzającej scenie u Almacka i uratowałby ich małżeństwo przed rozpadem?

Caroline tymczasem poczuła głód, usiadła i sięgnęła po talerz. Ich ręce zetknęły się na moment i oboje jednakowo przestraszyli się doznania bliskości.

- Czy pójdziesz sobie, jeśli obiecuję, że zjem? - zapytała, wyjąwszy talerz z jego rąk.

W głębi serca wiedział, że nie powinien jej zostawiać. Postanowił tym razem nie słuchać głosu rozumu.

- Nie zapomniałem, jak było ci trudno po urodzeniu Wyna. W końcu jednak wszystko się ułożyło...

Czuł się w tej chwili niemal tak samo bezradny jak wtedy. Gorączkowo szukał rozwiązania problemu, który wykraczał poza jego zdolność rozumienia i doświadczenie.

Caroline smutno westchnęła.

- Tak się ułożyło, że trzeba było zabrać mi dziecko i oddać w ręce kogoś, kto umiał się nim właściwie zaopiekować. Teraz powinieneś zrobić to samo...

Gorycz i rezygnacja bijąca z jej głosu zmusiła Bennetta do wystąpienia w obronie swojej decyzji sprzed lat.

- Myślałem, że będzie ci lżej... Jego płacz tak bardzo cię wyprowadzał z równowagi...

- A jak mogło być inaczej?! Kiedy Wyn próbował ssać pierś, ledwie mogłam wytrzymać z bólu. A on darł się, aż cała buzia robiła mu się czerwona. Żaden z lekarzy nie potrafił mi powiedzieć, dlaczego on tak krzyczy, twierdzili tylko, że to moja wina, bo nie postępuję właściwie... I dziecko nie dostaje dostatecznie dużo mleka. Bałam się, czy nie umrze przez to, że jestem taką nieudolną matką... Ulżyło mi, kiedy przy mamce zaczął rosnać, a zarazem byłam całkiem rozbita, ponieważ dowiodło to, że wina rzeczywiście leżała po mojej stronie.

Bennett początkowo obawiał się, że takie ponure wspomnienia znów przywiodą Caroline do płaczu, ale panowała nad sobą. Może zresztą była to tak głęboka rana, że żadne lzy nie mogły przynieść ulgi.

A tę ranę zadał właśnie on.

- Przepraszam cię, Caro. - Zwrócił się do niej tak jak kiedyś. - Nie wiedziałem, co innego mógłbym zrobić. Czułem się diabelnie bezradny. Doktorzy powtarzali, że dziecko potrzebuje pokarmu, a ty odpoczynku. Myślałem zresztą, że chciałaś, aby kto inny nim się zajął, bo wtedy macierzyństwo nie przeszkadzałoby ci w życiu towarzyskim.

Caroline zachnęła się, jakby otrzymała policzek.

- Obawiam się, że niewłaściwie mnie oceniłaś. Oddawałam się bujnemu życiu towarzyskiemu, żeby zająć myśli i nie tęsknić tak bardzo za dzieckiem. W towarzystwie, gdzie schlebiano mi i zabiegano o mnie, nie czułam się taka bezużyteczna jak w domu.

Bennett poczuł przykre ukłucie w sercu. Nie miał pojęcia, że Caroline widzi to w ten sposób. Oczywiście nigdy nie zadał sobie trudu, by ją o to zapytać. Po prostu na swój użytek obciążył ją winą za to, że jest mało oddaną matką. Nie przyszło mu do głowy, że piękna i pociągająca kobieta może tak bardzo wątpić w siebie i szukać u obcych potwierdzenia własnej wartości, którego nie znajdowała w małżeństwie.

Z drugiej strony nie mógł zaprzeczyć, że ich związek okazał się pomyłką. Od samego początku byli niedobraną parą, pod wieloma względami różnili się jak ogień i woda. On był ostrożny, ona impulsywna. On zrównoważony i praktyczny, ona ma-

rzyła i szukała przygód.

Co do jednego Caroline miała rację. Małżeństwo było jego błędem. To on zadurzył się w niej niemal od pierwszego wejrzenia. Pragnął jej, chodził za nią i zadał sobie niemało trudu, by ją zdobyć. Zbyt późno poznał znaczenie starego porzekadła: „Kto szybko ślubuje, ten długo żałuje”.

Czy to możliwe, że próbował ukarać żonę nie tylko za jej błędy, lecz również za swoje?

- Nic z tego, co się zdarzyło, nie było twoją winą, Caro. Bardzo źle znosiłaś ciężę i nie miałaś żadnego doświadczenia w pielęgowaniu dzieci. Z pewnością nie każda kobieta rodzi się z takimi umiejętnościami. Popełniałaś błędy, ale to przecież... normalne.

Bennett nie wiedział, co mógł jeszcze dodać. Caroline wciąż milczała, więc powiedział sentencjonalnie:

- Porażkę ponosimy wtedy, kiedy się poddajemy. Kiedy przestajemy próbować i nic już nas nie obchodzi. A tego o tobie na pewno nie można powiedzieć.

Nie odpowiedziała. To dało mu nadzieję, że jakoś uda im się porozumieć. Musiał mówić to, co Caro chciałyby usłyszeć, nawet jeśli działo się to pięć lat za późno.

- Sama wiesz, jak wiele przeszkód napotkał ruch na rzecz zniesienia niewolnictwa, ile błędów popełniliśmy i ile straciliśmy okazji. Mimo to jakoś brniemy naprzód i staramy się nie stracić z oczu naszego celu. Póki do niego dążymy, wierzę, że mamy szansę go osiągnąć.

Piękne słowa, szkoda tylko, że puste, wytknęło mu sumienie. Jak Caroline miała się nie poddać, skoro właśnie zamierzał ponownie zabrać jej dziecko?

Gdy Caroline zbudziła się następnego ranka, za oknem świeciło wiosenne słońce, które napełniło jej serce nową nadzieją. Nawet kiedy wspominała ostatnią rozmowę z mężem, nie straciła całego entuzjazmu.

Wciąż nie wiedziała, kiedy Wyn odpłynie z Tresco ani jak Bennett odebrał jej prośbę, aby wyjechali jak najdalej od niej. Chyba nie wykorzysta jej słów wypowiedzianych w przypiływie rozpaczy i zniechęcania, na jej niekorzyść... Tego jednak nie była pewna.

Wstała z łóżka i postanowiła stawić czoło temu, co przyniesie następny dzień. Ubierając się znowu, wspomniała późnowieczorne odwiedziny męża. Wciąż nie była pewna, czy zdarzyły się naprawdę, czy tylko o nich śniła. Pod pewnymi względami wydawały się nieprawdopodobne jak senne marzenie: jej chłodny i ostrożny mąż zajął się o jej kolację i zachęcał do rozmowy o najbardziej bolesnym okresie ich małżeństwa.

Ku własnemu zdziwieniu poczuła się znacznie lepiej, kiedy przyznała się do uczucia zawodu i bezradności. Gdy usłyszała, że Bennett był przytłoczony rozwojem wydarzeń prawie tak samo jak ona, zrobiło jej się nieco lżej na duchu. Poniewczasie odczuła pewną ulgę, dowiedziawszy się, że mamka i pani McGregor zostały zatrudnione wyłącznie dlatego, że Bennett nie widział innego, równie dobrego wyjścia z sytuacji.

Najbardziej zaskoczyło ją to, co mówił o porażkach i niepoddawaniu się. Gdy jego melodyjny głos dochodził do niej w ciemności, wyczuwała, że mąż osądza ją łagod-

niej niż ona sama. Niestety, wzmianka o ruchu na rzecz zniesienia niewolnictwa przypomniła jej, jak bardzo zaszkodziła tej sprawie.

Gdy w końcu się ubrała i uspokoiła na tyle, by móc rozpocząć dzień, opuściła sypialnię. W korytarzu przystanęła niezdecydowana, dokąd iść i od czego zacząć. Usłyszała szmer głosów w pokoju Wyna, ale mimo zapewnień Bennetta nie była pewna, jak ją przywita.

- Caro? - zawołał jej mąż. - To ty? Możesz wejść do nas na chwilę?

Niepewna wsunęła do środka głowę przez uchylone drzwi.

- Mama! - zawołał chłopiec na jej widok i wyciągnął ku niej ramiona.

Caroline początkowo nie mogła uwierzyć, że syn nie czuje do niej urazy. Teraz jednak miała niezaprzeczalny dowód.

- Kochany chłopiec!

Podbiegła do łóżka i mocno go uściskała.

Zerknęła ukradkiem na Bennetta i zobaczyła, że przyglądał się im z trudnym do zroszyfrowania wyrazem twarzy. Pierwsze, co przyszło jej do głowy, to satysfakcja i tęsknota, ale nie umiała w to uwierzyć.

- Przepraszam, że byłem taki niedobry, mamó. - Wyn wtulił się mocniej w jej objęcia, jakby bał się, że zostanie odtrącony. - Tęsknię za domem i Greggym, ale podoba mi się, że jestem tutaj z tobą i tatą. Chciałbym tylko wyjść na dwór.

- Ja też przepraszam, kochanie, że straciłam do ciebie cierpliwość.

- Nie szkodzi. - Na powrót stał się radosnym chłopcem. - Greggym też na mnie krzyczy, kiedy jestem niegrzeczny. Tata powiedział mi, że zawsze będziesz mnie kochać, wszystko jedno, co robię i mówię. To prawda?

Skinęła głową.

- Powiem ci coś jeszcze. Tata też zawsze będzie cię kochał w taki sam sposób. - Spojrzała znacząco na Bennetta. - Mam rację, mój drogi?

- Owszem - odpowiedział tonem oficjalnym, lecz niepozbawionym ciepła.

Kiedy Wyn wreszcie poczuł się przekonany, że mama mu wybaczyła, odsunął się od niej z szelmowskim uśmiechem.

- Tata powiedział, że mogę zejść na chwilę do salonu, jeśli się zgodzisz. Zrobimy piknik przy kominku i nauczysz mnie grać w warcaby. Mogę, mamó? Proszę!

Dlaczego wszystko musi zależeć od jej zgody? Caroline była tym bardzo zaintrygowana. Czyżby Bennett chciał w ten sposób zyskać pewność, że ich syn okaże jej wdzięczność mimo wczorajszej awantury?

- To bardzo dobry pomysł.

Podczas gdy chłopiec wydawał okrzyki radości, zerknęła na Bennetta i samym ruchem ust przesłała mu podziękowanie. W odpowiedzi skinął głową.

- Jest jeden warunek - zwrócił się do Wyna. - Jeśli twoja mama i ja uznamy, że za bardzo się zmęczyłeś, wrócisz do łóżka bez narzekań. Obiecujesz?

W związku z tym, że poprzedni dzień był taki burzliwy, wszyscy starali się, by nic nie zakłócało pełnej zgody. W efekcie Caroline dawno nie spędziła tak miłego popołudnia. Zabawne szarady, które doprowadzały Wyna do śmiechu, nie umywały się nawet do pięknie wystawionej opery w Haymarket. Nawet jej poważny, zasadniczy

mąż odprężył się dostatecznie, by cieszyć się razem z synem tak prostą rozrywką. Co więcej, sprawiał wrażenie, jakby się dobrze bawił.

Lekki wysiłek najwidoczniej pobudził apetyt Wyna. Caroline z radością patrzyła, jak syn pochłania w salonie zawartość piknikowego koszyka. Potem Bennett spełnił obietnicę i nauczył go grać w warcaby, a Caroline była doradcą syna, pokazując mu, w jaki sposób może zbijać pionki ojca.

Chociaż Wyn był uszczęśliwiony, że mógł wstać z łóżka i zająć się czymś przyjemnym, bardzo się zmęczył. Wieczorem oczy mu się kleiły i zasnął prawie natychmiast po położeniu do łóżka.

- Słodkich snów, kochanie. - Caroline pocałowała go w oba policzki i czule objęła.

Cieszyła się każdą chwilą, która mogła już nigdy się nie powtórzyć. Była tak wdzięczna Bennettowi, że nawet nie zirytowała się, gdy ten na dobranoc jedynie pogłaskał syna po głowie.

- Chcę ci podziękować - powiedziała cicho, gdy wyszli na korytarz. - To prezent, na który właściwie nie zasłużyłam.

Bennett odpowiedział trudnym do zrozumienia pomrukiem, mającym zapewne znaczyć: „Nie ma za co”. Dla niego może nie było to szczególnie ważne, ale dla niej miało ogromną wartość.

- Czy zeszłabyś ze mną do salonu? - spytał. - Chciałbym z tobą porozmawiać o czymś, o czym wolałem nie mówić przy dziecku.

- Oczywiście.

Jego powaga wzbudziła obawę Caroline, że czeka ją nieprzyjemna rozmowa. Czy dlatego Bennett był dla niej przez cały dzień taki miły? Czy chodziło mu o złagodzenie ciosu, który miał zadać wieczorem?

Bennett wciąż nie był pewien, czy podejmuje właściwą decyzję. Nie wiedział tego nawet wtedy, gdy usiedli z Caroline w salonie na dwóch krańcach kanapy. Gdy nie towarzyszył im syn, czuli się niezręcznie. Rozumiał, że jeszcze nie jest za późno, by zmienić zdanie.

- Mam nadzieję, że dobrze wypoczęłaś ostatniej nocy - powiedział, gdy milczenie stało się nie do zniesienia.

- Lepiej, niż miałam prawo się spodziewać - odparła. - Teraz jednak, proszę, nie trzymaj mnie już w niepewności. Chcesz jutro zabrać Wyna do domu, prawda?

Pytanie Caroline wreszcie pomogło mu podjąć decyzję i znaleźć odpowiednie słowa. Wydawało mu się zupełnie nieprawdopodobne, że ta piękna, podziwiana kobieta jest zakładniczką obawy przed klęską. Próbowwała się od tego uwolnić, ale nie było to łatwe. Co gorsza, to również z jego winy Caroline w siebie zwątpiła.

- Wręcz przeciwnie. Uznałem, że powinien zostać dłużej. To jasne, że Wyn potrzebuje więcej czasu, by odzyskać siły, zanim będzie mógł sprostać trudom podróży do Londynu. Poza tym jeśli zabiorę go tak szybko po wczorajszej awanturze, może nabrać przekonania, że opuszczenie wyspy jest karą, jaką chcesz mu wymierzyć za złe zachowanie.

Bennett znał to z własnego doświadczenia. Sam czuł się właśnie w ten sposób, gdy przed laty opuściła go matka.

- Masz rację. - Wydawała się zaskoczona, że w czymkolwiek się z nim zgadza. - Ja też nie mogę znieść myśli, że Wyn mógłby mieć poczucie winy z powodu tego, co dzieje się między nami. Czy jednak nie jesteś potrzebny w parlamencie?

Miał już na końcu języka odpowiedź, że póki skandal nie ucichnie, lepiej było mu się nie pojawiać w Izbie Lordów, ale się powstrzymał. Czuł, że żonie jest naprawdę przykro. Może właśnie to miała na myśli, gdy wspomniała, że zawiodła jako córka. W końcu jej ojciec także był zaangażowany w walkę o zniesienie niewolnictwa.

- Bóg raczy wiedzieć, czego dopuszczają się Sidmouth i Castlereagh podczas mojej nieobecności. - Bennett starał się obrócić sprawę w żart. - Nie jestem jednak aż tak zadufany w siebie, by uważać, że bez mojej obecności na sali Izba Lordów nie może obradować. Kilka tygodni niczego nie zmieni.

Caroline wydawała się zaskoczona jego słowami.

- Jest jeszcze jeden powód, dla którego chcę opóźnić nasz wyjazd do Londynu. - Bennett znowu spoważniał. - Uważam, że zasługujesz na jeszcze jedną szansę, by udowodnić, że potrafisz być dobrą matką.

Caroline otworzyła usta, bez wątplenia po to, by przypomnieć mu, co uważa za swoją ostatnią porażkę. Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, postanowił uprzedzić jej obiekcje.

- Nie będziesz tym razem sama... tak jak to było po narodzeniu Wyna. Obiecuję ci pomagać i trwać przy tobie... a także przypominać sugestie pani McGregor.

Caroline przygryzła wargę. Bennett czuł, że rozważa jego propozycję z zainteresowaniem, choć wciąż boi się błędów, które mogłaby popełnić. Postanowił jednak odbudować jej zachwianą pewność siebie.

- W zamian muszę prosić cię o pomoc. Pomogłaś mi zrozumieć, że Wyn zasługuje na lepszego ojca, niż byłem dotychczas. Wiem już, że chłopcu trzeba okazywać więcej uczuć, chociaż nie jestem przekonany, czy dobrze się do tego nadaję. Tobie przychodzi to bez wysiłku, ile razy ja próbuję tego samego, wygląda to na wymuszone i niezręczne.

Łatwiej było w czasie choroby Wyna. Bennett był tak zmęczony, że wyrażał uczucia instynktownie. Jeśli ktokolwiek mógł go nauczyć większej wylewności, to właśnie Caroline.

Patrząc w jej urzekające błękitne oczy, poczuł powracające echo dawnej fascynacji, którą przeżył, gdy przy stole w domu jej ojca pierwszy raz spotkały się ich spojrzenia.

Co za szaleństwo! - zganił się w duchu. Byli małżeństwem od siedmiu lat i przez większość tego czasu oboje nie mogli się uwolnić od niezadowolenia. Bennett wiedział, że poślubienie Caroline było błędem. Gdy zobaczył żonę w ramionach Fitz'a Astleya, odczuł nie tylko upokorzenie i zdradę, lecz również - do czego nigdy by się nie przyznał - ulgę, że wreszcie ma honorowy powód, by się jej pozbyć.

Przyjazd na tę wyspę wszystko jednak zmienił. Tu zobaczył swoją zbląkaną żonę od zupełnie innej strony, której istnienia wcześniej nawet się nie domyślał. I to, całkiem wbrew jego woli, wydało mu się intrygujące. Co gorsza, ujrzał również siebie oczami żony. To podawało w wątpliwość wszystko, co Bennett myślał na swój temat.

Caroline spytała, przerywając jego przemyślenia:

- Sądzisz więc, że oboje możemy sobie pomóc w tym, by stać się lepszymi rodzica-

mi?

Zanim odpowiedział, wzruszył ramionami.

- To się jeszcze okaże. Moim zdaniem jednak powinniśmy spróbować, bo naszemu synowi to się od nas należy. Nie sądzisz?

- Jesteśmy mu to winni. Jak długo zamierzasz zostać na wyspie?

- Myślę, że około miesiąca. - Zabrzmiało to bardziej jak pytanie.

Caroline nawet nie próbowała ukryć zadowolenia perspektywą dalszych czterech tygodni z dzieckiem u boku. Tylko jak miała spędzić cały ten czas z mężem, z którym praktycznie była w separacji? Tego Bennett również nie wiedział.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Cały miesiąc z synem – jak mogłaby odrzucić taką szczodłą propozycję? Obawiała się jednak, że nadal będzie popełniać błędy, nawet mimo wsparcia i pomocy męża.

Ciekawiło ją, dlaczego Bennett wystąpił z takim pomysłem po tym wszystkim, co stało się poprzedniego dnia. Wyczuwała, że nie chodzi tylko o praktyczne powody, które jej podał; że za jego decyzją kryje się coś więcej. Nie mogła jednak dociec, co to takiego.

Bez względu na prawdziwą przyczynę o jednej sprawie musieli porozmawiać od razu.

– Jeśli mamy tak długo razem mieszkać w tym małym domu, musimy ustalić pewne kwestie i zawrzeć porozumienie.

Bennett uniósł ciemną brew.

– Jakiego rodzaju porozumienie?

– Wyn uciekł, kiedy usłyszał naszą kłótnię – przypomniała Bennettowi... i sobie. – Potem kiedy miał gorączkę, mówił, żebyśmy nie krzyczeli na siebie. Jeśli ostatnie dni czegokolwiek nas nauczyły, to tego, że przez lata oboje w naszym małżeństwie narobiliśmy mnóstwo błędów.

Bennett spojrział w ogień i mruknął niewyraźnie coś, co mogło być znakiem zgody albo rozczarowania.

– Na początku choroby Wyna – ciągnęła – powiedziałaś, że wzajemne obwinianie się w niczym mu nie pomoże i że musimy się skupić na tym, co możemy dla niego zrobić. Dlatego sądzę, że przez najbliższy miesiąc musimy żyć w zgodzie.

Bennett posłał jej nagle oskarżycielskie spojrzenie.

– Byłem tak poruszony, że ledwie pamiętam cokolwiek z tamtego okresu. Dziwię się, że ty pamiętasz.

W pierwszej chwili chciała kąśliwie zripostować, ale to byłoby wbrew temu, co usiłowała osiągnąć. Chociaż nie było Caroline łatwo wyzbyć się wieloletniego przyzwyczajenia i odpowiedzieć łagodnie.

– Pamiętam dobrze, ponieważ twoje słowa dodały mi otuchy i pomogły mi skupić się na tym, co dla dobra dziecka było najważniejsze.

Bennett nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

– Hm... dobrze. Czy proponujesz, żebyśmy przestali się wzajemnie obwiniać o... błędy, które popełniliśmy w naszym małżeństwie? I spędzili cały miesiąc, udając, że nigdy ich nie było?

Najwyraźniej wątpił, że są w stanie żyć w zgodzie, a może nawet nie był pewien, czy w ogóle warto próbować. W końcu wytykanie błędów drugiej strony pomaga usprawiedliwiać własne niewłaściwe zachowanie.

– Masz lepszy pomysł? – Caroline starała się mówić spokojnym i przyjaznym tonem, wolnym od złośliwości. Tylko w ten sposób mogła przekonać Bennetta, że chętnie wysłucha jego propozycji. – Koniec końców, sprowadza się to do odpowiedzi na pytanie, które uczucie jest silniejsze: miłość do naszego syna czy nasza wzajemna nienawiść.

Nie czuła nienawiści, choć zapewne jej małżeństwo i życie byłyby łatwiejsze, gdyby potrafiła z siebie wykrzesać choćby niechęć do męża. Wtedy Bennett nie miałby nad nią takiej władzy i nie byłaby tak wrażliwa na jego każde nieprzyjemne słowo.

Gdy Bennett rozważał jej propozycję, jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Ciemne, nieprzeniknione oczy pilnie strzegły sekretów serca.

W końcu wyciągnął do niej dłoń.

- Umowa stoi. Przez cały miesiąc dla dobra naszego syna będziemy przykładem małżeńskiej harmonii, niczym Edmund Kean i Sarah Siddons!

Caroline zawahała się, zaraz jednak ujęła jego rękę, starając się nie zwracać uwagi na przyjemny dreszczyk wywołany tym dotykiem. Chociaż była zadowolona, że Bennett przystał na jej plan, musiała pamiętać, że wszelkie względy, które mógłby jej okazywać w ciągu najbliższego miesiąca, są grą i niczym więcej.

Przez następne dwa dni, gdy ich syn wstawał już z łóżka, ale jeszcze nie wychodził z domu, Bennett nieraz powtarzał sobie, że to wszystko ma być na niby. Od dawna miał wielką wprawę w ukrywaniu uczuć. Potrafił udawać spokój, mimo że był bliski wrzenia, albo zachowywać się obojętnie, czując niepohamowane pożądanie. Gdy przyglądał się Caroline, jak z samozaparciem dokłada wszelkich starań, by być lepszą matką, dochodził jednak do wniosku, że niebezpiecznie łatwo przychodzi mu okazywanie względów zbląkaney żonie.

Pierwszy prawdziwy sprawdzian swojego sojuszu mieli trzy dni później. Wyn był początkowo zadowolony, że może wstawać z łóżka i jeść te same posiłki co rodzice. Wkrótce jednak zaczął narzekać na uwięzienie w czterech ścianach i upierać się, że może już wyjść na dwór. Bennett i Caroline zgodzili się w końcu wziąć go z sobą, ale wtedy nagle popsuka się pogoda.

- Chcę wyjść! - krzyknął chłopiec, gdy usłyszał, że muszą odłożyć wycieczkę.

- Pada deszcz, kochanie. - Caroline starała się zachować spokój. - Pamiętasz, jaki byłeś chory, kiedy biegałeś po deszczu?

- Obiecaliście! - Wyn przycisnął nos do okna w salonie. - Nie możemy iść do blokhausu? To niedaleko. Nawet nie zdążylibyśmy zmoknąć.

Bennett wyczuwał, że żona zaczyna się wahać. Wyglądało na to, że nie mogła znieść sytuacji, kiedy syn był rozżłoszczony z jej powodu. Czyżby przypominało jej to te długie samotne i wyczerpujące noce, kiedy Wyn był niemowlęciem i płakał w jej ramionach, obracając wniwecz wszystkie starania? Bennett przyznawał, że nie dostała wtedy od niego potrzebnego wsparcia. To niedociągnięcie chciał jej teraz zrekompensować.

- Pójdziemy jutro... - Caroline otoczyła syna ramieniem. - Jeśli pogoda się poprawi.

Wyn nie dał się pocieszyć.

- Powiedziałaś, że pójdziemy dzisiaj. To nieuczciwe!

Przez twarz Caroline przemknął wyraz rozdrażnienia i zawodu. Często powtarzane przez nią słowa wróciły w nieoczekiwany sposób, gdy posłużył się nimi syn. Przesłała błagalne spojrzenie mężowi.

Jeszcze niedawno Bennett odczułby pewien rodzaj mściwej satysfakcji. Jednak choroba Wyna i jej następstwa pokazały mu rodzicielstwo od nowej, nieznaney stro-

ny. Wcześniej znosił ataki złego humoru Wyna dzięki temu, że pod pierwszym lepszym pretekstem wychodził z domu. Mógł sobie tylko wyobrażać, jakim obciążeniem jest wyjący bez opamiętania maluch.

Teraz Caroline zwracała się do niego o pomoc i nie mógł jej zawieść. Zbyt często zdarzało mu się to dawniej.

- Jeśli upierasz się przy tym, by dzisiaj wyjść - zwrócił się do syna stanowczym, choć miał nadzieję, że nie nazbyt surowym tonem - ja i mama chyba nie możemy cię zatrzymać.

Strwożona Caroline szeroko otworzyła oczy i wypowiedziała bezgłośnie: „Nie!”.

Bennett wytrzymał jej zaniepokojone spojrzenie, dając tym samym do zrozumienia, że powinna mu zaufać.

- Pamiętaj jednak - ostrzegł Wyna. - Jeśli znowu się przeziębisz, będziesz musiał leżeć w łóżku dużo dłużej niż poprzednio i wypić znacznie więcej herbaty z krwawnika.

Syn zmarszczył czoło w głębokim namyśle. Najwidoczniej doszedł do wniosku, że gra jest niewarta ryzyka, bo w końcu żałośnie westchnął.

- Nigdy nie obejrzę tej wyspy.

- Oczywiście, że obejrzysz - odparł Bennett dumny z tego, że syn dokonał rozsądnego wyboru. - Musisz być jednak do tego przygotowany.

- W jaki sposób?

W głosie Wyna było słycać powątpiewanie.

- No wiesz, planowałem, że pójdziemy na wrzosowisko popuszczać latawiec. Najpierw jednak musimy go zrobić. Chcesz mi pomóc?

- Latawiec? - Wyn się rozpromienił. - Tak, tato!

Kucharka zaprosiła Wyna do pomocy, a Caroline i Bennett poszli na strych.

- Dużo ryzykowałeś, mówiąc Wynowi, że nie zabronimy mu wyjść na dwór. Co byś zrobił, gdyby postanowił obnażyć twój blef?

- Nie wiem - przyznał Bennett, wzruszając ramionami. - Może wezwałbym cię na pomoc. Cieszę się, że do tego nie doszło. Potraktuj to jak lekcję z ustalania granic. Dawaj mu wybór, kiedy możesz. Pilnuj tylko, aby jedna możliwość była dużo bardziej atrakcyjna albo wybierz dwie, które są dla ciebie do przyjęcia.

- To mi się podoba. - Caroline z uznaniem skinęła głową. - Chociaż jest to przebiegłe... Nie spodziewałam się tego po tobie.

W jej głosie pojawiła się żartobliwa nuta, która wywołała uśmiech na jego twarzy.

- To przykre następstwo moich kontaktów z polityką.

Caroline roześmiała się, otworzyła wielki kufer z mosiężnymi okuciami i zaczęła przeglądać zawartość. Bennett pomyślał, że dawno już nie słyszał jej śmiechu. Zdażył niemal zapomnieć, jak ciepło i melodyjnie brzmi. Odczuł nawet pewną satysfakcję, że udało mu się rozbawić żonę.

W kącie za zwiniętym dywanem Bennett znalazł kilka cienkich drewnianych listew. Uniósł je z triumfem.

- Powinny się nadać na ramę latawca. Teraz twoja kolej na lekcję, jak powinienem okazywać Wynowi więcej uczuć.

Zajrzała głębiej do kufra. Czy zrobiła to celowo, by się przed nim ukryć?

- Myślę, że dobrze wiedziałabyś, co robić, gdybyś tylko nie powstrzymywał się przed tym z całych sił.

- Nieszczególnie pomocna rada.

- Okazywanie miłości nie może być ograniczane regułami i ujęte w formę procedury? - Caroline zerknęła na niego zza wieka. - No więc dobrze. Pierwsza zasada: więcej się uśmiechaj. Czy to jest pomocne?

- Bardzo. - Jego ironiczny grymas szybko zamienił się w szeroki uśmiech. - Masz jeszcze jakieś perełki mądrości, którymi mogłabyś się podzielić?

- Nie chciałam cię przytłoczyć, zasypując nadmiarem dobrych rad - odparła z udaną powagą. - Sprawdźmy najpierw, jak uda ci się stosować do tej pierwszej reguły, a potem zaczniemy kurs dla zaawansowanych. Na przykład trzymanie za rękę.

Chociaż Bennett zaśmiał się z tego żartu, nie mógł zaprzeczyć, że perspektywa ćwiczenia tego z Caroline wydaje mu się bardzo atrakcyjna.

- Popatrz tutaj - zawołała, wyjmując z kufra duży kawałek żółtozłocistej tkaniny. - Piękny jedwab. Jest go za mało, żeby się przydał, ale na latawiec wystarczy. A to co?

Bennett stanął obok zaciekawiony.

Z dna kufra Caroline wydobyła niewielką drewnianą skrzynkę z różą wyrzeźbioną na wieczku. Gdy ją otworzyła, ich oczom ukazały się stare monety i biżuteria. Bennettowi nie wydawało się, by cokolwiek z tego miało dużą wartość, ale znalezisko i tak dawało złudzenie skarbu.

- Nic z tego nie przyda się na twój latawiec. - Caroline przesunęła w palcach stary srebrny łańcuszek z wisiorkiem i pozwoliła, by wpadł z powrotem do skrzynki. - Gdybyśmy mieli córkę, pewnie byłaby zachwycona, że może bez końca siedzieć w domu. Przebierałaby się w te stare stroje i wyobrażała sobie, że staje się kim innym.

Tęskne brzmienie jej głosu skłoniło Bennetta, by spytać:

- Chciałaś, żebyśmy mieli córkę, nie syna?

- Nie zamieniłabym Wyna na sto córek. - Caroline z trzaskiem zamknęła skrzynkę. - Kiedyś jednak myślałam, że jeśli urodzi się córka, będziemy zmuszeni próbować dalej.

Jej mimowolne wyznanie przypomniało Bennettowi różne sytuacje, gdy Caroline zwracała uwagę na to, że Wyn jest jego dziedzicem. Zareagował bez chwili zastanowienia.

- Sądzisz, że nie spłodziłem następnego dziecka, ponieważ poczułem się usatysfakcjonowany posiadaniem dziedzica?

- Oczywiście. - Caroline odłożyła drewnianą skrzynkę na dno kufra. - Jaki mógłby być inny powód?

Nie wydawała się zła, lecz jedynie zrezygnowana, a nawet zasmucona.

Bennett przypomniał sobie, że nie jest to właściwy moment na poruszanie takich drażliwych kwestii. Uzgodnili przecież, że zapomną o problemach, które ich dzielą, i zaczną udawać, że wszystko jest w porządku.

Czyż jednak nie tego próbowali przez cały okres trwania ich małżeństwa - z miernym skutkiem? Przypomniał sobie też, że nigdy nie czuł się bliższy Caroline, kiedy sobie zaufali i przestali się pilnować.

- Ponieważ... - Było już za późno na to, by się wycofać. - Ponieważ nie chciałem narazić ciebie... ani siebie jeszcze raz na taką mękę. Przynajmniej nie od razu. A potem wydawało mi się, że już nie chcesz mieć więcej dzieci.

Caroline powoli zamknęła stary kufer.

- A do takiego wniosku doszedłeś, ponieważ nie poświęcałam dość uwagi dziecku, które już mamy.

Bennett z ociąganiem skinął głową. Nie był dumny z krzywdzącego osądu Caroline, jakim kierował się przez lata.

- Byłbym szczęśliwy, gdybyśmy mieli jeszcze córeczkę. Może byłoby mi łatwiej okazywać uczucia dziewczynce...

- Może. - Ton głosu Caroline zdradzał poważne wątpliwości. - Pod warunkiem że wkrótce potem urodziłby się syn. Inaczej...

Zawiesiła głos i otrzepała spódnicę z kurzu.

- Inaczej co? Myślisz, że jestem bezduszny i miałbym za złe dziecku, że jest dziewczynką?

- Niezupełnie o to chodzi. - Caroline machinalnie przesunęła dłonią po kawałku jedwabiu. - Byłbyś jednak rozczarowany. A rozczarowanie wpłynęłoby na twoje uczucia.

Czy na pewno? Bennett chciał wyrazić gwałtowny sprzeciw. Jednak dopadły go nagle wątpliwości, przypomniał sobie bowiem, jak pozwolił na to, by jego przeszłość zaważyła na ocenie Caroline.

Dlaczego Bennett podjął taki nieprzyjemny temat? - zadawała sobie w duchu pytanie Caroline. Chociaż usiłowała skoncentrować się na latawcu, który wraz z Bennettem pomagali budować Wynowi, to jej myśli krążyły wokół właśnie odbytej rozmowy.

Shczęśliwie udało im się zająć syna przez cały długi, deszczowy dzień. Gdy tylko położyli go do łóżka, Caroline uciekła do swojej sypialni, zanim Bennett zdążył zadać kolejne pytania, na które nie chciała udzielać odpowiedzi.

Jedynie co wydało się jej pocieszające, to to, że poznała powód, dla którego Bennett przestał odwiedzać ją w sypialni - bał się narażać ją na kolejną ciążę.

Tej nocy spała niespokojnym snem, a mimo to Caroline zbudziła się wypoczęta i odświeżona. Otuchy dodało jej słońce, które znów pokazało się na niebie. Tak w każdym razie pomyślała, gdy wstała z łóżka i podeszła do okna.

Zgodnie z przewidywaniem Bennetta wiał dość silny wiatr, więc zapowiadał się dla Wyna dzień, na który od tak dawna czekał.

- Kiedy wyjdziemy, mamó? - spytał niecierpliwie Wyn, gdy przyszła go ubrać.

- Musimy najpierw zjeść śniadanie. - Pomogła mu włożyć biały kombinezon i niebieskie okrycie. - Potem zobaczymy, co powie tata.

- Nie jestem głodny - zaprotestował Wyn. - Chcę wyjść teraz, zanim wiatr ucichnie albo znowu zacznie padać deszcz.

Caroline rozumiała obawy syna. Nie mogła jednak pozwolić, żeby pierwszy raz po chorobie wyszedł na dwór o pustym żołądku. Obawiała się kolejnej awantury, na szczęście przypomniawsza sobie radę Bennetta.

- Wolałbyś na śniadanie owsiankę czy jajko na miękko z grzanką?

Kątem oka zauważyła głowę Bennetta zagląającego do pokoju. Z uznaniem skinęła głową.

Dziecko zawahało się, a potem odpowiedziało dość nadąsanym tonem:

- Jajko z grzanką.

- To odpowiednie śniadanie dla kogoś, kto będzie puszczać latawiec - powiedział Bennett i wszedł do pokoju. - Ja poproszę to samo.

Gdy Wyn obrócił się, by powitać ojca, Caroline przesłała mężowi porozumiewawczy uśmiech. Skorzystał z tej podpowiedzi i uniósł kąciuki ust. Wyglądało to całkiem naturalnie.

Poszli do kuchni, a Wyn pierwszy popędził po schodach. Gdy pani Jenkins podała śniadanie, dziecko pochłonęło swoją porcję w okamgnieniu, tak bardzo spieszyło mu się do wyjścia. Rodzice jedli wolniej, ale nie siedzieli zbyt długo przy herbacie. Rozumieli, że niecierpliwość syna jest uzasadniona.

Kilka minut później szli za Wynem, który wspinał się na pagórek za domem, ścisnąc kolorowy latawiec.

- Dobra robota - pochwalił Bennett żonę.

Jego uznanie sprawiło jej przyjemność, choć sama wiedziała, że dobrze sobie poradziła, a to dało jej bezcenne poczucie kompetencji. Pewności siebie dodawała jej też świadomość, że i ona może czegoś Bennetta nauczyć z pożytkiem dla ich dziecka.

- Twój uśmiech też był ładny.

- Czy jestem gotów na kurs dla zaawansowanych? - Zanim zorientowała się w sytuacji, ujął ją za rękę. - Bardzo szybko się uczę.

Jej niespokojne poruszenie wywołało uśmiech na jego twarzy. Caroline zapało dech, tak jak wtedy, gdy widzieli się po raz pierwszy.

Skinęła głową w kierunku Wyna, ale nie próbowała uwolnić dłoni z mocnego, ciepłego uścisku.

Bennett wzruszył ramionami.

- Pomyślałem, że najpierw spróbuję na tobie. Dzięki temu możesz ocenić moją technikę i zasugerować, co jeszcze mógłbym poprawić.

- Jest całkiem dobrze - powiedziała skupiona na jego dotyku, starając się jednak stłumić zbyt gwałtowną reakcję ciała. - Nie za mocno, ale zarazem nie bojaźliwie.

- Rozumiem, że zdałem pierwszy egzamin?

Skinęła głową.

- Tak.

- To ci się podoba? - Bennett cicho się zaśmiał. - Zdradzę ci, że nie musiałem się szczególnie starać, wyszło samo.

Czyżby sprowokowała go do tak szczerego uśmiechu? Caroline miała miłe poczucie osiągniętego sukcesu. Na wszelki wypadek próbowała sobie tłumaczyć, że Bennett robi to jedynie dla dobra ich syna i że ich małżeństwo wkrótce się skończy.

Raz po raz odzywało się w niej poczucie winy, podsuwające myśl, że wyrządziła niepowetowaną szkodę dumie Bennetta i sprawie, w którą uwierzył. Jednak siła, jaką dał jej jego dotyk, pozwoliła odpędzić ponure myśli o przeszłości.

- Jeśli od czasu do czasu delikatnie wzmocnisz uścisk, okażesz bardzo osobisty

wyraz sympatii.

- Mam nadzieję, że potrafię. Największy jednak kłopot sprawiają mi otwarte deklaracje uczuć.

- Zawsze taki byłeś, nawet jako dziecko?

Caroline próbowała sobie wyobrazić małego Bennetta jeszcze z czasów, zanim jego matka niespodziewanie znikła. Żona właściciela gospody twierdziła, że hrabina rozpieszczała syna. Z pewnością musiało to oznaczać wylewne okazywanie uczuć.

Bennett wciąż wpatrywał się w Wyna, który stał teraz na szczycie pagórka, mocno trzymając latawiec szarpany silnymi podmuchami. Czy wspominał, kiedy sam przed laty stał w tym miejscu?

Odezwał się po dłuższej chwili.

- Moja matka... była bardzo wylewna. Teraz sędzę, że stanowczo za bardzo. Gdy dowiedziałem się, co zrobiła, zwątpiłem w szczerść jej wszystkich ciepłych słów.

Caroline wyczuwała, że chodzi mu nie tylko o oznaki uczuć matki, lecz w ogóle o sposób ich okazywania. Wciąż martwiło ją, że Bennett kwestionuje szczerść jej uczuć wobec Wyna. Ponieważ jednak rozumiała, skąd się bierze zwątpienie, nie było to dla niej aż tak bolesne.

Znowu lekko uścisnęła jego dłoń, tym razem już nie w ramach nauki.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Spędzili wspaniałe przedpołudnie, puszczając latawiec przy silnym wietrze nad morza i przyglądając się, jak szybuje wysoko w powietrzu.

Bennett zaczynał się zastanawiać, czy Wyn nie ma już dość emocjonujących przeżyć na ten dzień, kiedy nagły podmuch szarpnął latawcem i zerwał linkę.

- Och, nie!

Wynowi napłynęły łzy do oczu. Patrzył, jak wiatr znosi jego latawiec w stronę sąsiedniej wyspy St. Martin.

- Nie martw się. Zrobimy nowy.

Bennett starał się pocieszyć syna, zwijając na szpulę resztę linki. Te słowa otuchy zdawały się jednak nie wywierać żadnego skutku.

Caroline opadła na kolana przed Wynem i wzięła go w ramiona.

- Nie płacz. Smutno jest stracić coś, co dawało tyle radości. Ciekawa jestem jednak, dokąd poleci. Może wyląduje w Kornwalii, jak myślisz? A może doleci aż do Walii? Jakies dziecko znajdzie go na drzewie i będzie się zastanawiać, skąd pochodzi. Pewnie połata dziury i przymocuje do niego nową linkę.

Wyn wydawał się już mniej przejęty stratą, a bardziej zajęty opowieścią mamy. Bennett z podziwem przyglądał się, jak zręcznie Caroline wyraziła współczucie, lecz zarazem oderwała uwagę dziecka od smutnego zdarzenia. I pomyśleć, że spędził z nią tyle lat całkiem ślepy na jej niezwykle talenty.

- A kiedy latawcowi znudzi się w Walii - Caroline wstała i ujęła Wyna za rękę - może znów się uwolni i poleci dalej, do...

- Do Francji - podsunął Wyn. - Tata kiedyś pokazał mi Francję w atlasie. Chciałbym tam kiedyś pojechać.

- No więc do Francji - zgodziła się Caroline i pochwyciła spojrzenie Bennetta, by zwrócić mu uwagę na wolną rękę dziecka. Przyszedł czas na kolejną lekcję okazywania ojcowskich uczuć. - A gdy będzie opadał i wznosił się wysoko nad Anglią w drodze powrotnej do nas, ludzie będą zadzierać głowy i zastanawiać się, czy to nie jest przypadkiem kawałeczek słońca, który oderwał się i spadł na ziemię.

Gdy ciągnęła swoją opowieść o latawcu, który obleciał świat dookoła, Bennett wziął Wyna za rękę. Chłopiec uśmiechnął się szeroko i mocno ścisnął podaną dłoń. Potem całą trójką zaczęli schodzić ze wzgórza. Miłe poczucie harmonii rodzinnej trwało aż do powrotu do domu. Wtedy Bennett powiedział Wynowi, że nadszedł czas na drzemkę.

- Przecież nie jestem zmęczony - oponował. - Mamo, proszę, czy nie moglibyśmy iść teraz nad morze?

Mimo że Caroline bardzo nie chciała syna rozczarować, poparła decyzję Bennetta.

- Tata ma rację, Wyn. Potrzebujesz dużo odpoczynku, żeby znowu nie zachorować. Pójdziemy nad morze, kiedy się obudzisz.

Wobec zjednoczonych sił rodziców Wyn poddał się i zasnął prawie natychmiast, gdy się położył.

Zbudził się później w znacznie lepszym humorze, więc rodzice zabrali go nad morze, w miejsce między starym blokhauzem a przylądkiem Rushy. Szum morza omywającego piach na plaży zdawał się przenikać Bennetta i pomagał mu zapomnieć o wszystkich rozczarowaniach i niepowodzeniach ostatnich lat. W tej chwili liczyła się tylko jego rodzina spędzająca wspólnie popołudnie.

Następne godziny były równie przyjemne jak czas spędzony na puszczeniu latawca. Gdy budowali kunsztowny zamek z piasku, Caroline śmiała się i żartowała, a Bennett pomyślał, że dawno nie widział jej w takim nastroju. Nie była to udawana wesołość, jaką demonstrowała na przyjęciach i podczas parkowych przechadzek, lecz szczerą radość życia, która podobała mu się stanowczo za bardzo, by mógł zachować spokój ducha.

Kiedy zbierali się do powrotu, Caroline spojrzała na swoje spódnice i przekonała się, że doprowadziła je do żalosego stanu.

- Parker będzie narzekać, ale nie dbam o to. Poświęciłabym sto sukni, żeby usłyszeć taki szczęśliwy szczebiot Wyna i...

- I...? - podchwycił Bennett.

- I móc się znowu pobawić tak, jakbym była dzieckiem - odpowiedziała po krótkim wahaniu, które zdradziło mu, że miała na myśli coś zupełnie innego. - Moi rodzice zabierali mnie na plażę, kiedy byłam bardzo mała. Pamiętam zabawy, bajki i dużo śmiechu. Po śmierci mamy ojciec najmował do opieki nade mną surowe i śmiertelnie poważne guwernantki. Wszystkie miały wyjątkowy talent do odbierania życiu wszelkiej radości.

Bennett zastanawiał się, czy chodząc do teatru, na przyjęcia i do parku Caroline nie starała się odzyskać choć na chwilę tej utraconej radości. Może teraz chciała dać synowi to, czego jej samej tak dotkliwie brakowało?

Caroline zdawała się sądzić, że powiedziała znacznie więcej, niż powinna, i szybko zmieniła temat.

- Fale są o wiele bliżej niż wtedy, gdy zaczynaliśmy budować zamek. Pewnie niedługo go zmyją - zauważyła.

Rozmarzony ton głosu Caroline obudził w Bennecie pragnienie, by dodać jej otuchy. Niestety, nie miał tej umiejętności.

- Mam pewien pomysł, aby to naprawić - powiedział. - Musimy jednak poczekać do następnej wspólnej przechadzki.

- Następnej przechadzki? - Słyszając te słowa, Wyn przybiegł z brzegu, gdzie był zajęty wyciskaniem śladów stóp w piachu. - Dokąd nas zabierzesz, tato?

- Pamiętajcie, jak opowiadałem wam o Gimble Porth? - Bennett wskazał pagórek za domem, na którym puszczała latawiec. - To jest zatoczka po drugiej stronie tego grzbietu. Morze wyrzuca tam mnóstwo muszli, a podczas odpływu można zobaczyć pozostałości ogrodzonych pól i domów, które zostały zalane przez morze.

Oczy dziecka zrobiły się wielkie jak spodki.

- Chciałbym to zobaczyć. A ty, mamo?

- Owszem. - Przytuliła syna i zmierzwiła mu włosy, czym przyprawiła Bennetta o lekkie ukłucie zazdrości.

Gdy wracali do domu, znów trzymając się za ręce, Wyn westchnął z zadowole-

niem.

- To był najlepszy dzień - powiedział. - Bawiliśmy się razem, we troje.

Bennett spojrział nad głową syna na Caroline i skrzyżował z nią spojrzenia. Oboje mieli poczucie, że ich wysiłek się opłacił.

Caroline z żalem myślała o tym, że przyływ zmył ich piękny zamek. Następnego dnia, gdy z Bennettem i Wynem wspięła się na pagórek, mimo woli porównywała w myślach zamek z piachu do domu, który tworzyli tutaj na wyspie. Upływ czasu i nowe zdarzenia wkrótce go zniszczą, stwierdziła w duchu. Póki jednak istniał, była zdecydowana zbierać wspomnienia szczęśliwych chwil, by mieć coś, co będzie dla niej oparciem w przyszłych, samotnych latach.

Gdy dotarli na grzbiet pagórka, przystanęli, by popatrzeć w dół na zatoczkę w kształcie podkowy, osłoniętą wysokimi wydymami. Brzeg pośrodku był piaszczysty, ale gdzieś tam przetrwały liczne kamienie i skałki.

- Co tam jest? - spytał Wyn, przyglądając się wysepkom wystającym ponad powierzchnię wody.

- Najbliższa wyspa nazywa się Northwethel. Za nią jest St. Helen. - Bennett wskazywał je dłonią. - Tam leży Tean. A ta bardziej odległa to St. Martin.

- Odwiedzimy je wszystkie?

- Może któregoś dnia - odrzekł Bennett. - Dzisiaj obejrzymy Gimble Porth. Zobaczmy, co wyrzuciło dzisiaj morze.

Razem zebrali pokaźną kolekcję muszli wszelkich możliwych kształtów i wielkości.

- Co to za muszla, tato? - pytał raz po raz Wyn, gdy dodawał nowy egzemplarz do swojej kolekcji.

- Nie jestem przyrodnikiem. - Bennett obejrzał z uwagą kolejne znalezisko. - Musimy poszukać książek na ten temat. Zwróć jednak uwagę, że ta ma prawie identyczny kształt, jak tamte dwie, tyle że jest szersza u podstawy.

Przyglądając się ojcu i synowi razem, Caroline zauważyła, że łączy ich znacznie więcej, niż sądziła. Bennett bez wątpienia z wielkim oddaniem wypełniał obowiązki opiekuna i z zapałem pomagał Wynowi zdobywać nowe umiejętności, zachęcając, by wszystko badał i stawiał pytania.

Gdy zainteresowanie Wyna muszlami zaczęło słabnąć, Bennett zaproponował, by zebrać trochę kamieni na kopiec.

- Trudniej go zbudować niż zamek z piasku, a wynik nie będzie taki imponujący. Za to morze nie zmyje kopca w ciągu jednej nocy.

- Dlaczego te wszystkie kamienie są takie okrągłe? - spytał Wyn.

Bennett przytoczył spory gład na podstawę budowli.

- Prawdopodobnie dlatego, że od wielu lat omywają je fale. Piasek, który tu widzisz, to właśnie takie kamienie, tylko zostały odłupane od skały i bardzo mocno starte.

- Podoba mi się ten pomysł - powiedziała Caroline, myśląc z uznaniem o tym, że cierpliwa praca może dać z czasem wspaniałe wyniki. - Jak mogę wam pomóc?

Dźwigając kolejny kamień, Bennett skinął głową w stronę wody.

- Przynieś trochę mokrego piachu na zaprawę.

Bennett miał rację, że ta praca jest trudniejsza, pomyślała Caroline, gdy budowała zaczęła nabierać kształtów. Może i dla nich nie było za późno na odbudowanie silnego, trwałego związku w miejscu ulotnego złudzenia, które rozwiało się jak zamek z piasku?

Zanim skończyli, kopiec prawie dorównał wysokością Wynowi, który wydawał się bardzo dumny ze wspólnego wysiłku.

- Odpływ jest teraz największy - powiedział Bennett. - Jeśli wrócimy na grzbiet pagórka, pewnie będziemy mogli zobaczyć te zatopione pola i domy, o których ci mówiłem.

Obietnica takiego widoku sprawiła, że Wyn natychmiast rozpoczął wspinaczkę.

Caroline strzepnęła piach z dłoni. Zdziwiła się, że ma teraz tak miękką i gładką skórę.

- Czy to był pomysł na zawrócenie syna do domu bez awantury? - spytała Bennetta ze śmiechem.

- Zdziałało, prawda? - Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego. - Nauczyłem się tej sztuczki od pani McGregor.

Wkrótce patrzyli z góry na wody zatoczki. Caroline z zachwytem przyglądała się niezliczonym odcieniom niebieskiego.

- Czy to może być fragment ogrodzenia? - spytała.

- Tak mi się zdaje - powiedział Bennett i wziął Wyna na barana, żeby lepiej widział. - Popatrz, jak ten rząd kamieni styka się z tamtym. Kąt jest prosty. To dzieło człowieka, nie przypadku.

Caroline się wzdrygnęła.

- Trochę to smutne. Tyle pracy i morze wszystko zabrało. Ciekawa jestem, czy przyszła wielka powódź, czy woda podnosiła się o centymetry rok za rokiem i wdzierала się na ląd.

Zatopiona wieś skierowała jej myśli ku ich małżeństwu. Skandal u Almacka był jak powódź, która je zatopiła. Więzi oparte na zaufaniu, które mogły je uratować, znacznie wcześniej osłabły. Gdyby istniała możliwość odzyskania tego, co stracili, pierwszym krokiem musiałoby być z pewnością zrozumienie, co układało się nie tak, jak powinno.

Tymczasem Bennett zdjął Wyna z ramion i postawił na ziemi. Chłopiec pomasaował się po brzuchu.

- Jestem bardzo głodny.

- Budowanie i zbieranie muszli wzmacnia apetyt - powiedziała Caroline. - Nie wspomnę już nawet o nadmorskim powietrzu. Powinniśmy byli wziąć ze sobą koszyk piknikowy. Może pobiegiesz pierwszy do domu i poprosisz panią Jenkins, żeby dała ci herbatnika?

Chłopcu pomysł wyraźnie się spodobał, bo natychmiast ruszył przed siebie. Caroline szła po nierównościach terenu znacznie wolniej.

Bennett podał jej ramię. Z zadowoleniem je przyjęła, i to z niejednego powodu.

- Dziękuję za kolejny piękny spacer. Bardzo mi było przyjemnie. Przypomniał mi się dzień, kiedy zaprosiłeś mnie na pływanie łodzią po Tamizie. Pamiętasz?

- Jak mógłbym zapomnieć? - Uśmiechnął się. - Miałem wielkie pęcherze na dłońach od wiosłowania.

- Byliśmy wtedy szczęśliwi, prawda? - Zerknęła na niego kątem oka, taksując reakcję. - Kiedy to zaprzepaściliśmy?

Bennett stęzał. Czy miał jej przypomnieć, że to ona wystąpiła z propozycją, by wymazać przeszłość z pamięci?

Ku jej zaskoczeniu odpowiedział cicho, ze smutkiem:

- Wydaje mi się, że mylisz szczęście z przyjemnością.

Czyżby więc nigdy nie uczyniła go szczęśliwym, nawet w krótkim okresie zalotów i początkowych miesiącach małżeństwa? Caroline przygryzła wargę, by powstrzymać bolesny jęk.

Po chwili jednak jakiś szaleńczy impuls skłonił ją, by mówić dalej.

- Zaczęło się chyba od tego, że nie od razu poczęliśmy dziecko. Z każdym mijającym miesiącem dystans między nami zdawał się rosnać. Potem gdy zaszłam w ciążę, nasze małżeństwo odżyło... na chwilę.

Kiedyś miała nadzieję, że gdy wywiąże się z podstawowego obowiązku żony, Bennett znowu zacznie okazywać jej uczucia. Myliła się.

- To nie miało z tym nic wspólnego! - zaprzeczył Bennett. - Wcale nie byłoby inaczej, gdybyśmy poczęli dziecko w czasie miodowego miesiąca. Oddaliliśmy się od siebie, ponieważ bardzo się różnimy. Inaczej widzimy świat, pragniemy czego innego. To nie jest niczyja wina, a już na pewno nie twoja. Po prostu tacy jesteśmy, i już.

Nie jej wina... Niby powinno to być miłe dla uszu Caroline, a jednak jakoś jej nie pocieszyło.

- Może gdybym miał więcej doświadczenia w takich sprawach - ciągnął Bennett - rozumiałbym, że małżeństwo dwojga tak różnych ludzi nie może doprowadzić do niczego dobrego.

- Do niczego dobrego? - Wyrwała rękę z jego uścisku z taką siłą, że omal się nie przewróciła. - Owocem tego małżeństwa jest nasz syn, największa radość mojego życia!

Po tych słowach przyspieszyła, zostawiając Bennetta za sobą.

Pokonując ostatnie kroki dzielące ją od kuchennych drzwi, Caroline starała się uspokoić i zapanować nad nadmiernym wzburzeniem, aby nie zakłócić radości dziecka.

Straciła wszelką nadzieję na naprawę ich relacji. Okazało się bowiem, że problem tkwi nie w tym, co zrobiła, lecz w tym, jaka jest. Chyba że...

Jak mógł popełnić tak gigantyczną gafę? Co więcej, to, co powiedział, nie miało nic wspólnego z prawdą. Bennett dodał jeszcze jeden punkt do listy swoich przewin, która stawała się stanowczo zbyt długa.

Nie raz i nie dwa w ciągu trwania małżeństwa dawał Caroline odczuć, że nie jest z niej zadowolony. Najpierw, gdy długo nie zachodziła w ciążę. Potem, gdy miała kłopoty z karmieniem. Wtedy też przestał ją odwiedzać w łóżu. Czy te wszystkie zdarzenia mogły mieć coś wspólnego z przeświadczeniem Caroline, że zawiodła go jako żona? Do tej pory był pewien, że chodzi jej jedynie o skandal u Almacka.

Podczas kolacji zastanawiał się, w jaki sposób Caroline potrafi zachowywać się

tak, jakby nic nie zaszło. On tymczasem nie mógł wyrzucić z głowy wspomnienia jej wzburzonej miny. Ostrożność podpowiadała mu, by iść za przykładem żony i spróbować zapomnieć o scysji. W końcu zawarli taki układ. Nie chciał ryzykować burzliwej konfrontacji jak ta, przez którą omal nie stracili syna.

Jedynym pozytywnym aspektem całej sytuacji było to, że Bennett zaczynał coraz lepiej rozumieć motywacje i uczucia Caroline.

Gdy już położyli Wyna do łóżka tego wieczoru, Bennett spytał:

- Napiałabyś się herbaty? Moglibyśmy zagrać w karty... albo porozmawiać.

- Porozmawiać? - spytała Caroline takim tonem, jakby spodziewała się kolejnej kłótni.

- Tylko porozmawiać. - Starał się powiedzieć to tak, by nie poczuła się zagrożona.

- Bez ryzyka, że coś dotrze do niepowołanych uszek.

Po chwili zastanowienia uśmiechnęła się niepewnie.

- Zgoda. Herbata i rozmowa.

Wkrótce siedzieli naprzeciwko siebie przy stoliku w kącie salonu i popijali herbatę. Panowało niezręczne milczenie.

- Czy chciałeś pomówić o czymś konkretnym? - spytała w końcu Caroline.

Bennett skinął głową. Było mu o wiele łatwiej rozmawiać, gdy miał pewność, że syn ich nie słyszy.

- Chcę przeprosić za swoją uwagę dziś po południu. To było nieprzemyślane. Wca-
le nie chodziło mi o Wyna, kiedy powiedziałem, że z małżeństwa dwóch tak różnych
osób nie może wyniknąć nic dobrego. Chciałem tylko zapewnić cię, że nie jesteś
winna naszych kłopotów.

Wcałe go nie zawiodła tym, że zaszła w ciążę dopiero po roku ani tym, że miała
kłopoty z karmieniem po urodzeniu dziecka. Nawet o skandal z Astleyem nie można
jej było obwinić, mimo że był to cios, który mocno ugodził w jego dumę.

- Rozumiem. - Caroline upiła łyk herbaty. - Nie powinnam była podnosić takiego
rabanu. Wiedziałam, co masz na myśli.

Zdawało się, że tą odpowiedzią zdjęła mu z ramion wielki ciężar.

- Właśnie o tym mówię. Przez cały okres naszego małżeństwa różnice między na-
mi prowadziły do tego, że niewłaściwie się osądzaliśmy, błędnie interpretowaliśmy
nasze wypowiedzi i działania, zawsze wyciągaliśmy najgorsze wnioski z możliwych.

Skinęła głową ze smutną miną.

- Przyznaję się.

- Ja też.

Patrzyła na niego tak, jakby było jeszcze coś bardzo ważnego, co pominęła milcze-
niem. Chciała jednak, żeby doszedł do tego sam. Właśnie zaczynał się domyślać,
o co mogło jej chodzić, gdy Caroline zręcznie skierowała rozmowę na mniej drażli-
wy temat.

- Dzięki Bogu, uczymy się być lepszymi rodzicami, niż byliśmy mężem i żoną. Jaką
następną lekcję o wychowaniu Wyna powinnam opanować?

Bennett zastanawiał się przez chwilę.

- Miałem podkreślić wagę zajmowania jednakowego stanowiska. Jednak sama do
tego doszłaś. Dziękuję.

Ucieszyło go, gdy pochwała wywołała na jej twarzy uśmiech i rumieniec. Z trudem zwalczył chęć, by wziąć ją za rękę, pochylić się nad stolikiem i wycisnąć na jej ustach gorący pocałunek.

Caroline spuściła wzrok i zaczęła się bawić filiżanką, obracając ją na spodeczku to w jedną stronę, to w drugą, tak jakby odgadła jego myśli.

- Nadal chcę się uczyć. Powiedz mi co dalej.

Bennett użył całej siły woli, by przestać myśleć o jej kuszących wargach.

- Musisz jasno przedstawiać Wynowi konsekwencje jego zachowania.

- Jak tamtego dnia, gdy wyjaśniłeś mu, co będzie, jeśli wyjdzie na deszcz? - Podniosła wzrok i spojrzała na niego tak, jakby był najmądrzejszym człowiekiem na świecie. - To była dla Wyna znakomita lekcja. Żałuję, że nie postępowano w taki sposób ze mną, lecz po prostu zabraniano mi tego, czego chciałam. Buntowałam się... bez względu na konsekwencje.

Na jej twarzy pojawił się wyraz skruchy i Bennett zrozumiał, że oboje myślą o Fitzu Astleyu.

I to należało dopisać do listy moich przewin, pomyślał z goryczą.

- A czego ty jeszcze chcesz mnie nauczyć? - spytał.

Jego zadania do tej pory były łatwe, obawiał się jednak, że stopień trudności wkrótce wzrośnie.

- Już prawie opanowałeś sztukę uśmiechania się - powiedziała, a on niemal odruchowo zareagował rozbawieniem. - Również w trzymaniu za rękę robisz zadowalające postępy. Teraz musisz przejść do innych form dotykania, takich jak klepanie po ramieniu, mierzwienie włosów i uścisk. Wiem, że to wszystko jest dla ciebie trudne, ponieważ przypomina ci twoją matkę...

- Nie chodzi tylko o to - odpowiedział pośpiesznie Bennett. Caroline mogła nie zdawać sobie z tego sprawy, ale zamierzał właśnie wystąpić z propozycją przebaczenia. - Zastanawiałem się dość długo i sądzę, że ma to również związek z moim ojcem, który prawie w ogóle nie okazywał mi uczuć. Musiałem ukrywać swoje lęki i smutki, a gdy moja matka odeszła... również tęsknoty...

W głębi niebieskozielonych oczu Caroline dostrzegł błysk zrozumienia.

- Czegoś mimo wszystko nie rozumiem - powiedziała. - Zaraz po ślubie nie byłeś chłodny i opanowany... Bez żadnego wahania całowałeś mnie i pieściłeś...

Słowa żony rozbudziły w nim ledwie tłumione pożądanie.

- Namietność jest potężna, nie jest tak subtelnym uczuciem jak życzliwość i czułość.

Caroline smutno pokiwała głową, co wprawiło go niemal w takie samo zakłopotanie, jak jego przyspieszony oddech i galopujące tętno. Wewnętrzny głos podszeptował mu, że chce odzyskać żonę, chociaż rozum wyrokował, że wszelkie nadzieje na pogodzenie są płonne.

Bennett rozpoznał znajome pragnienie, to samo, które nawiedziło go, gdy Caroline pierwszy raz uśmiechnęła się do niego przy herbacie w salonie ojca. Nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego wróciło ono, by go dręczyć w najgorszym możliwym momencie.

Zaczął się zastanawiać, czy Caroline też zaczęła za nim tęsknić.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Czy Bennett potrafiłby zaspokoić jej potrzeby uczuciowe, nawet gdyby udało się go namówić, by tego spróbował? Ta myśl dręczyła Caroline przez następne kilka dni, a tymczasem Wyn nabierał sił i podczas spacerów oddalali się coraz bardziej od domu. Wieczorami, po położeniu dziecka do łóżka czasem sami szli na przechadzkę, kiedy indziej pili razem herbatę lub grali w karty. Zdawało się, że w tym czasie rozmawiają ze sobą więcej niż przez cały okres małżeństwa.

Najważniejszym tematem był Wyn. Wciąż dzielili się ze sobą radami, jak okazywać chłopcu uwagę i uczucia tak, by jednocześnie zanadto mu nie pobłażać. Caroline była zachwycona, gdy odkrywała, jak znakomity efekt dają niektóre sugestie Bennetta. Dzień za dniem chłopiec wydawał się łatwiejszy do opanowania, rzadziej się awanturował, gdy nie stawiał na swoim, cierpliwiej czekał na to, czego zapragnął.

Na jedną z wycieczek Wyn szykował się ze szczególnym zapałem. Codziennie przed snem pytał:

- Czy możemy jutro obejrzeć zamki?

Każdego wieczoru rodzice odpowiadali mu, że to zależy od jego samopoczucia następnego rana i od pogody, która musi być odpowiednia na dłuższą wyprawę.

W końcu wymarzony dzień nadszedł i Wyn z trudem panował nad podnieceniem. Po śniadaniu pani Jenkins przygotowała im koszyk piknikowy, do którego włożyła paszteciki kornwalijskie, ser i inne smakołyki. Potem wyruszyli drogą prowadzącą przez Dolphin Town na drugą stronę wyspy. Za gospodą skręcili na północ.

- Wciąż trudno mi uwierzyć, że na takiej małej wyspie może stać zamek, a tym bardziej dwa zamki - powiedziała Caroline, gdy weszli na kamienną ścieżkę.

- To są raczej forty - wyjaśnił Bennett. - Z czasów wojny domowej. Na tutejszych wyspach toczyło się stosunkowo dużo walk, jeśli zważyć na ich wielkość. To były ostatnie punkty oporu rojalistów.

- Popatrz, mamó. - Wyn pociągnął ją za spódnicę. - Tam, za tym wąskim paskiem wody, jest jeszcze jedna wyspa.

Caroline przysłoniła oczy dłonią.

- Leży bardzo blisko. Czy sądzisz, że człowiek o silnym ramieniu mógłby przerzucić na nią kamień?

Wyn skinął głową.

- Tata mógłby.

- Twój tata jest bardzo wytrwały - przyznała Caroline. - Podejrzewam, że potrafi osiągnąć wszystko, co sobie zaplanuje.

Czy potrafiłby również zapomnieć o zdradzie matki i o swojej zażartej kłótni z Fitzem Astleyem, a także uwierzyć w końcu, że jego żona nie popełniła cudzołóstwa? Czy potrafiłby przebaczyć jej wszystkie prowokacje i upokorzenia, którymi nękała go jak uparte dziecko gotowe za wszelką cenę postawić na swoim? Czy umiałby przymknąć oko na dzielące ich różnice, by skupić się na ich najsilniejszej więzi, tej rodzicielskiej? Caroline wiedziała, że trudno o to prosić, a większość mężczyzn nie

byłyby do tego zdolna. Jej zdaniem jednak Bennett Maitland do tej większości nie należał.

Pozostawała wątpliwość, czy będzie chciał spróbować.

- To dalej, niż nam się wydaje - powiedział wyraźnie zakłopotany komplementem. Czyżby nie wierzył w jej szczerść? A może zakładał, że ta uwaga została wypowiedziana wyłącznie na użytek Wyna? - Wyspa nazywa się Bryher. Miejscowi tam się często przeprowadzają. Latem podczas odpływu można bez trudu zrobić to wpław.

- Możemy tam kiedyś popłynąć? - spytał Wyn.

- Wielkie nieba... - Caroline zrobiła energiczny wymach ich złączonymi rękami. - Musielibyśmy mieszkać tu bardzo długo, żeby odwiedzić wszystkie miejsca, które chcesz obejrzeć.

Nie miałyby zresztą nic przeciwko nieco dłuższemu pobytowi, a nawet powitałyby go z radością. Dni mijały o wiele za szybko. Znikały jak koraliki, zsuwające się z przerwanej nitki.

- A tam są zamki, które tak bardzo chciałeś zobaczyć. - Bennett wyciągnął ramię i wskazał kamienną wieżę, wznoszącą się na brzegu, i ruiny większych umocnień, rozciągnięte na szczycie nadmorskiego wzgórza. - Obawiam się jednak, że nie wydadzą ci się tak imponujące, jak się spodziewałeś.

Wyraźnie martwił się, że syn przeżyje rozczarowanie.

- Mnie się wydają wspaniałe! - oświadczyła Caroline. - Wyobraź sobie, ile historii miałyby do opowiedzenia.

Spojrzała na Bennetta.

- Oglądałeś te zamki, kiedy w dzieciństwie przyjeżdżałeś na Tresco?

Wyobraziła go sobie, jak idzie ciągnącą się przed nimi ścieżką, trzymając matkę za rękę, dokładnie tak samo jak Wyn i ona w tej chwili.

- Co roku. Mama i ja pakowaliśmy drugie śniadanie i jedliśmy je na szczycie Wieży Cromwella albo w ruinach starego zamku. Najbardziej wyczekiwałem tych jesiennych wakacji. Mama wydawała się wtedy dużo swobodniejsza niż przez resztę roku. - Otrząsnął się ze wspomnienia. - No dobrze, który zamek chcesz obejrzeć najpierw?

Wyn spojrzał na brzeg, a potem przeniósł wzrok na szczyt wzgórza.

- Jak uważasz, mamo?

- Którykolwiek wybierzesz, zgadzam się z tobą, kochanie - powiedziała. - Po prostu kiedy jesteśmy razem, czuję się szczęśliwa.

Odkąd nauczyła się, że nie musi mu zawsze ustępować, żeby być przez niego kochaną, zaczęła bardziej lubić jego towarzystwo i cieszyć wspólnie spędzaniem czasu. Stanowczo nie była to łatwa lekcja i Caroline czuła wdzięczność wobec Bennetta, że podzielił się z nią swoją wiedzą, mimo że początkowo nie chciała się uczyć.

- Najpierw o ten - zdecydował Wyn, wskazując okrągłą wieżę, sterczącą zuchwale na wąskim pasie lądu tworzącym największe zwężenie cieśniny między Bryher a Tresco. - Czy możemy wspiąć się na górę?

Nie było przeszkód, więc skorzystali z kręconych schodów we wnętrzu wieży. Bennett nie pozwolił Wynowi wejść do żadnego z niżej położonych pomieszczeń, bo drewniane bale tworzące podłogi były wyraźnie przegniłe. Za to kamienny szczyt

wieży wciąż wyglądał solidnie.

Na szczycie posadził syna na swoich ramionach, żeby malec mógł spojrzeć sponad parapetu.

- Tutaj stało działo, które ostrzeliwało okręty nieprzyjaciela, usiłujące przepłynąć między wyspami.

Caroline była zachwycona, przyglądając się im. Bennett czuł coraz mniej skrępowania przy dziecku. Chociaż fizyczny kontakt wciąż zdawał się go wprawiać w lekkie zakłopotanie, nie ulegało wątpliwości, że z nowo odkrytego poczucia bliskości czerpał wielką radość.

Razem z Wynem zasypywali Bennetta pytaniami o historię zamku i o konflikty, w których odegrał jakąś rolę. Maitland okazał się niewyczerpanym źródłem informacji.

Później wspięli się na strome, usiane skałami wzgórze do ruin starszego zamku. Gdy napatrzyli się już na Bryher, Wyn namówił mamę na zabawę w chowanego wśród ruin murów.

- Przyłącz się do nas - zawołała Caroline do męża.

Bennett pokręcił głową.

- Wolę przyglądać się z oddali, żeby mieć pewność, że Wyn nie wejdzie w żaden zakamarek, gdzie mógłby sobie zrobić krzywdę.

- Jak uważasz...

Zaczęła głośno liczyć do dwudziestu.

Jeszcze niedawno wzięłaby odpowiedź Bennetta do siebie i potraktowałaby ją jak krytykę. Teraz rozumiała, że każde z nich wyrażało swoją miłość do Wyna w sposób, jaki wydawał im się najbardziej naturalny. Nie oznaczało to jednak, że muszą się sztywno trzymać jednej roli.

Gdy bawili się z synem już dłuższy czas, Caroline podeszła do męża i żartobliwie go szturchnęła.

- Teraz twoja kolej, żeby go szukać. Ostrzegam cię, że bardzo dobrze wybiera kryjówki.

Gdy Bennett się zawahał, zniżyła głos, żeby syn ich nie podsłuchał.

- Będę pilnowała, żeby nic mu się nie stało. Możesz mi zaufać. Wiesz o tym, prawda?

Poczyniła niewątpliwe postępy, skoro oświadczyła, że potrafi dopilnować bezpieczeństwa dziecka. Wiedziała już, że Bennett nie obwinia jej za to, co uważała za swoje największe klęski, mogła więc spojrzeć na ich małżeństwo w całkiem nowy sposób. A ponieważ mąż zwrócił się do niej o radę w sprawie okazywania synowi uczuć, zyskała tym większą wiarę w siebie. Każdy krok ku pojednaniu z Bennettem dawał, że coś osiągnęła. A było to potężne antidotum na zwątpienie w siebie i obawę przed porażką.

- Oczywiście, że mogę ci zaufać - odpowiedział Bennett prawie bez zastanowienia.

Zważywszy na jego złe doświadczenia i przekonanie, że został zdradzony, ta odpowiedź była dla Carolina bezcenna.

Przyglądając się, jak razem z Wynem bawią się w ruinach w chowanego, pomyślała, że ta wyspa ma wiele cech jej męża. Z tego, co widziała do tej pory, Tresco wy-

różniało się surowym pięknem i bogatą historią pełną tajemnic. Dla słabych i nieostrożnych mogło okazać się niebezpieczne.

Czy naprawdę jej ufał? Bennett wciąż nie wierzył, że ta odpowiedź przeszła mu przez gardło. Przecież ta kobieta spiskowała z jego najgorszym wrogiem i wystawiła go na pośmiewisko całego Londynu.

Te wyspy wydawały się jednak oddalone od reszty świata. To prawda, że przyjechał tu z bagażem negatywnych emocji, stopniowo jednak pozbywał się tego balastu i czuł się również swobodniejszy.

Dlatego właśnie pozwolił sobie na tę uwagę o zaufaniu i spontaniczne zabawy z synem.

Po całym dniu na świeżym powietrzu Wyn omal nie zasnął przy kolacji. Tego wieczoru gdy rodzice kładli go do łóżka, nie próbował nawet udawać oporu.

- Słodkich snów, kochanie.

Caroline okryła czoło dziecka pocałunkami, a potem czule je uściskała. Wyn szeroko ziewnął.

- Dobranoc, mamo.

Gdy się podniosła, przesłała zachęcające spojrzenie Bennettowi. Wiedział, czego żona od niego oczekuje, i przygotował się, by to zrobić. Dwa wieczory temu poklepał syna po ramieniu. Poprzedniej nocy zmierzwił mu włosy. Co należało zrobić dzisiaj?

Pewnie dzięki temu, że Wyn był na wpół uśpiony, Bennett czuł się mniej niezręcznie, gdy obejmował dziecko i całował je w czoło.

- Dobranoc, synu. Wypoczywaj.

Próbował się odsunąć, ale zanim to zrobił, synek zarzucił mu ramiona na szyję i mocno go uściskał.

- Dobranoc, tato - powiedział i głośno cmoknął go w policzek.

Bennett nie był pewien, jak powinien zareagować, ale dobrze wiedział, że Caroline byłaby rozczarowana, gdyby przerwał ten uścisk zbyt szybko. Trzymał więc Wyna przy sobie, aż poczuł, że jego oddech staje się równy i spokojny, a ramionka rozluźniają się. Dopiero wtedy odłożył Wyna na poduszkę i otulił go kocem.

Gdy wyprostował się i zerknął na Caroline, promieniała.

- Dziękuję.

Popatrzył na śpiącego synka z wielkim zadowoleniem i odpowiedział.

- Myślę, że twój ojciec byłby dumny ze swojego młodego imiennika.

Chociaż Bennett bardzo chciał, by jego mentor zdążył jeszcze zobaczyć swojego wnuka, to z drugiej strony bardzo mu ulżyło, że sir Wyndham nie był świadkiem rozpadu ich małżeństwa ani zatrważającego ciosu, jaki Caroline zadała ruchowi na rzecz zniesienia niewolnictwa.

Naraz zorientował się, że radość Caroline gdzieś znikła.

- Oczywiście, że ojciec byłby dumny. Wyn jest przecież chłopcem. Nie miałoby najmniejszego znaczenia to, że jest tępy, niegrzeczny albo niehonorowy, bo liczy się płeć. Dziewczynce nigdy nie udałoby się zadowolić mojego ojca ani innego mężczyzny z jego klasy.

Gorycz tych słów zaskoczyła Bennetta. Rozsądek podpowiadał mu, by się nie odzywać. Nie chciał kłótni w momencie, gdy ich relacje zaczęły się tak dobrze układać. Nie mógł jednak nie zwrócić uwagi na ból Caroline kryjący się pod pancerzem urazy.

- Zawsze wydawałaś się bardzo oddana swojemu ojcu.

Starał się, by nie zabrzmiało to jak ocena ani zarzut. Chciał jedynie wyrazić jej współczucie.

Caroline roześmiała się nerwowo.

- Owszem, ale owo oddanie niewiele było warte. Zrobiłabym wszystko, byle zyskać jego uznanie... miłość. Nigdy jednak nie umiałam go zadowolić. Przyciągałam więc jego uwagę różnymi wybrykami. Było to dużo zabawniejsze.

Pewnie dlatego sir Wyndham poparł ich zaręczyny z takim entuzjazmem. Może sądził, że jego córka potrzebuje rozważnego męża, który ją okiełzna i powściągnie jej temperament. Bennett żałował, że pod tym względem zawiódł sir Wyndhama. Zapewne z tego samego powodu brała kochanków - próbowała go sprowokować, by zwracał na nią więcej uwagi.

Caroline melancholijnie westchnęła.

- Między innymi dlatego przyjął twoje oświadczenia. Wiedziała, że ojciec umiera, i uznałam, że to moja ostatnia szansa, by okazał mi miłość.

- Szkoda, że tego nie wiedziałem - szepnął Bennett bardziej do siebie niż do niej.

Gdyby wiedział, że stara się zadowolić człowieka, którego oboje stawiali na piedestale, może pracowałby ciężiej, by ich małżeństwo okazało się sukcesem. A już na pewno powstrzymałby się od bolesnych uwag po narodzinach Wyna.

Odważył się na nią zerknąć. Chciał powiedzieć, jak bardzo mu przykro, ale słowa utknęły mu w gardle. Mimo wszystko Caroline go zdradziła, upokorzyła, a jego karierę zepchnęła na krawędź przepaści.

Wzruszyła ramionami, co bez wątpienia miało być komentarzem do jego ostatnich słów.

- To już nie ma znaczenia. Sam często powtarzasz, że tego, co było, nie zmienimy.

Bennett wiedział, że to prawda, ale po powrocie na Tresco zrozumiał też, że można zmienić swoje spojrzenie na przeszłość, bowiem ma ona duży wpływ i na teraźniejszość, i na przyszłość.

- Twój ojciec kochał cię bardziej, niż to umiał okazać. Bardzo się niepokoił o twoją przyszłość.

Lekko uniosła kąciki ust.

- Możliwe, że mnie żałował. Może mógłby mnie pokochać, gdybym była chłopcem.

Bennett wreszcie zrozumiał, co Caroline miała na myśli tamtego dnia, gdy rozmawiali o synach i córkach.

- Jeżeli twój ojciec pragnął syna, to tylko dlatego, żeby twój majątek nie wpadł w cudze ręce i żebyś miała zapewnioną opiekę. Kiedyś powiedział mi, jak bardzo żałuje, że nie może dać ci brata.

- Jesteś pewien? - spytała, przeszywając go spojrzeniem.

- Całkiem pewien. Może twój ojciec miał podobny problem z okazywaniem uczuć jak ja wobec Wyna. Z tą różnicą, że jemu nikt nie zwrócił na to uwagi.

Wyczuł, że Caroline chce w to uwierzyć, choć trochę się boi.

Odwróciła się do drzwi.

- Skoro mowa o Wynie, to powinniśmy dać mu pospać w spokoju i zatroszczyć się o trochę snu dla siebie. Potrzebujemy dużo sił na następne wycieczki.

Gdy kilka minut później przystanęli przed drzwiami swoich sypialni, Bennett żałował, że muszą się rozstać. Był w tym znajomy motyw pożądania, lecz również inne przyczyny, których nie potrafił precyzyjnie nazwać.

- Dobranoc. - Caroline pchnęła swoje drzwi, ale zerknęła na niego przez ramię. - Dziękuję za to, co powiedziałaś o moim ojcu. Nigdy nie będę wiedzieć na pewno, czy właśnie tak myślał, ale poczuję się lepiej, jeśli zdołam się do tego przekonać.

Gdy przyglądał się, jak przekracza próg sypialni, musiał zmobilizować całą siłę woli, żeby za nią nie pójść. Nie tylko dlatego że całe jego ciało było obolałe z pożądania.

Drzwi zamknęły się jednak i odgrodziły ich od siebie. Bennett przypomniał sobie, że jako mąż powtórzył zbyt wiele błędów jej ojca - nie okazywał uczuć i wyrobił w niej przekonanie, że nie sposób sprostać jego oczekiwaniom.

Caroline przyznała się, że poślubiła go, by sprawić przyjemność ojcu, ale może miała ku temu jeszcze inny powód? Czyżby przez swą niewinność wzięła jego dzikie pragnienie za miłość i uwierzyła, że znajdzie w jego oczach uznanie, których nie dawał jej sir Wyndham?

Jeśli tak, to nie mógł się dziwić, że nazwała małżeństwo z nim torturą.

Bezwiednie wsunął dłoń do kieszeni i chwycił palcami obrączkę, którą Caroline ciśnieła w niego podczas kłótni. Wewnętrzny głos ostrzegał go, jak wielką nierozważą byłoby zakochać się z pięcioletnim opóźnieniem we własnej żonie.

Przez następne dni wyraźne echo pożądania rozpalało ciało Caroline, ilekroć wracała myślami do tamtego wieczoru. Nie mogła zrozumieć, dlaczego jest taka nierozważna. Owszem, potrzeby ciała mogłyby pchnąć Bennetta ostatni raz do jej łóżka i doprowadzić do namiętnego zbliżenia. Potem jednak sprawy między nimi układałyby się zdecydowanie gorzej i o wiele trudniej byłoby im odgrywać szczęśliwą rodzinę.

Jednak gdy byli w drodze na następną wielką wyprawę we troje, łatwo było zapomnieć, że to tylko gra.

- Dokąd zabierzesz nas tym razem, tato? - spytał Wyn, gdy zbliżając się do blokhausu, skręcili na wąską drogę prowadzącą w głąb wyspy.

- Pokażę wam tę część wyspy, której jeszcze nie widzieliście. - Bennett podążył naprzód dość dziarskim krokiem, niosąc koszyk z drugim śniadaniem. - To było moje ulubione miejsce. Zawsze chciałem zobaczyć je wiosną.

- Twoje ulubione miejsce? - Wyn wybiegł przed rodziców. - Jeszcze bardziej ulubione niż zamki?

Caroline rozglądała się dookoła zachwycona krajobrazem, jakiego na Tresco jeszcze nie widziała. Inaczej niż w usianej skałami północnej części wyspy, przed ich oczami łagodnie falowały pagórki spowite bujną zielenią. Otaczało ich też mnóstwo innych kolorów. Niektóre drzewa miały fioletowe kwiaty, które odcieniem mogłyby zawstydzić ametyst, inne kwitły kaskadami bladnoróżowych kotków.

Nawet kamienne murki po bokach drogi wyglądały przyjaźniej, były omszałe i ob-

rośnięte bluszczem. Polne kwiaty zdawały się cieszyć oczy wszędzie, gdzie się spoj-
rzało. Główki drobnych fiołków wyglądały nieśmiało spomiędzy liści. Jaskrawe, żło-
ciste nagietki przypominały miniaturowe słońca. Centurie zachwyciły swoim odcie-
niem różu.

Caroline mimowolnie zastanowiła się, jakie wrażenie wywarłaby, gdyby włożyła
suknię w podobnym odcieniu na przyjęciu w Londynie.

To życie jednak skończyło się bezpowrotnie przez jej niefrasobliwe zachowanie.
Połowa towarzystwa prawdopodobnie podejrzewała ją o potajemne cudzołożenie
i ukradkiem o tym szeptała. Paskudna sztuczka Astleya tylko dała tym ludziom pre-
tekst, by odwrócić się do niej plecami.

Z zaskoczeniem stwierdziła, że prawie nie tęskni za splendorem życia towarzy-
skiego, które kiedyś znaczyło dla niej tak dużo. Teraz o wiele bardziej cieszyły ją
rodzinne spacerunki, choćby takie jak ten.

- To jak olbrzymi ogród! - zawołał Wyn. - Mam nadzieję, że będziemy tutaj przy-
jeżdżać co roku tak jak wtedy, kiedy byłeś mały, tato. Tak nam tutaj dobrze, że już
prawie nie tęsknię za Greggy.

Przy każdej innej okazji wzmianki o piastunce wywoływały u Caroline ukłucie za-
zdrości i urazę, że służąca więcej znaczy dla dziecka niż matka. Ostatnio jednak za-
częła patrzeć na tę sytuację z innego punktu widzenia.

Było całkiem naturalne, że Wyn darzył uczuciem kobietę, która się o niego trosz-
czyła i spędzała z nim niemal każdą wolną chwilę. Caroline było przykro, że ode-
rwała go od pani McGregor, całkiem nie zważając na jego uczucia. Pocieszała ją też
myśl, że po powrocie do Londynu z ojcem Wyn znajdzie się pod opieką kogoś znajo-
mego i kochanego.

- Nie przejmuj się przyszłością - powiedział Bennett, unikając złożenia obietnicy,
której nie mógłby dotrzymać. - Ciesz się tym, co jest teraz.

Rada męża znalazła uznanie również Caroline. Zbyt częste myślenie o przyszłości
mogło całkiem zepsuć radość z chwili obecnej. Podobnie zresztą rozpamiętywanie
przeszłości. W swoim czasie sama się o tym przekonała. Teraz, gdy byli z nią mąż
i syn, musiała się skupić na teraźniejszości i cieszyć każdą bezcenną chwilą.

Tymczasem Wyn przystanął i pociągnął nosem.

- Co to za zapach?

- Hm... - Caroline głęboko odetchnęła i wyraziła swoje uznanie. - Bardzo słodka,
intensywna woń. Wydaje mi się znajoma, ale jakoś nie mogę z niczym jej skojarzyć.

- Rumianek - powiedział Bennett. - Rośnie dookoła Wielkiego Stawu i Stawu Opa-
ta.

- Oczywiście. - Caroline jeszcze raz wciągnęła w nozdrza piękny zapach. - Pod-
czas naszej pierwszej nocy na wyspie pani Pender dała mi herbaty rumiankowej, że-
bym lepiej spała. Wspomniałeś coś o opacie? Nie mów mi, że na tej wysepce oprócz
dwóch zamków był również klasztor.

Bennett skinął głową.

- Był, przed wiekami. Niewiele już zostało ze starego opactwa, tylko kawałek mu-
ru i ładne miejsce na piknik.

Dogonili Wyna i przystanęli w cieniu niedużego drzewa. Droga, którą szli, wspina-
ła się po zboczu i biegła niewysokim grzbietem. Caroline zobaczyła teraz płytką do-

linę z przyciągającym wzrok niedużym, podłużnym stawem, który zdawał się niemal łączyć dwa brzegi wyspy. Gdzieniegdzie uprawne ziemie dochodziły aż do samej wody. Na przeciwległym brzegu widać było lasek i łąkę upstrzoną białymi kwiatami. Na płyciźnie leniwie kołysało się na wietrze sitowie.

- Trudno uwierzyć, że na tej wysepce istnieje takie miejsce - szepnęła z zachwytem Caroline. - Zwłaszcza gdy widziało się tę jałową, skalistą część wokół zamków.

- Ten niewysoki grzbiet osłania zagłębienie przed silnymi wiatrami znad morza. - Bennett wskazał wzgórze po przeciwległej stronie stawu. - Pewnie właśnie dlatego zakonnicy wybrali to miejsce na opactwo. Zwrócili uwagę na korzystne ukształtowanie terenu i na to, jak bardzo zakątek ten jest odizolowany od gwaru i pokus obecnych na stałym lądzie.

- Tato... - Wyn pociągnął go za rękaw. - Jak się nazywa ten ptak? Ten brązowy z nakrapianą pierśią?

Bennett ujął syna za rękę i powoli podszedł, tak żeby nie wystraszyć ptaka, który przysiadł na szczycie niedalekiego kamiennego murku.

- Myślę, że to drozd.

Jakby dla potwierdzenia swojej tożsamości ptak otworzył dziób i rozpoczął pieśń, w której każda fraza powtarzała się po kilka razy. Wyn słuchał z otwartymi ustami.

Caroline i Bennett spędzili z synem urzekający dzień. Badali ruiny opactwa i zjedli drugie śniadanie w cieniu zarośniętej pnączami pozostałości muru. Później Wyn z Bennettem puszczali na stawie łódki robione z liści i gałązek, a Caroline spacerowała po cmentarzu, gdzie wiele rodzin z Tresco wciąż składało swoich bliskich na wieczny odpoczynek. W powietrzu unosił się zapach konwalii i dzikich róż, rosnących wokół nagrobków.

Słyszając w oddali śmiech Bennetta, Caroline zastanawiała się, jak bardzo jej mąż lubi tę wyspę zadziwiających kontrastów. Jałowe, mocno ufortyfikowane wybrzeże Tresco broniło dostępu do wnętrza wyspy - ogrodu, urzekającego pięknem i spokojem.

Pomyślała, że dopiero po kilku nieszczęśliwych latach udało jej się zajrzeć do serca męża, które też było pilnie strzeżone. Po wszystkim, co spotkało Bennetta, nie należało się dziwić, że niespieszno mu do oddania serca kobiecie, która musiała mu bardzo przypominać jego cudzołożną matkę.

Od tej pory bardzo się zmieniłam, oceniła Caroline z nowo nabytą pewnością siebie. Bennett także.

Nie dalej jak trzy tygodnie temu nie uwierzyłyby, że mogą z Bennettem tak bardzo się przed sobą otworzyć, tak wiele się od siebie nauczyć i zgodnie żyć dla dobra syna. A jednak tak się stało. Nie przyszło to łatwo, ale oboje uczciwie starali się okazywać sobie zrozumienie i szacunek. Czekali ich tu jeszcze bezcenny tydzień. Caroline miała nadzieję, że Bennett w końcu zaufa jej dostatecznie, by uwierzyć, że dochowała mu wierności.

Wtedy może dostaną szansę, aby stać się szczęśliwą rodziną, na jaką zasługuje ich syn.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Bennett nie pamiętał, czy kiedykolwiek w życiu zdarzyły mu się równie szczęśliwe trzy tygodnie. Po wielu wysiłkach cofnął się wspomnieniami aż do dzieciństwa, do czasów, gdy przyjeżdżał na Tresco z matką. W późniejszym życiu niekiedy doświadczał przyjemności, namiętności, nawet odnosił sukcesy. Nic jednak nie mogło się równać z ożywczym spokojem dni, które spędzał z rodziną.

Najdrobniejsze czynności takie jak spacer albo posiłek dawały wyjątkową radość, gdy zaczynał się bawić z Wynem albo udawało mu się wyczarować uśmiech na twarzy Caroline. Od nowa odkrył urok wyspy, którą na długo wykreślił ze swoich wspomnień. Na tę idyllę padał jednak cień. Jednym był czas, upływający stanowczo zbyt szybko. Gdy Bennett zaproponował, by zostali na wyspie cały miesiąc, wydawało mu się, że dni będą ciągnąć się bez końca. Tymczasem gnały jak szalone, a on z każdym dniem spędzonym z Caroline miał coraz mniej ochoty na wyjazd. Drugi problem stanowiła jego rosnąca świadomość, że problemy w ich małżeństwie są w dużo większym stopniu zawinione przez niego niż przez Caroline.

Spieszyło mu się do ślubu z całkiem niewłaściwych powodów. Gdy zauroczenie żoną osłabło, zaczął ją żałośnie zaniedbywać, a potem haniebnie wykorzystywać jako pretekst do usprawiedliwiania własnych błędów. Co gorsza, dawał jej odczuć, że zawiodła, chociaż prawda wyglądała całkiem odwrotnie. Nic dziwnego, że Caroline cisnęła mu obrączkę w twarz.

- Tato? - Natarczywy głos Wyna oderwał go od ponurych rozmyślań. - Czy mogliśmy dzisiaj popływać łódką?

Bennett podniósł wzrok znad śniadania. Kilka dni temu obiecał dziecku, że przedostaną się łodzią na którąś z sąsiednich wysepek. Wynajął więc łódź i powierzył Albertowi stanowisko wioślarza. Pozostało tylko czekać na odpowiednią pogodę.

- Może. - Bennett wyjrzał przez kuchenne okno. - Nie pada i wygląda na to, że wiatr nie jest zbyt silny. Jeśli morze jest spokojne, możemy spróbować.

Wyn wydał kilka radosnych okrzyków, a Caroline przyglądała mu się z ciepłym uśmiechem, który zdradzał stan rozmarzenia. Czy myślała o tym, jak szybko będą musieli się pożegnać, i zastanawiała się, kiedy zobaczą się znowu?

Gwałtownie wstał od stołu.

- Pójdę sprawdzić, jakie są fale, i przygotuję łódź, a wy zabierzcie kosz piknikowy.

Starał się, by zabrzmiało to entuzjastycznie, chociaż wcale nie czuł entuzjazmu. Musiał sobie powtarzać w duchu, że nie należy pozwolić, by żale z powodu przeszłości i niepokój o przyszłość psuły radość z chwili obecnej.

Caroline wyczuła, że coś jest nie tak. Jej uśmiech nieco zbladł.

- Damy sobie radę, Wyn, prawda? Na szczęście pani Jenkins upiekła mnóstwo kornwalijskich pasztecików.

Bennett poszedł w stronę nabrzeża w Old Grimsby. Gdy dotarł na miejsce, z zadowoleniem stwierdził, że fal prawie nie ma. Co więcej, właściciel wynajętej łodzi sam ją wyczyścił i przygotował.

Był w drodze powrotnej do domu, by powiedzieć żonie i synowi, że czas na wycieczkę, gdy zawołała go kobieta, nadchodząca drogą od strony Dolphin Town.

- Bardzo przepraszam, milordzie, ale przyszedł do milorda list.

List? Podziękował kobiecie, która powiedziała, że jest żoną właściciela gospody, i wziął od niej gruby pakiet. Najwidoczniej napisał do niego przyjaciel George Marlow, z którym Bennett podzielił się wiadomością o chorobie Wyna i swojej decyzji, by pozostać na wyspie do czasu, aż chłopiec w pełni odzyska siły.

Rzeczywiście, pismo na wierzchu i pieczęć potwierdziły, że autorem jest Marlow, parlamentarzysta i zagorzały przeciwnik niewolnictwa. Poczucie obowiązku kazało Bennettowi jeszcze przed rodzinną wycieczką przeczytać, co przyjaciel ma mu do zakomunikowania.

Ukradkiem wszedł przed frontowe drzwi do domu i szybko znikł w sypialni. Chciał uniknąć spotkania z synem, który nie byłby zadowolony ze zwłoki, nawet gdyby miała trwać zaledwie kilka minut. Na szczęście idąc po schodach, Bennett słyszał dochodzący z kuchni radosny szczebiot chłopca rozmawiającego z mamą i panią Jenkins.

Znalazłszy odosobnienie w sypialni, Bennett złamał pieczęć i szybko rozłożył list Marlowa. Gdy to zrobił, dwa mniejsze kawałki papieru upadły na podłogę. Chwilo-wo je zlekceważył i skoncentrował się na treści listu. W miarę czytania czuł, jak ogarnia go wściekłość i odzywa się w nim poczucie winy.

„Musisz natychmiast przyjechać” - pisał Marlow. „Niepokoje na północy umożliwiły rządowi przepchnięcie przez Izbę Gmin ustawy, która uznaje za nielegalne każde zgromadzenie z udziałem więcej niż pięćdziesięciu osób”.

Zamyślił się. Wiece, na których występowali jako mówcy Thomas Clarkson i William Wilberforce, od dawna były wypróbowanym sposobem zwolenników zniesienia niewolnictwa na zdobywanie szerokiego poparcia dla tej sprawy.

„Twój głos, twoje stanowisko i przywództwo są potrzebne w Izbie Lordów jak jeszcze nigdy” - ciągnął Marlow. - „Mam nadzieję, że Twój syn wydobrze już dostatecznie, abyś mógł przyjechać najszybciej, jak to możliwe. Co do milady, mam nadzieję, że nie posłużyła się żadnymi sztuczkami, by uniemożliwić ci wystąpienie przeciwko Astleyowi, który podczas twojej nieobecności stał się wyjątkowo bezczelny. Obawiam się, że skandal nie ucichnie, dopóki się takiej żony nie pozbędziesz. Załączam drobną próbkę tego, co krąży wśród ludzi, mam więc nadzieję, że zrozumiesz, jak ważne jest, abyś działał stanowczo i szybko”.

Bennett zmusił się do podniesienia z ziemi obu karteczek. Okazały się złośliwymi karykaturami, wyciętymi ze skandalizujących gazet. Jedna przedstawiała Bennetta z rogami jelenia, prowadzonego na smyczy przez Caroline, podczas gdy papuga, reprezentująca pana Wilberforce'a, wykrzykiwała coś o potrzebie odnowy moralności. Druga przedstawiała scenę, jaka rzekomo rozegrała się u Almacka, gdy Caroline została zdemaskowana w ramionach Astleya.

Patrząc na to, Bennett miał wrażenie, że jeszcze raz przeżywa ten przeklęty wieczór. Tym razem jednak czuł się nie tylko wściekły, upokorzony i zdradzony. Przede wszystkim ogarnęła go bezsilna rozpacz, jakiej doznał tylko raz w życiu, wtedy gdy dowiedział się, że opuściła go jego ukochana matka.

Coś widocznego na tym rysunku przykuło jego uwagę, choć nie mógł uświadomić

sobie, co to takiego. Przed oczami przesuwały mu się strzępki wspomnień. Astley pochylający się nad nim, bijący go pięściami i ciskający ohydne oskarżenia. Astley śmiejący się pogardliwie po upadku kolejnego projektu ustawy o zniesieniu niewolnictwa. Astley obejmujący Caroline i wyciskający na jej ustach pocałunek akurat w chwili, gdy została odsunięta ta przeklęta zasłona.

W najbardziej kompromitującym momencie! Czy mógł to być zbieg okoliczności? A może cały skandal u Almacka został wyreżyserowany przez Astleya, aby zniszczyć małżeństwo i reputację przeciwnika?

Bennett uświadomił sobie, że jeśli właśnie tak było, to wpadł w pułapkę jak ślepy głupiec.

Gdyby zareagował inaczej – zażądał, żeby Astley puścił jego żonę, wyzwiał łobuza na pojedynek i bronił honoru Caroline – sprawy potoczyłyby się całkiem inaczej. Ponieważ jednak ich małżeństwo było w stanie rozpadu, a on zobaczył swoją żonę w ramionach jedyne go człowieka, którego polecił jej unikać, zbyt łatwo uwierzył, że Caroline powtarza grzechy jego matki.

Wydawało mu się niemożliwe, żeby to wszystko było fikcją... a może jednak? Gdyby Caroline była mu wierna, z pewnością powtarzałyby to przy każdej możliwej okazji. Chyba że...

Dał jej przecież jasno do zrozumienia, że go nie przekona o swojej niewinności. Może przestraszyła się, że jeśli zbyt gorliwie będzie go nagabywać, on natychmiast opuści wyspę i zabierze ze sobą Wyna?

– Bennett, jesteś tam? – Caroline zapukała do drzwi sypialni męża, chociaż nie spodziewała się odpowiedzi. – Wyn bardzo się niecierpliwi. Jeśli wkrótce nie wyruszymy, nie wiem, czy nie popłynie wpław.

Nie było odpowiedzi na pukanie, ale gdy wracała schodami na dół, zdawało jej się, że usłyszała cichy głos zza drzwi sypialni. Czyżby dostał ataku apopleksji?

Zanim zdążyła sobie uświadomić, jak niedorzeczna jest to obawa, uległa dzikiej panice. Wpadła do pokoju, spodziewając się zobaczyć go leżącego na łóżku bez czucia. Jednak gdy przekonała się, że sypialnia jest pusta, a głos męża dochodzi z dworu, bezsilnie opadła na jego łóżko. Serce jej waliło, a żołądek podchodził do gardła.

Co ją nagle naszło? Przez cały ten czas, gdy znała Bennetta, nawet wtedy gdy wydawało jej się, że jest w nim do szaleństwa zakochana, nigdy nie doznała tak obezwładniającego lęku. Teraz przeżyła tak olbrzymią ulgę, że prawie nie zwróciła uwagi na szelest gnieczonego przez nią papieru.

Jej wzrok padł na gazetowe wycinki. W pierwszej chwili nie chciała przyjąć do wiadomości tego, co widzi. To była sala karciana u Almacka oglądana z perspektywy uczestników tamtego strasznego wieczoru. Nic dziwnego, że wszyscy uwierzyli w to, o co oskarżył ją Astley... wszyscy, nie wyłączając jej męża. Wstyd, jakiego wtedy doznała, był jednak niczym w porównaniu z chłodem, które przeszył ją teraz.

Nie mogła się powstrzymać i przeczytała towarzyszący rysunkom list. Chociaż wiedziała, że postępuje niewłaściwie, zaglądając do prywatnej korespondencji Bennetta, to w zestawieniu ze złem, jakie wyrządziła mu wcześniej, nie miało to większego znaczenia. Te i inne ohydne karykatury krążyły już od wielu tygodni, wywołując pogardę i współczucie dla jej dumnego męża. Jednak gdy przeczytała list Geor-

ge'a Marlowa, wzywający Bennetta z powrotem do Londynu, zrozumiała, że mąż nie może odmówić, bez względu na to, jak wielkie publiczne upokorzenie czeka go po powrocie.

- Mamo, gdzie jesteś? - rozległ się błagalny głos Wyna, którego nie mogła zlekceważyć, chociaż wolałaby schować się przed światem. - Znalazłem tatę! Czas na łódkę.

Caroline nawet nie wiedziała, że ma tak silną wolę. Bez jej pomocy nie opanowałyby drżących nóg, nie zmusiłaby się do postawienia kolejnych kroków. Przez cały czas starała się zapanować nad głębokim rozczarowaniem, że odebrano jej ostatni tydzień na naprawienie małżeństwa.

Jakie to jednak miało znaczenie? - odezwał się wewnętrzny głos. Ostatnie tygodnie na Tresco były jak sen. Te ohydne karykatury zmusiły ją do uświadomienia sobie ogromu swojej nierozwagi. Nie była w stanie niczego naprawić i nie mogła oczekiwać przebaczenia od Bennetta.

- O, jest mama. - Na widok Caroline wychodzącej z domu Bennett uścisnął dłoń syna. - Widzisz, jednak nie bawiliśmy się w chowanego.

Ponieważ wydawało się prawdopodobne, że to ich ostatnia wspólna wycieczka, Bennett był zdecydowany nie burzyć obrazu zjednoczonej, szczęśliwej rodziny, mimo że gryzły go poważne wątpliwości. Wiedział, że może też liczyć na Caroline, która zrobiłaby wszystko dla dobra Wyna.

Dziecko się skrzywiło.

- Żartujesz, tato, prawda?

- Ależ nie! - krzyknęła Caroline z udaną trwogą, zanim Bennett zdążył zareagować. - Twój tata zawsze jest poważny. Nie znosi żartów.

Było to bliskie prawdy... przynajmniej do niedawna. Teraz Bennett uważał, że może znieść jakiś żart swoim kosztem, pod warunkiem że czarujące oczy Caroline rozświecą się wtedy radością.

- Nie jestem już taki delikatny jak kiedyś, gdy pewna impertynencka młoda dama uczyniła mnie tematem swoich dowcipów.

Wyn spojrzał na Caroline.

- Czy on ma na myśli ciebie, mamo?

Smutno skinęła głową.

- Nie mogłam sobie tego odmówić. Był o wiele zbyt surowy jak na młodego i przystojnego człowieka. Musiałam coś zrobić, żeby się uśmiechnął.

Wspomnienia dawnych dni kłębiły się Bennettowi w głowie, gdy we troje szli na nabrzeże. Biegało za nim tyle głupich debiutantek, że zaskakujące połączenie bezczelnych żartów i oszałamiającej urody, jakie oferowała Caroline Beresford, wydało mu się nie do odrzucenia. Zbyt późno uświadomił sobie, że to za mało, by trwale spoić małżeństwo. Gdyby tylko potrafił przewidzieć, jak wiele niespodzianek czeka go jeszcze ze strony Caroline, mógłby oszczędzić im wszystkim niemałej biedy.

- Czy wiesz, co mama kiedyś powiedziała, kiedy twój dziadek nie mógł znaleźć pogrzebca, żeby podsyć ogień? - Bennett podwyższył głos, by udać Caroline: - Przypuszczam, że lord Sterling wcisnął go sobie, kiedy na nim usiadł, bo teraz siedzi idealnie wyprostowany.

Wyn zaśmiał się, jakby nigdy w życiu nie słyszał nic równie zabawnego.

- Muszę powiedzieć to Albertowi.

Zanim zdążyli go zatrzymać, pobiegł szukać lokaja.

- Byłam istotą bez serca, że cię tak dręczyłam, prawda?

Bennett wyczuwał, że żarty Caroline maskują jej wyrzuty sumienia, i to znacznie większe, niżby mogły dotyczyć one jakiegoś dowcipu sprzed lat.

- Muszę wyznać - ciągnęła - że kiedy ojciec zaprosił cię pierwszy raz do naszego domu po wyśpiewaniu peanu na twoją cześć, byłam odrobinę zazdrosna. Wydawało się, że jesteś synem, za którym zawsze tęsknił.

Zabrzmiało to bardzo prawdziwie, zwłaszcza w świetle tego, co Caroline mówiła mu o trudnych stosunkach z ojcem. Bennett żałował, że nie rozumiał tego w tamtym okresie.

- Byliśmy całkiem podobni, twój ojciec i ja. Może nawet pod pewnymi względami za bardzo. Dzisiaj wydaje mi się, że on wziął mnie pod swoje skrzydła między innymi dlatego, że zobaczył we mnie odpowiedniego kandydata na twojego męża.

Caroline żałośnie westchnęła.

- To zaś pokazuje, że ojciec wcale nie był taki mądry, jak uważano.

Bennett musiał uważać, by się nie wzdrygnąć. Wyndham Beresford popełnił wielką omyłkę. Caroline potrzebowała mężczyzny, który potrafiłby ją docenić, zrozumieć i adorować. Takiego, który umiałby zajrzeć pod maskę prowokujących przytyków i dostrzec pannę tęskniącą za miłością i akceptacją, a także miał dość rozsądku, by w potrzebie uwierzyć słowu żony, a nie swojego najgorszego wroga.

Tymczasem dotarli na nabrzeże, przy którym czekała na nich kołysząca się na wodzie niewielka łódź wiosłowa. Albert, który był już w środku, zręcznie posadził w niej Wyna.

Bennett pomógł wsiąść Caroline, a przy okazji cieszył się przez chwilę ciepłem jej dłoni. Gdy przyglądał się, jak żona sadowi się na dziobie i bierze syna na kolana, uderzyło go, jak bardzo dojrzała podczas ich krótkiego pobytu na wyspie. Czy dlatego że ostatnie zdarzenia stanowiły poważny test charakteru? A może zawsze miała w sobie te cechy, tylko trzeba było jej pomóc je rozwinąć? Nie umiał rozsądzić.

Odwiązał łódź, sam wskoczył do środka i zajął miejsce obok Alberta. Obaj chwycili za wiosła i zaczęli ciągnąć.

- Wiele lat już minęło, odkąd ostatnio wiosłowałem, milordzie - powiedział Albert, którego twarz wyraźnie poczerwieniała z wysiłku.

- Ja podobnie - przyznał Bennett, przypominając sobie bąble na dłoniach w dniu, gdy pływali z Caroline po Tamizie. - Na szczęście nie wybieramy się daleko, a morze jest spokojniejsze niż zwykle.

Wyn wskazał ręką najbliższy skrawek lądu.

- Dlaczego to miejsce nazywa się Little Cheese Rock, tato?

- Nie mam pojęcia. - Bennett był lekko zdyszany z wysiłku. - Większość wysepek niedaleko brzegu ma w nazwie „ledge”. Jest Diamond Ledge, Paper Ledge i Tree Ledge.

- Czy na Diamond Ledge są diamenty?

Bennett się roześmiał.

- Mieszkańcy Tresco na pewno chcieliby, żeby tak było.

Nad ich głowami mewy zataczały kręgi na tle błękitnego nieba, urozmaicając krzykami rytmiczny plusk fal rozbijających się o brzeg.

Gdy dopłynęli na miejsce, Wyn biegał po skałach dumny, że potrafi tak szybko okrążyć całą wysepkę. Znalazł ciekawą muszlę i resztki skorupki jaja, które musiał tu wysiadywać jakiś morski ptak. Potraktował te znaleziska jak niezwykle cenne skarby.

Potem popłynęli jeszcze na dwie inne niezamieszkane wysepki, leżące niedaleko wschodniego brzegu Tresco.

Wyn błagał, żeby odwiedzić jeszcze jedną, ale Bennett pokręcił głową.

- Musimy wracać, wzmaga się wiatr.

Caroline próbowała odwrócić uwagę syna.

- Czy mogę zobaczyć twoje muszle, kochanie?

Tymczasem Bennett i Albert energicznie wiosłowali i wkrótce dobili do brzegu. Albert wyskoczył na pomost i przywiązał łódź, a tymczasem Bennett postawił Wyna obok służącego. Caroline zrobiła krok ku mężowi, ale właśnie w tej chwili fala nagle zachwiała łodzią. Bennett z trudem zachował równowagę.

Caroline pewnie też utrzymałaby się na nogach, gdyby nie parasolka od słońca, która złapała silny podmuch. Z wielkim pluskiem Caroline wpadła do wody. Groźba, że żonie stanie się krzywda, wzbudziła u Bennetta śmiertelne przerażenie.

- Mamo! - krzyknął Wyn.

- Nie bój się, synu. - Bennett zrzucił okrycie. - Wyciągnę ją. Albercie, uważaj na chłopca! - zawołał do lokaja i wskoczył do wody.

Zimno było porażające. Jego ciało, rozgrzane wiosłowaniem, gwałtownie zaprote-stowało.

Gdy wypłynął na powierzchnię, przeżył moment ulgi, widząc wystającą głowę żony. Mokre kosmyki kleiły się Caroline do twarzy niczym wodorosty. Na zmianę otwierała i zamykała usta, usiłując zaczerpnąć powietrza. Wielkie, zielonkawonie-bieskie oczy wypełniał strach. Rozpaczliwym wymachiwaniem ramion Caroline starała się utrzymać na powierzchni.

Jednym mocnym odbiciem nóg Bennett podpłynął do żony. Chwycił ją za rękę i próbował przyciągnąć do siebie. Wydawała się nie rozumieć, że to próba pomocy. Zdjęta paniką, zaczęła z nim walczyć, szarpiąc się i kopiąc z zaskakującą siłą. Bennett zorientował się, że Caroline, w walce o pozostanie na powierzchni, wpycha jego głowę pod wodę.

Chociaż w płucach miał ogień, a chłód wody go paraliżował, wiedział, że musi ratować żonę. O siebie mógł się zatroszczyć potem. Zamiast więc wypłynąć, jak podpowiadał mu instynkt, zaczął zanurzać się głębiej.

Jest! Udało mu się dotknąć stopami dna.

Zebrał wątlejące siły, chwycił Caroline za nogi i najmocniej, jak potrafił, pchnął ku powierzchni wody. Potem, gdy zewsząd zamykała się nad nim ciemność, odbił się i skierował ku resztkę światła.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W chwili, gdy Caroline poczuła, jak wsysa ją w głąb zimna, ciemna woda, jakiś dziwny potwór próbował pojąć jej ciało. Udało jej się wysunąć głowę nad powierzchnię i próbowała zaczerpnąć powietrza, ale płuca nie chciały go przyjąć. Wiła się i rzucała owładnięta paniczną myślą, że musi pokonać tę bezlitosną siłę, która ciągnie ją na dno.

Coś chwyciło ją za ramię i starało się je unieruchomić. Nie mogła na to pozwolić. Gdy przestanie walczyć, z pewnością utonie! Instykt podpowiedział jej, że przeciwnik, który próbuje ją trzymać, może dać jej podparcie. Zamiast go odpychać, próbowała więc się go uczepić. Przez jedną straszną chwilę czuła, że coś znowu chce ją wciągnąć pod wodę. Zdwoiła rozpaczliwe wysiłki i wreszcie zdobyła przewagę – przeciwnik opadł na dno.

Nagle jednak chwycił ją mocno za nogi. Opierała się, ale została gwałtownie wypchnięta do góry. Znalazła się nad powierzchnią wody. Przez chwilę miała nawet wrażenie, że leci, zaraz jednak upadła na coś twardego. Z ust trysnął jej strumień wody. Wstrząsana dreszczami konwulsyjnie chwytła powietrze. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że znalazła się połową ciała w łodzi, przewieszona przez burzę. Nie miała pojęcia, skąd się tam wzięła.

– Mamo, nic ci się nie stało? – Jak przez mgłę dotarł do niej piskliwy głos Wyna. – Gdzie tata?

Bennett! To on musiał być tym przeciwnikiem, z którym walczyła i którego wciągnęła pod wodę w rozpaczliwej próbie ratowania się.

– Czy milady może się poruszyć? – zawołał do niej z pomostu Albert. – Proszę spróbować wspiąć się do łodzi.

Chociaż wydawało jej się, że nogi ma w tej chwili całkiem bezwładne i bezużyteczne, zdołała jakoś trochę się przesunąć i zwalić na podłogę łodzi.

– Mój mąż...?

Wiedziała, że nigdy sobie nie wybaczy, jeśli Bennett utonął, niosąc jej ocalenie, chociaż wyrzuciła mu tak straszną krzywdę.

– Trzyma się belki podtrzymującej pomost, milady – odpowiedział lokaj. – Zaraz mu pomogę wydostać się z wody.

Caroline bezsilnie skinęła głową. Poczowała wielką ulgę.

Wyn wciąż do niej wołał głosem pełnym przerażenia. Z wysiłkiem uniosła rękę, by do niego pomachać.

– Daj mi chwilę odpocząć, kochanie. Zaraz do ciebie przyjdę.

Zanim zebrała tyle energii, by w ogóle spróbować, Albert zdążył wyciągnąć Bennetta z wody. Chwilę później obaj mężczyźni ujęli ją za ramiona i przenieśli z łodzi na pomost. Deski pod jej stopami wydawały się tak cudownie stabilne, że najchętniej by je ucałowała. Bała się jednak, że jeśli się schyli, już nigdy się nie podniesie.

Gdy tylko stanęła na nogach, Albert się odsunął, ale Bennett wciąż otaczał ją ramieniem. Miała wrażenie, że daje jej nie gorsze oparcie niż deski pomostu.

Twardy człowiek, pomyślała, choć nigdy wcześniej tej jego cechy nie doceniała.

Nie ufając swoim miękkim kolanom, przywarła do niego.

- Bardzo przepraszam... Wciągnęłam cię pod wodę, kiedy próbowałeś mi pomóc.

Nie wiedziałam, co robię.

- Nie myśl o tym teraz.

Bennett sprawiał takie wrażenie, jakby cieszył się każdym zaczerpniętym oddechem.

- Mama, tata! - Wyn stał w pewnym oddaleniu. - Po co wskoczyliście do wody?

Przestraszyłem się.

- Już wszystko dobrze, synu. - Bennett próbował dodać mu otuchy. - Muszę jednak przyznać, że woda nie jest jeszcze wystarczająco ciepła na kąpiele. Bardzo jesteś grzeczny, że zostałeś na brzegu z Albertem.

Wziął od lokaja swoje suche okrycie i otulił nim Caroline. Przypomniawszy jej się wieczór u Almacka. Wtedy Bennett otoczył ją opieką, chociaż naraziła go na największe upokorzenie, jakie może spotkać żonatego mężczyznę. Nawet w takich sytuacjach nie zapominał o innych.

- Możesz iść? - spytał. - Musimy wrócić do domu i jak najszybciej zmienić mokre ubrania. Najchętniej zaniósłbym cię jak przystało na mężczyznę, ale nie jestem pewien, czy w tej chwili dałbym radę.

- Nie ma potrzeby. Jest blisko, chyba dojdę... Tak mi się zdaje.

- To dobrze. Idąc, trochę się rozgrzejesz.

Wspierając się wzajemnie, powlekli się do domu za Albertem i Wynem.

- Milordzie! Milady! - zawołała Parker na ich widok. - Co się państwu stało?

- A jak myślisz? - burknął Albert, zanim któreś z nich zdołało odpowiedzieć. - Milady wpadła do wody, a jego lordowska mość ją wyłowił. Oboje mogli przy tym utonąć.

- Mogłaś utonąć, mamo? - spytał z niepokojem Wyn.

- Chyba tak - przyznała, wyczuwając, że wymijająca odpowiedź syna nie zadowoli.

- Dzięki twojemu dzielnemu tacie nic złego się nie stało.

- Jesteś bohaterem, tato! - Dziecko spojrzało na Bennetta tak, jakby był nagle przywróconym do życia rycerzem króla Artura.

- To prawda - potwierdziła Caroline, zanim Bennett zdążył jak zawsze skwitować pochwałę wzruszeniem ramion. - Uważa tak wielu ludzi, nie tylko my.

Ci ludzie nawet nie znali jego nazwiska, a i on ich nie znał. Mimo to starał się ze wszystkich sił uwolnić ich od śmierci za życia, jaką była niewola. Nigdy w pełni nie miała zrozumienia dla tej sprawy, która jej ojcu zajmowała tyle czasu i uwagi. Po ślubie z Bennettem nic się pod tym względem nie zmieniło. Dopiero teraz szczerze pożałowała swojego bezmyślnego wybryku, który mógł wiele kosztować uciśnionych.

Jej wzmianka o ruchu na rzecz zniesienia niewolnictwa zaskoczyła Bennetta.

- Czas spoczywania na laurach przyjdzie później. Teraz musimy się przebrać, żeby się nie pochorować. Parker, zajmij się łaskawie paniczem Wynem i dopilnuj, żeby dostał kolację.

- A co z milady? Powinnam jej służyć.

- Dam sobie radę, Parker, dziękuję - powiedziała Caroline, udając silną i sprawną,

choć wcale się tak nie czuła. Przejście do domu po mimowolnej kąpieli bardzo ją wyczerpało. – Będę spokojniejsza, wiedząc, że Wyn ma opiekę. Bardzo się przestraszył. Postaraj się jak najlepiej zająć jego uwagę, a ja tymczasem włożę coś suchego.

Te słowa chyba przypomniały służącej, że są ważniejsze sprawy na świecie niż jej zazdrośnie strzeżona posada.

– Dobrze, milady. Chodźmy, paniczu. Sprawdźmy, co pani Jenkins przygotowała na kolację. Słyszałam, że chciała zrobić do puddingu *crème brûlée*, który panicz tak lubi.

– Mam nadzieję, że zrobiła! – Wyn pobiegł do kuchni. – Chcesz zobaczyć muszle, które znalazłem na Little Cheese Island?

Gdy tylko syn znikł z pola widzenia, Bennett delikatnie szturchnął Caroline.

– Jemu nic nie będzie, czego nie mogę powiedzieć o nas, jeśli dłużej zostaniemy w tych przemokniętych ubraniach.

Czerpiąc od niego siłę, Caroline postawiła stopę na pierwszym stopniu schodów, a potem na następnym. Straciła na to tyle sił, że gdy wreszcie znaleźli się w jej sypialni, ledwie mogła ustać na nogach.

Bezwładnie opadła na kufer, który stał przy łóżku.

– Odpocznę tu chwilę i zaraz się przebiorę.

– Jesteś pewna?

Bennett wydawał się myśleć z niechęcią o tym, że będzie musiał ją opuścić. A może tak jej się tylko wydawało?

Nie ufając już swojemu głosowi, odesłała go ruchem ręki, chociaż zamiast ramion miała galaretę.

– Dobrze więc – powiedział, spojrzał jeszcze na nią z wielką troską i odszedł.

Gdy znikł, Caroline próbowała się zmobilizować, by zdjąć z siebie mokre rzeczy, ale niewiele jej z tego wychodziło. Powtarzała sobie, że potrzebuje jeszcze minutę odpoczynku. Minęła jednak minuta, potem kilka następnych, a ona wciąż siedziała w kałuży rosnącej u jej stóp przy niemiłym odgłosie miarowego kapania.

– Caroline – zawołał Bennett. – Jak ci idzie? Jesteś gotowa, by zejść na kolację?

Zawahała się i spróbowała zebrać myśli. Zanim jednak zdążyła się odezwać, Bennett pchnął drzwi do jej pokoju.

– Wielki Boże, Caro, aleś mnie przestraszyła. Myślałem, że zemdlałaś. Wiedziałem, że nie powinienem cię zostawiać samej po takim wstrząsie.

– Nic mi nie będzie – zaprotestowała. – Potrzebuję jeszcze chwili na odzyskanie siły.

– Pewnie, że nic ci nie będzie – powiedział Bennett spokojnym, krzepiącym tonem, ukląkł przed nią i zaczął rozwiązywać tasiemki jej pantofelków. – Sądzę jednak, że na odzyskanie siły potrzebujesz więcej niż kilku chwil. Niech tylko zdejmę z ciebie to mokre ubranie, zaraz poślę po panią Hicks, żeby cię obejrzała... Tak na wszelki wypadek.

Caroline chciała zaprotestować, powiedzieć, że nie jest chora, tylko przemoczona i bardzo zmęczona. Nie była jednak w stanie oprzeć się jego zręcznym i z troską sprawowanym zabiegom. Nigdy dotąd Bennett nie dotykał jej w taki sposób, a jej ciało nie odpowiadało tak bezwarunkowym poddaniem. Nie dość, że szybko rozlało się po całym jej wnętrzu jakże miłe ciepło, to jeszcze dotarło ono aż do serca.

Zdjął i odłożył na bok jej zniszczone pantofelki. Żałowała, że Bennett nie może zająć się jej podwiązkami, ale podczas szamotaniny w wodzie morze rozwiązało je za niego. Pończochy miała opuszczone do kolan, więc wystarczyły dwa delikatne pociągnięcia Bennetta, żeby zsunęły jej się z nóg.

Przez cały czas Bennett prowadził uprzejmą konwersację na temat ich wycieczki na przybrzeżne wyspy. Jeśli jednak zamierzał odwrócić jej uwagę od tego, że zdejmuje z niej ubranie, to intryga nie powiodła się w najmniejszym stopniu. Choć Caroline mu przytakiwała i udzielała zdawkowych odpowiedzi, tak jakby brała udział w rozmowie, to słowa wpadały jej jednym uchem i wylatywały drugim. Za to dźwięczna, ciepła melodia jego głosu była cudownym akompaniamentem dla wolnego, poruszającego tańca męskich dłoni na jej ciele. Zatrzymała wzrok na twarzy Bennetta i w skupieniu chłonęła znajome rysy.

- Teraz to - powiedział i zdjął z niej swój frak.

Żal jej było zegnać się z lekkim, lecz ciepłym okryciem, które w dodatku nosiło ślady jego zapachu.

- Nie podziękowałam ci - szepnęła, gdy stanął za nią i zaczął rozpinać jej suknię. - Uratowałeś mi życie.

- Nie mogłem pozwolić, żebyś utonęła.

Z kilkoma ostatnimi guzikami jego palce miały największe problemy. Tymczasem Caroline złapała się na kolejnej niepokojącej myśli.

- Czy w ogóle kiedykolwiek za cokolwiek ci podziękowałam?

W odpowiedzi bąknął coś o tym, że nie było potrzeby. Wsunął jej ramię pod pachę i uniósł ją na tyle, by móc podedrzeć jej spódnicę aż do talii. Potem pozwolił jej z powrotem usiąść

- Bóg raczy wiedzieć, co by się ze mną stało, gdybyś mnie nie poślubił - brnęła dalej. - Pewnie żyłabym, ledwie wiążąc koniec z końcem. Jeszcze bardziej prawdopodobne, że zostałabym kochanką jakiegoś bogatego starucha.

Nigdy w pełni nie doceniła tego, co dla niej zrobił, nigdy nie zastanawiała się nad tym, jakiego życia Bennett jej oszczędził. Cały czas myślała tylko o tym, by dostać więcej, niż mógł jej dać, wciąż czuła się urażona i użalała się nad sobą.

- Wątpię, czy miałabyś kłopot ze znalezieniem innego męża, gdybym tak nie nalegał, byś mnie poślubiła. - Zsunął na ramiona krótkie rękawy jej sukni, poluzował stanik i całość ściągnął przez głowę. - Pewnie nie byłby tak dobrze sytuowany, ale może miałby inne zalety i był w stanie lepiej niż ja zaspokoić twoje potrzeby.

Została na niej już tylko cienka koszulka. Delikatne irlandzkie płótno i tak niczego nie zasłaniało. Przemoczone i właściwie niewidoczne oblepiało jej piersi i resztę ciała. Bardzo wyraźnie było widać sterczące różowawe sutki, stwardniałe od chłodu wody i powietrza i żaru podniecenia, które ogarnęło Caroline.

Gdy Bennett sięgnął, by rozwiązać tasiemkę utrzymującą koszulkę na miejscu, drżały mu ręce. Kokardka stawiała opór, nagle jednak puściła i dłoń Bennetta zsunęła się na pierś żony.

Caroline drgnęła i zarzuciła Bennettowi ręce na szyję. Chwilę potem pociągnęła go ku sobie, rozchyliła wargi i zaraz je zacisnęła, tak samo jak wtedy, gdy wpadła do morza i usiłowała zaczerpnąć tchu.

Teraz tonęła w morzu pożądania. Potrzebowała jego pocałunku jak powietrza.

Miała nadzieję, że Bennett jeszcze raz przyjdzie jej z pomocą.

Mając pod palcami pełną kobiecą pierś, wabiony energią przyciągających go ramion Bennett nie był w stanie się oprzeć zachętom żony. Równie dobrze mógłby próbować walczyć z prądem oceanu. Głos rozsądku próbował go ostrzec przed niebezpieczeństwem, ale krew, dudniąca w uszach niczym fale przyboju, czyniła go głuchym na wszystko oprócz syreniego śpiewu pożądania.

Co tam rozsądek! – powiedział sobie w duchu i rzucił się w gorącą, miękką głębinę pocałunku Caroline. W jej ustach odkrył ślady zapachu słonej wody i z wielką energią zaczął je usuwać mocnymi ruchami języka. Cieszył się delikatną fakturą ciała, zamknąwszy w dłoni jej pierś.

Wydała urocze westchnienie, którym z nieukrywaną przyjemnością zaprosiła go, by ciągnął tę pieśczętę. Tego nie trzeba mu było dwa razy powtarzać. Obiema dłońmi afirmował doskonałość kobiecych kształtów. Gdy kciukami trącał stwardniałe sutki, znów marzył o wypełnieniu ust ich niepowtarzalnym aromatem. Ciało Caroline wydawało mu się mile znajome, lecz z drugiej strony urzekająco nowe. Nigdy nie pragnął jej bardziej niż właśnie w tej chwili, gdy leżała przed nim mokra i potargana.

Zdawała mu się dorównywać siłą pragnienia. Spijała smak ich pocałunków, jakby były boskim nektarem. W pewnej chwili rozplotła ramiona, by pogłaskać go po mokrych jeszcze włosach. Intymność tego gestu była dla Bennetta nawet bardziej pobudzająca niż głos pożądania.

Z siłą fali odpływu, porywającej na szerokie morze, przyszła do niego świadomość, że pragnie czegoś więcej niż tylko ciała Caroline. Tak, pragnął również jej serca.

Z wysiłkiem przyzywając ostatki samokontroli, obdarzył jej piersi pożegnalną pieśczęcią i cofnął usta.

– Powinnaś leżeć w łóżku i... – zawiesił głos – ...i odpoczywać.

Przypomniał sobie, że przed chwilą Caroline omal nie utonęła, a on próbuje samolubnie wykorzystać jej słabość, by zaspokoić żądzę.

Tymczasem wcale nie miała zamiaru go puścić.

– Połóż mnie do łóżka – szepnęła, muskając palcami jego twarz. – Bardziej potrzebuję ciebie niż odpoczynku. Ogrzej mnie i przywróć do życia.

Zrozumiał jej intencję. On także chciał poczuć przyspieszone bicie serca i wrażliwość zmysłów. Marzył o tym od dawna i teraz wreszcie znowu się do niej zbliżył, nieskrępowanie i całkowicie.

Upajał się widokiem jej delikatnych, kształtnych rysów; uniósł dłoń, by dotknąć wierzchem dłoni jej policzka.

– Jestem twój.

Naraz wróciły mu siły. Podniósł nagą żonę, zrobił z nią kilka kroków i ułożył w pościeli. Następnie zdjął z siebie ubranie.

Od razu spostrzegła, że jest gotowy. Wyciągnęła ku niemu ramiona i uśmiechnęła się szelmowsko.

– Widzę, że pragniesz mnie nie mniej niż ja ciebie.

Frywolny żarcik rozładował chwilę niezręczności i jeszcze pogłębił intymność chwili. Przyjął zaproszenie wyciągniętych ramion i ukląkł nad nią na łożu.

Caroline pociągnęła go ku sobie i z zapamiętaniem zaczęła się o niego ocierać. To był dla niego trudny test wytrzymałości. Odszukał jej usta i złączył się z nią w gorącym, namiętym pocałunku. Caroline odwzajemniała pieśczoty bez najmniejszych zahamowań. Rozpalała jego żądzę, jednocześnie nieuchronnie przybliżała go do nieuniknionego końca. Wykazywała w tym tak prowokującą śmiałość, jakiej nie pamiętał z początków ich małżeństwa.

Wszystko wydawało im się nowe, odmienne od tego, czego wspólnie doznali wcześniej. Zmieniła się zwłaszcza natura jego pożądania. Nie chodziło mu już wyłącznie o zaspokojenie głodu, który Caroline podsyciała. Teraz bardzo chciał pieśzczotami wznieść ją na wyżyny rozkoszy, aż do cudownego, porażającego olśnienia, chciał czuć pod sobą węzowe ruchy jej ciała. Chciał, by stali się jednością, choćby tylko przez chwilę.

Wyraził to pocałunkiem, gorącym i głębokim. Zmieniającym się co chwila dotykem Bennett opowiadał jej o swoim zachwycie i uznaniu, które tak bardzo były jej potrzebne. Zachwycały go nie tylko pełne, krągłe piersi, jędrne pośladki i miękkie, aksamitne uda, lecz również ostry dowcip, ciepło i siła spokoju. Miała tak wiele cech, które zdołał docenić dopiero ostatnio.

Powoli przesunął usta w dół, obsypując pocałunkami jej długą szyję i zgrabne ramiona.

Mimo palącego bólu w lędźwiach, który kazał szukać jak najszybszego spełnienia, Bennett trwał przy pieśzczotach piersi, zdecydowany sycić się ich widokiem, zapachem, dotykiem i smakiem. Słuchem chciwie łowił każdą najmniejszą oznakę rozkoszy, która wyrывała się z jej ust. Każdym westchnieniem, szeptem, każdym gwałtownym wdechem karmił swoją żądzę, a im była większa, tym bardziej się upewniał, że daje Caroline rozkosz.

Lekko rozchyliła uda i otworzyła się przed nim. Ruchem bioder przyzywała Bennetta. Było dla niego jasne, że nie może opierać się temu wezwaniu w nieskończoność.

Jego język podążał już dalej, właśnie napawał się słonawym aromatem skóry na jej brzuchu. Ręka tymczasem spoczęła na jej kolanie i zaczęła powolną wspinaczkę po gładkim udzie. Wyżej i wyżej, palce zmieniały rytm, to ledwie je muskając, to chwytając zaborczo. Gdy zagłębił je w Caroline, raptownie syknęła, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Bennett pomyślał, że nigdy nie cieszył wzroku niczym wspanialszym.

Z wielką ostrożnością, krok za krokiem, podążał wąską ścieżką wiodącą na szczyty pożądania. Gdy w końcu wyczuł, że napięcie Caroline musi wnet doprowadzić do wybuchu, co potwierdzał jej głośny, urywany oddech, sam był już na granicy.

Uniósł się nad nią i w nią wniknął, całując jednocześnie. W szalonym rytmie pchnięć pędzili razem ku szczytowi, jakiego jeszcze nigdy wspólnie nie zdobyli.

Ruch bioder Caroline nagle przełamał rytm, zakłócił go spazm, który wstrząsnął całym jej ciałem i wyzwolił odpowiedź Bennetta. On też pozwolił się unieść ekstazie, której siła sprawiła, że w tej chwili zapomniał o całym otaczającym ich świecie.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Leżała w ramionach Bennetta, jej puls i oddech stopniowo się uspokajały. Czuła się tak, jakby rozsypała się na drobniutkie kawałeczki i za sprawą czarów została połączona z powrotem w całość. W początkowym okresie małżeństwa, gdy była bez nadziejnie zadurzona w swoim przystojnym, tajemniczym mężu, mieli wiele namiętych epizodów. Żaden jednak nie był równie porywający.

Czy dlatego że otarli się o śmierć? A może dlatego, że miał to być ich ostatni raz? A może uczucia, którymi do niego na nowo zapalała, uwolniły jej serce od tępego uporu?

Kiedyś zdawało jej się, że go kocha, teraz jednak rozumiała, że Bennett słusznie zarzucił jej, że nie wie, czym jest miłość. Wracając myślą do tamtych dni, pojmowała, że tamten płytki, samolubny kaprys do miłości nawet się nie zbliżył. I człowiek, którego obdarzyła uczuciem, nie był prawdziwym Bennettem, lecz postacią, którą sama wymyśliła, poddając się sentymentalnym wyobrażeniom.

Gdy później odkryła, że jej mąż mało przypomina ów ideał, poczuła się zdradzona i oszukana. Nie chciała spojrzeć prawdzie w oczy i uznać, że w rzeczywistości oszukała się sama, co więcej świadomie. Mimo wszystko nie mogła zostawić tego problemu odłogiem. Musiała zwrócić na siebie jego uwagę. Prowokowała męża coraz to bardziej niefrasobliwymi zachowaniami, którymi w końcu omal nie zniszczyła wszystkiego, co – jak twierdziła – było dla niej ważne.

Jednak z jej lekkomyślności i nieszczęścia zrodziło się coś dobrego. Niszczące zauroczenie Bennettem wreszcie się skończyło, a zapiekła uraza z wolna słabła. Na ich miejscu wyrosło szczere uznanie dla prawdziwego mężczyzny. Mimo bolesnych przeżyć w dzieciństwie, a może właśnie dzięki nim, Bennett stał się honorowym, wytrwałym obrońcą wszystkich, którzy potrzebowali jego pomocy lub opieki. Gdyby tylko zrozumiała to, zanim było za późno...

– Caro? – Szept Bennetta przerwał ich kruchą, intymną ciszę. – Muszę cię o coś poprosić, to ważne.

– O co?

Z jego tonu wносиła, że niczego dobrego nie należy się spodziewać.

– Wiem, że już mi to mówiłaś, a przynajmniej próbowałaś. – Te słowa zabrzmiały jak westchnienie. – Tym razem jednak jestem gotów cię wysłuchać i uwierzyć w to, co masz do powiedzenia.

Czyżby chciał jej dać do zrozumienia, że...? Aż nie śmiała pozwolić sobie na nadzieję. Czyżby jednak nabrał do niej zaufania? Nawet list George'a Marlowa i te odrażające karykatury nie zniszczyły jego nowo odzyskanej wiary w żonę.

Tylko czy na to zasługiwała? To pytanie chwiała jej kruchą nadzieją.

– Nigdy nie byłaś kochanką Astleya, prawda? I żadnego innego mężczyzny też nie? Dochowałaś mi wierności przez cały okres małżeństwa... Prawda?

Od tygodni Caroline chciała powtarzać Bennettowi do znudzenia, że jest niewinna. Wiedziała jednak, że nic to nie da, a tylko może skłonić Bennetta do szybszego opuszczenia wyspy i zabrania syna. Teraz, gdy najmniej się tego spodziewała, miała

szansę powiedzieć mężowi prawdę z bezpiecznym przeświadczeniem, że jej uwierzy.

Głęboko odetchnęła, by trochę się uspokoić.

- Przysięgam, że jesteś jedynym mężczyzną, z którym kiedykolwiek... któremu kiedykolwiek się oddałam.

Na chwilę zamilkła i odetchnęła głębiej, po czym kontynuowała:

- Rozumiem teraz, że wszystkie moje głupie flirty były zdradą niemal równą cudzołóżeniu. Mimo to skądś wiedziałam, że inny mężczyzna nigdy nie da mi tego, czego pragnęłam wyłącznie od ciebie.

Początkowo jej wyznanie niewinności i zarazem winy spotkało się ze zdumionym milczeniem.

- Wierzysz mi, prawda? - przynagliła męża, gdy napięcie stało się nie do zniesienia.

- Oczywiście. - Wydawał się zirytowany tym, że zmusiła go do wypowiedzenia tego na głos. - Wydaje mi się, że w głębi serca znałem prawdę od dawna. Nie przyjąłem jej, bo chciałem cię ukarać za wieczór u Almacka. Poza tym wiedziałem, że to by wszystko zmieniło.

Sztywno odsunął się od niej i wstał z łóżka.

Gdy włożył spodnie, Caroline usiadła na łóżku i prześcieradłem osłoniła obnażone piersi. Nagle poczuła się bardzo zakłopotana.

- Co miałeś na myśli, mówiąc, że to by wszystko zmieniło?

Bennett podał jej koszulę nocną, którą Parker powiesiła złożoną na wezgłowie.

- Z pewnością rozumiesz, że nie mogę teraz wystąpić o rozwód.

- Dlaczego miałbyś tego nie robić?

Caroline wsunęła koszulę i usiadła skulona pośrodku łóżka, obejmując kolana ramionami.

Bennett zebrał z podłogi pozostałe części porozrzucanego odzienia.

- Mam swoje poczucie honoru, chociaż wiem, że ostatnio zachowywałem się tak, jakbym o nim zapomniał. Nie mogę domagać się rozwodu z powodu cudzołóstwa, skoro wiem, że takiego czynu nie popełniłaś.

Odsuwając z twarzy mokry kosmyk, Caroline zadrżała na myśl, jak musi w tej chwili wyglądać. Czy Bennett wziął ją do łóża wyłącznie ze współczucia? Było oczywiste, że żałował tego nieprzemyślanego kaprysu, tak samo jak straconej okazji do uwolnienia się od kamienia u szyi, który ciągnie go na dno.

- Masz zbyt wiele skrupułów. - Nie mogła trwać w małżeństwie, które Bennett chciał zakończyć i czego w dodatku wymagała jego polityczna kariera. - Stałaś przed duchownym i obiecałaś mi miłość, chociaż mnie nie kochałaś. Mając grupę świadków, którzy widzieli, jak Astley mnie całował, nie powinieneś mieć trudności z uzyskaniem rozwodu. I prawdopodobnie nie musiałbyś nawet skłamać ani jednym słowem.

Bennett nagle przestał się ubierać.

- A ty, Caro? Stałaś przed tym samym duchownym i również ślubowałaś mi miłość. Czy ostatecznie poślubiłaś mnie jedynie po to, by zyskać uznanie swojego ojca, czy chodziło o coś więcej?

Badawczym spojrzeniem domagał się od niej całej, nieupiększonej prawdy. To jed-

nak mogło obudzić u niego jedynie silniejsze poczucie obowiązku, by bez względu na koszty trwać przy marnej namiastce małżeństwa. W końcu znienawidziłby ją jeszcze bardziej niż dotąd. A tego by nie zniosła.

- Tak! - wypaliła przestraszona swoją słabością. - Skoro upierasz się przy prawdzie, to ci powiem. Wydawało mi się, że jestem w tobie zakochana. Co gorsza, wmówiłam sobie, że i ty mnie kochasz!

Jej wyznanie sprawiło, że Bennett pierwszy raz w trakcie ich związku nie potrafił ukryć swoich uczuć. To było zupełnie oczywiste. Caroline dostrzegła współczucie, poczucie winy, żal i jałową tęsknotę.

Po chwili osłupienia Bennett skierował się do drzwi.

- Muszę sprawdzić, co słychać u Wyna. Zajmę się nim, żeby Parker mogła przyjść i ci pomóc.

Nie dodawszy już ani słowa, opuścił pokój, jakby uciekał. Caroline zastanawiała się, czy Bennett żałuje, że tyle zaryzykował, by uratować ją przed utonięciem. Jego przyszłość ułożyłaby się prościej, gdyby tego nie zrobił.

Musiała go jakoś przekonać, że rozwód jest dla nich obojga najmniej bolesnym rozwiązaniem.

Nie mógł się teraz rozwieść z Caroline, stwierdził Bennett. Nieważne, jak bardzo ona tego chciała.

Ta myśl nieustannie tłukła mu się po głowie, gdy próbował zabawić syna, podczas gdy Parker zajęła się swoją panią.

Czyżby Caroline nie rozumiała? To była kwestia honoru. Nie mógł domagać się od Fitz Astleya odszkodowania za poniesione straty, skoro jego najgorszy wróg tylko wciągnął jego żonę w kompromitującą zasadzkę i skradł jej pocałunek. Naturalnie takie zachowanie było haniebne, ale trudno uznać, że niezgodne z prawem. Porównanie, jakie uczyniła Caroline, przypominając jego nieszczerze śluby małżeńskie, było zupełnie nietrafione. Nie miał wówczas zamiaru nikomu wyrządzić krzywdy. Wręcz przeciwnie.

Sumienie natychmiast mu wytknęło, że choć nie zamierzał skrzywdzić Caroline, to jednak to zrobił. Gdy zauroczenie minęło, nie poczynił żadnego wysiłku, by zbudować między nimi bliskość. Nigdy jej się nie zwierzał, nie prosił o pomoc, nie próbował jej zrozumieć. Wracając myślą do przeszłości, zastanawiał się, czy przypadkiem nie obawiał się, że silna więź z piękną oblubienicą stanie się dla niego ważniejsza, niż mógł sobie na to pozwolić.

Przez cały ten czas Caroline go kochała i tęskniła za takim uczuciem, jakim nie mógłby jej obdarzyć. Gdy teraz myślał o tym wszystkim, przyszło mu do głowy, że traktował ją bardziej jak kochankę niż żonę. Może nawet jak kogoś mniej ważnego od kochanki.

Nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, jak głęboko się zamyślił, póki Wyn nie spojrzał nagle znad swojej kolekcji muszli, którą rozłożyli na stole.

- Jesteś zły na mamę za to, że wpadła do wody i musiałeś ją ratować?

Pytanie dziecka wprowadziło go w zakłopotanie. W chwilach jego zadumy Wyn najczęściej zakładał, że jest on zły. Czy również Caroline błędnie interpretowała jego częste milczenie i traktowała je jak oznakę surowej dezaprobaty?

- Zły? - Bennett pokręcił głową i wziął syna za rękę. Dzięki Caroline mówienie o uczuciach przychodziło mu z coraz większą łatwością. - Ani trochę. Martwiłem się o nią i byłem przestraszony. Z tobą jest pewnie podobnie, prawda?

Wyn z poważną miną skinął głową i uściśnął ojcu dłoń.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, potem chłopiec odezwał się znowu.

- Cieszę się, że nie jesteś zły. Tak dobrze wam się rozmawia i już na siebie nie krzyczycie...

Spostrzeżenie Wyna skłoniło Bennetta do myślenia.

- Różnic wciąż jest mnóstwo, ale zrozumieliśmy, że o wiele ważniejsze jest to, co nas łączy. Poza tym różnice nie zawsze muszą powodować problemy.

Chłopiec zmarszczył brwi, jakby próbował pojąć to, na co Bennett potrzebował dziesięcioleci, i wyraźnie oczekiwał wyjaśnień.

- Widzisz te muszle? - Wziął dwie z niedużej kolekcji rozłożonej na stole. - Bardzo się różnią, nie sądzisz?

Wyn skinął głową.

- Ta jest duża, a tamta mała. Ta jest brązowa w plamki, a tamta cała biała. Ta jest podłużna i cienka, a tamta ma kształt podobny do wachlarza damy.

- Znakomite obserwacje. - Bennett przesłał synowi ciepły uśmiech. - Jesteś bardzo spostrzegawczy, a to znaczy, że dostrzegasz szczegóły, które mogą ująć uwagi wielu ludzi. To niezwykle cenna umiejętność.

Po chwili dodał, mówiąc bardziej do siebie niż do chłopca:

- Musisz mieć to po mamie...

Przecież on sam nie zauważył nawet tego, że kiedyś Caroline była w nim zakochana. Może zresztą celowo ignorował te oznaki, bo obawiał się wszystkiego, co mogło go z nią związać uczuciowo?

Jego pochwała wywołała u Wyna uśmiech dumy. Tym uśmiechem też przypominał Caroline. Gdy Bennett to sobie uzmysłowił, zalała go fala czułości. Oczy chłopca też miały znajomy zielonkawoniebieski odcień.

- Mimo że te muszle są takie różne... - Bennett wrócił do twierdzenia, które chciał wytłumaczyć - ...obie musiały ci się spodobać, bo je ze sobą zabrałeś.

- Tak.

W znajomych, kochanych oczach pojawił się błysk zrozumienia.

- I obie te muszle ochraniały kiedyś stworzenia, które w nich żyły.

To uświadomiło mu nagle coś zupełnie innego.

I on, i Caroline w przeszłości doświadczyli wiele bólu. Oboje bronili dostępu do swych wrażliwych serc. Kiedy Caroline poczuła do niego słabość i odważyła się ją pielęgnować, natrafiła na twarde, kolczasty pancerz. Nic dziwnego, że wycofała się głęboko do swojej barwnej, świetlistej osłonki.

Czy było już dla nich za późno? Czy było za późno dla niego, by dał jej taką miłość, jakiej potrzebuje i na jaką zasługuje?

Tego się obawiał... Wiedział jednak, że dla dobra syna i Caroline musi jeszcze spróbować.

Gdy Parker zmyła jej sól z włosów i rozczesała je, by wyschły, Caroline wróciła na dół, by pobyć z synem. Mógł to być ich ostatni wieczór, nie chciała więc stracić ani

chwili. Wkrótce po tym, jak dołączyła do Wyna i Bennetta w salonie, jej mąż pod byle pretekstem odszedł. Po kilku tygodniach harmonii jego nagła niechęć do przebywania z nią w tym samym pokoju stanowiła jasną oznakę, że ich spotkanie w łóżu uważał za błąd.

- Popatrz, mammo! - Wyn promieniał z dumy, gdy pokazał jej koszyk pełen muszli. - Tata pomógł mi je oczyścić z piasku. Mówi, że kiedy wrócimy do Londynu, zamówi dla mnie pudełko z przegródkami na każdą muszlę. Będzie miało szklany wierzch, żebym mógł na nie patrzeć, i zawiasy, żebym mógł ją otwierać i dodawać nowe okazy.

- Podoba mi się to. - Caroline otoczyła syna ramieniem i z zaskoczeniem przekonała się, że przez ostatnie tygodnie sporo urósł. Czas spędzony na wyspie bardzo dobrze mu zrobił. Dziecko wydawało się zdrowe jak ryba i dopisywał mu apetyt. - Twój tata ma dobre pomysły, prawda?

Wyn skinął głową.

- Tata mówi, że nie jest spostrzegawczy, ale mnie się wydaje, że to nieprawda.

Caroline uderzyło to, jak samodzielnie myśli jej syn. Była dumna, choć zarazem czuła z tego powodu obawę. Potrzeba bycia u boku syna szybko stawała się silniejsza niż jej dobre intencje.

- Twój tata ma dużo dobrych cech - zapewniła chłopca.

Bennett był mądry i honorowy, wytrwały i współczujący. Ze wszystkich sił starał się być bardziej troskliwym i czułym ojcem. Musiała się jednak zgodzić z tym, że nie należy do najbardziej spostrzegawczych mężczyzn. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo kiedyś za nim tęskniła.

- Tata umie dobrze tłumaczyć różne rzeczy. - Wyn zaczął czegoś szukać w koszyku z muszlami. - Powiedział mi, że to nie szkodzi, jeżeli są różnice i że z ludźmi jest tak jak z muszlami. Nie wszystkie są takie same, ale każda ma w sobie coś szczególnego.

- Tak powiedział?

Wzięła do ręki muszlę, która musiała być kiedyś domem jakiegoś morskiego ślimaka. Otwór dawał początek głębokiej spirali.

Wyn skinął głową.

- Tata powiedział, że właśnie dlatego tak dobrze się wam rozmawia.

- To możliwe.

Caroline obróciła muszlę w dłoni, podziwiając elegancję jej naturalnej formy.

Ona i Bennett różnili się sposobem traktowania dawnych urazów. Ona przyjęła taktykę kraba - biegała tu i tam, chwyciła, co tylko mogła w swoje potężne szczypce i starała się to zatrzymać za wszelką cenę. Bennett wręcz odwrotnie - chował się do swojej grubej skorupy jak samotna ostryga. Nękany ostrymi ziarnami dawnych cierpień, powoli przekształcił wnętrze muszli w bezcenną perłę współczucia dla innych.

Ostatnio zaczął wychylać się z tej skorupy, by pokazać synowi więcej uczuć, a z nią podzielić się zwierzeniami. Jednak odkąd spotkali się w łóżu, Bennett wydawał się zdecydowany wrócić do swojej kryjówki, jakby szukał w niej schronienia przed jakimś zagrożeniem. Gdy uciekł nagle z jej sypialni, było jasne, że nie chciał uznać jej wierności i tego, że kiedyś darzyła go miłością.

Ożenił się z nią pchany ślepym zauroczeniem, a prawdopodobnie również poczuciem obowiązku wobec jej ojca. Zbyt późno odzyskał rozsądek i uświadomił sobie, że nie takiej kobiety pragnie i potrzebuje. Teraz jednak, wiedziony poczuciem honoru, postanowił zachować ich nieodwracalnie zniszczone małżeństwo.

Zupełnie jakby miała moc przyzywania myślami, Caroline usłyszała nagle dziarskie kroki męża na schodach. Chwilę później Bennett wszedł do salonu. Usta miał mocno zaciśnięte, ale w oczach wydawało się odbijać zakłopotanie.

- Wyn, co byś powiedział na to, żeby jutro rano wybrać się ze mną na poszukiwanie skarbów?

- Dokąd, tato? - Dziecko wcisnęło koszyk z muszlami w ręce Caroline i podbiegło do ojca. - A co to za skarb?

- Nie wiadomo, co znajdziemy, ale kiedyś na tych wyspach mieli swoje kryjówki piraci i przemytnicy.

Bennett pochylił się, by na chwilę zamknąć syna w czułym uścisku.

Caroline widziała, że takie poufale gesty wciąż nie przychodzą mu łatwo, ale za każdym razem wydawał się odrobinę mniej zakłopotany. Przynajmniej taki dobry skutek miała ta cała pożałowania godna historia, pomyślała z goryczą. Bennett zrozumiał, że jego syn potrzebuje ciepła i miłości.

- Popatrz, co znalazłem w jednej z szuflad starej szafy.

Wyciągnął przed siebie zwój papieru, który - jak podejrzewała Caroline - został przygotowany specjalnie dla rozrywki Wyna.

Zastanawiała się, od jak dawna Bennett planował tę ekscytującą zabawę. Wydawało się, że do powzięcia takiego pomysłu potrzebna jest awanturnicza żyłka. Caroline uznała, że prędzej ona wpadłaby na taki pomysł i choć nie pasowało to do jej poważnego, praktycznego męża, podobało jej się, że Bennett chce spróbować czegoś nowego, co sprawi przyjemność dziecku.

Zafascynowany Wyn rozpostarł zwój i uważnie mu się przyjrzał.

- Czy musimy czekać do jutra, tato? Nie możemy zacząć od razu? Proszę, proszę!

Jeszcze nie tak dawno Caroline byłaby skłonna ustąpić, jednak Bennett pomógł jej zrozumieć, że bycie rodzicem to nie tylko dogadzanie dziecku.

- Skarb z pewnością poleży w swojej kryjówce jeszcze jedną noc, kochanie - powiedziała. - Zbliża się pora, kiedy trzeba się położyć. Poszukiwacze skarbów muszą być wyspani, żeby zachować bystrość.

Mąż spojrział na nią w taki sposób, że Caroline wstrzymała oddech. Wytłumaczyła sobie jednak, że to tylko wyraz wdzięczności za wsparcie.

- Ja już nie zasnę - sprzeciwił się Wyn.

- Na to, co naprawdę dobre, zawsze warto poczekać, kochanie.

Przez chwilę dąsał się, jednak wobec stanowczości rodziców musiał pogodzić się z ich decyzją.

- A opowiesz mi historię na dobranoc?

- Oczywiście, jeśli tylko będziesz chciał.

- O piratach?

- Obawiam się, że wtedy mógłbyś mieć złe sny.

Szukając innego pomysłu, Caroline przypomniała sobie, jak zainteresował Wyna pogląd, że wyspy te mogą być ostatnią pozostałością zatopionej krainy Lyonesse.

- Co powiesz na historię o rycerzach króla Artura?

Kiedy była dorastającą dziewczynką, z wypiekami na twarzy czytała historie o damach, które ryzykowały wszystko wiedzione nadzieją na miłość. Wyobrażała sobie, że jest Ginewrą, Izoldą albo Igerną, matką króla Artura, zakochaną do szaleństwa w przystojnym bohaterze. Jak mężczyzna pokroju Bennetta Maitlanda mógł mieć nadzieję na dorównanie takiemu romantycznemu ideałowi?

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Później, gdy Bennett słuchał, jak żona opowiada Wynowi dzieje sir Gawaina, jednego z Rycerzy Okrągłego Stołu, i Wstrętnej Damy, zaskoczyło go i zaniepokoiło zarazem, jak bardzo średniowieczna legenda pasuje do ich sytuacji.

Caroline opowiadała swym najbardziej dramatycznym tonem. Synek słuchał jak urzeczony.

– Gdy przymusiła go, by ją poślubił, ta odrażająca istota powiedziała sir Gawainowi, że jest piękną kobietą, na którą padł straszny czar. Ślub zdjął połowę klątwy. Teraz będzie piękna za dnia, aby cały świat go czcił i zazdrościł mu tak pięknej żony. Jednak nocami, gdy zostaną tylko we dwoje, będzie potwornie brzydka. Może też stać się odwrotnie. Będzie odrażająca za dnia i piękna nocą, aby tylko on jeden mógł otaczać ją zachwytem i kochać.

Bennett zastanawiał się, co wybrałby na miejscu Gawaina. W pewnym sensie został postawiony w podobnej sytuacji. Zanim przyszedł ten znamienny w skutki wieczór u Almacka, Caroline była czarującą panią domu, elegancką partnerką w tańcu i wspaniałą ozdobą salonów, która wspierała się na jego ramieniu. Wielu mężczyzn zazdrościło mu takiej żony. W domowym odosobnieniu jednak stawała się dla niego nikim.

Po przyplynięciu na wyspę przemieniła się w kobietę rozsądną, współczującą i uroczą, która zaskarbiła sobie miejsce w jego sercu. Gdyby jednak wrócili teraz razem do Londynu, wszyscy ludzie – mężczyźni, którzy kiedyś flirtowali z Caroline, i kobiety, które starały się naśladować jej styl – udawaliby, że przestała istnieć, zupełnie jakby przeobraziła się w potwora. Może nawet byłby z tego zadowolony, ale nie mógłby wymagać od Caroline, by to znosiła.

– I co wybrał sir Gawain, mamo? – spytał Wyn, wyrrywając Bennetta z zamyślenia.

– Cieszę się, że spytałeś. – Caroline wydawała się odrobinę zaskoczona, zupełnie jakby i ona zatoneła w myślach. – Sir Gawainowi nie było łatwo podjąć decyzję. Próbował sobie wyobrazić, jaki wpływ miałyby na niego każda z tych możliwości. Potem w jego sercu obudziło się współczucie dla cierpienia, które musiała znosić Wstrętna Dama. Powiedział więc, że decyzja należy do niej.

Bennett nie wiedział, czy bardziej współczuje rycerzowi jego szaleńczego pomysłu, by oddać swój los w cudze ręce, czy szanuje jego odwagę.

– Gdy tylko sir Gawain wypowiedział te słowa – ciągnęła Caroline – błysnęło i Wstrętna Dama przeobraziła się w najpiękniejszą pannę, jaką sir Gawain kiedykolwiek widział. Powiedziała mu, że dając jej pozwolenie, by sama o sobie zdecydowała, całkowicie uwolnił ją od klątwy. Teraz będzie więc już piękna przez cały czas. Czy to nie urocze?

Wyn skinął głową.

– Czy sir Gawain i ta dama żyli potem długo i szczęśliwie?

– Oczywiście – zapewniła go mama

Bennett bardzo chciał, żeby problemy w realnym życiu rozwiązywały się tak łatwo jak w legendach.

- A mieli dzieci? - dopytywał się Wyn.

Caroline uśmiechnęła się.

- Owszem. Trzech silnych, dzielnych synów i trzy piękne, mądre córki.

- Jakie miały imiona?

Bennett zorientował się, że Wyn stosuje swoją sztuczkę na przedłużenie opowieści.

- Mama dokończy jutro. Musisz nabrać sił, jeśli chcesz być poszukiwaczem skarbów.

Caroline nie wydawała się urażona jego interwencją. Pochyliła się i złożyła kilka pocałunków na czole syna.

- To na osłodę - powiedziała. - Dobranoc, kochanie.

Kilka tygodni temu Bennett wątpiłby w szczerość jej gestu. Teraz wiedział, że nie można kwestionować miłości Caroline do syna. Żałował tylko, że samego siebie pozabawił szansy na doświadczenie pełni jej uczucia.

Wyn zarzucił Caroline rękę na szyję.

- Dobranoc, mamó!

Wymienili uścisk, a potem Wyn wyciągnął rękę do Bennetta.

- Dobranoc, tato!

- Dobranoc, synu. - Przygarnął chłopca do piersi, wdzięczny Caroline, że nauczyła go tego prostego gestu. - Śpij dobrze.

Gdy opuścili pokój Wyna, zapadło między nimi niezręczne milczenie. Caroline wydawała się spieszyć, by jak najszybciej wejść po schodach na górę, Bennett zastanawiał się, czy to z obawy przed tym, że mógłby ją wciągnąć do swojej sypialni i wziąć przemocą.

A może nie ufała własnemu ciału? Może obawiała się, że źle zinterpretowałyby jej namiętność i dostrzegł u niej oznaki głębszego uczucia, którego już dla niego nie miała?

- Czy nie poszłabyś ze mną... na spacer? - spytał zmieszany tym, że język płacze mu się jak uczniakowi. - Są sprawy, które musimy dziś wieczorem omówić. Wolałbym, żeby Wyn nas nie podsłuchał.

Ona również wydawała się spłoszona.

- Oczywiście pójdę, pozwól tylko, że przyniosę narzutkę i czepek.

Zanim Bennett włożył kapelusz, wróciła gotowa do wyjścia. Podając jej ramię, pomyślał, że nie mogli wybrać piękniejszego wieczoru. Ruszyli na południe, obok starego blokhauzu. Do letniego przesilenia zostało zaledwie kilka tygodni, więc na dworze wciąż było dość jasno. Lekki wiatr niósł aromaty kwiatów i przyjemny zapach schnącego siana. Za miesiąc miała unosić się w powietrzu woń spalonych wodorostów, ale wtedy od dawna już ich tu nie będzie.

- Żal mi będzie opuścić tę wyspę - odważył się zacząć. - Od dzieciństwa nie czułem się równie szczęśliwy, jak tutaj przez ostatnie tygodnie.

Caroline skinęła głową. Wystający brzeg czepka ukrył jej twarz i nie pozwalał odczytać Bennettowi jej uczuć.

- Mnie też było tutaj przyjemnie - powiedziała cichym głosem. - Pani Hicks miała rację, że te wyspy są dobrym miejscem na rekonwalescencję. Czuję się tak, jakbym wyszła z choroby, która nękała mnie przez całe życie.

Czy szaleństwo miłości do takiego człowieka jak on było jednym z symptomów jej choroby? Bennett nie mógł się zdobyć na to pytanie.

- Mnie podobał się tu nie tylko krajobraz. I nie tylko zdrowe powietrze. - Głęboko odetchnął. - Miałem okazję doświadczyć szczęśliwego życia rodzinnego. Teraz rozumiem, że zawsze za tym tęskniłem.

- To było bardzo przyjemne.

Caroline pochyliła się, by zerwać dziką różę z krzaka, który piał się po starym kamiennym murku.

Gdy znów położyła dłoń na jego przedramieniu, Bennett przykrył ją swoją dłonią.

- Żałuję, że trzeba wyjechać. Dostałem list od mojego przyjaciela Marlowa, który wzywa mnie z powrotem do Londynu. Wkrótce ma się odbyć ważne głosowanie i jestem potrzebny.

- Musisz zatem jechać. - Caroline zbliżyła do nosa zerwaną różę. - Kiedy wyjeżdżacie z Wynem?

Czyżby dobrze usłyszał, że łamie jej się głos? A jeśli tak, to czy chodzi jej jedynie o wyjazd syna?

Bennett odchrząknął.

- Dużo nad tą sprawą myślałem i z bardzo wielu powodów chciałbym, abyś wróciła z nami do Londynu.

Te słowa wyrwały Caroline z zadumy. Gwałtownie zwróciła się do niego i gorączkowo szukała odpowiednich słów odmowy.

- Proszę. - Uniósł dłoń, chcąc powstrzymać jej nazbyt pospieszną reakcję. - Daj mi powiedzieć wszystko do końca, potem chętnie wysłucham ciebie. Wiem, że nie byłem mężem, jakiego chciałaś i potrzebowałaś. Pozwoliłem, by przeżycia z dawnych lat uczyniły mnie ślepym na twoje uczucia i nie dały dojść do głosu moim własnym. niesprawiedliwie oskarżyłem cię o cudzołóstwo, wysłałem w to odległe miejsce i zagroziłem ci odebraniem dziecka. Chociaż z wszystkich tych powodów jest mi bardzo przykro, nie zasługuję na twoje przebaczenie i go nie oczekuję.

- Nie? - krzyknęła Caroline, która nie umiała dłużej się powstrzymać. - Ja wobec tego też nie mogę mieć nadziei na twoje przebaczenie za to, jak cię publicznie upokorzyłam, zaszkodziłam twojej karierze i sprawie, o którą walczysz.

Wydawało się, że naprawienie tego, co zostało z ich małżeństwa, jest całkiem niemożliwe. A mimo to Bennett był pewien, że tego właśnie pragnie.

Wrócić do Londynu? Trwać w małżeństwie? Zatrzymać dziecko?

Kilka tygodni temu Caroline dałaby wszystko za to, co Bennett właśnie jej zaproponował. Ostatnio jednak poznała kilka przykrych i definitywnych prawd o tym, czym jest miłość i jaką ma siłę.

Tu nie chodziło o pobłażliwość. Istota miłości była taka, że potrzeby i pragnienia kochanych ludzi stawiało się ponad własnymi. Ostatnie tygodnie naprawdę upłynęły im w szczęściu. Caroline wiedziała jednak, że gdy jej mąż i syn wkrótce wrócą do Londynu, lepiej będzie im bez niej.

Wyczuwała, że również Bennett to wie. Zapadł w milczącą zadumę, gdy spytała go, czy może jej wybaczyć, że go upokorzyła i zachwiała jego pozycją. Ze swoją szczodłą propozycją wystąpił jedynie z powodów honorowych, a nie z miłości. To nie był bezpieczny fundament, na którym mogliby budować wspólną przyszłość.

- Myślałem, że już to uzgodniliśmy. Mieliśmy zostawić te sprawy za sobą i do nich nie wracać - odpowiedział szorstko Bennett.

- Łatwo jest nie pamiętać o przeszłości, póki jesteśmy tutaj na wyspie, z dala od wszystkiego, od czego uciekliśmy. - Caroline spojrzała na szarzejący horyzont. Gdzieś poza granicą widzenia był Londyn, czekający niczym drapieżnik, by rzucić się na nich, gdyby odważyli się wrócić. - W Londynie wszystko powtórnie się pojawi. Osaczą nas te same co przedtem pokusy i wrócimy do starych przyzwyczajzeń. Ani się obejrzymy, jak znowu poczujemy się nieszczęśliwi. Nie chcę tego. A ty?

Skarciła się w duchu za tęskny ton ostatniego pytania. Zabrzmiało to tak jak prośba, by odpowiedział przecząco albo dostarczył jej przekonującego pretekstu, pozwalającego zrobić to, do czego tak rozpaczliwie tęskniła.

Prawdę mówiąc, był tylko jeden powód, dla którego dałaby się przekonać do zawarcia trwałej ugody. Tego jednak od Bennetta dostać nie mogła.

- Nie, nie chciałbym. - Ciężko westchnął. - Chcę tylko... rozumiesz... byliśmy przez ostatnie tygodnie tacy szczęśliwi...

- Dobrze wiesz, że wszystko to upozorowaliśmy dla dobra Wyna. Nie możemy ciągnąć tej gry przez resztę życia!

Caroline powiedziała to ostrzej, niż zamierzyła. Musiała sobie przypomnieć, jaka jest brutalna prawda, by nie popełnić starych błędów i nie uwierzyć, że Bennett żywi do niej głębsze uczucie niż w rzeczywistości.

- Wiem - odparł lakonicznie.

Czuła, z jakim skupieniem przygląda jej się mąż, jak próbuje ją skłonić, by spojrzała mu w oczy. Nie odważyła się jednak z obawy przed tym, co mogłaby w nich zobaczyć. Nie chciała też zdradzić swojej słabości.

- Nie mogę zaprzeczyć, że zaczęło się od udawania, ale...

Wahanie Bennetta sprawiło, że jednak na niego spojrzała.

- Tak?

Tym razem to on uciekł przed jej badawczym spojrzeniem.

- Nieważne.

- Co chciałeś powiedzieć? - nalegała Caroline.

- To nie ma znaczenia. - Głęboko odetchnął morskim powietrzem. - Powinniśmy wrócić do domu, zanim na dobre się ściemni.

Czego właściwie się spodziewałam? Jakich słów? - tymi pytaniami próbowała zignorować swoje lekkie rozczarowanie.

- Chyba masz rację.

Potajemnie żywiła nadzieję, że Bennett wyzna jej miłość. Przyznała to w duchu, gdy szli już w stronę domu. Wiedziała jednak, że to nie stanie się nigdy.

Nie kochał jej, gdy byli świeżo po ślubie. Jak więc mógłby żywić do niej silniejsze uczucie teraz, po tylu niepowodzeniach? Caroline nie była zresztą pewna, czy Bennett jest w stanie obdarzyć miłością kogokolwiek oprócz własnego syna. Ze wszystkiego, co niechętnie wyznał o swojej przeszłości, wiedziała, że ma zranione serce. Gdyby miał kiedykolwiek pokochać jakąś kobietę, musiałby zacząć od początku, bez bagażu gromadzonych latami błędów i uraz.

Istniał jeszcze inny ważny powód, dla którego nie ważyła się wrócić do Londynu z Bennettem i Wynem. Bała się siły swoich nowo odkrytych uczuć do męża, wie-

dząc, że nie może liczyć na wzajemność. Były one tak potężne, że z pewnością nie znalazłaby zadowolenia w małżeństwie pochłonięta nieustanną tęsknotą za czymś, czego Bennett nie mógłby jej ofiarować. Wszystko skończyłoby się jeszcze większym rozczarowaniem.

- Wiem, że pobyt w Londynie nie byłby dla ciebie łatwy - odezwał się Bennett. - Musiałabyś stawić czoło plotkom.

Czyżby sądził, że właśnie to powstrzymuje ją przed powrotem do Sterling House? Nie odstraszyłyby jej wszystkie języki westminsterskich plotkarzy, gdyby wierzyła, że Bennett może ją pokochać tak jak ona jego.

- Nie byłoby to trudniejsze od zrażenia do siebie wszystkich zwolenników ruchu na rzecz zniesienia niewolnictwa, do czego doszłoby niechybnie, jeśli byś zrezygnowała z rozwodu - zaprotestowała.

Bennett wzruszył ramionami.

- Podejrzewam, że pan Wilberforce powitałby naszą zgodę z radością. Jest bardzo oddany swojej rodzinie. Poza tym fala plotek i atmosfera skandalu może być właśnie tym, czego ruch potrzebuje, żeby znowu zaczęto o nim mówić. Zbyt wielu ludzi spoczęło na laurach, odkąd uchwalono zakaz handlu niewolnikami. Zapomina się, że mimo tej ustawy miliony ludzi i tak pozostają w niewoli, a co roku rodzą się następni niewolnicy.

Zapał, z jakim mówił o swojej sprawie, uzmysłowił Caroline wyjątkowo dobitnie, że za jej niefrasobliwość może zapłacić wiele tysięcy ludzi. Bennett zarzucił jej kiedyś, że nie widzi nic poza czubkiem własnego nosa, i miał rację. Czy potrafiłaby w następnych latach znaleźć sposób, by poświęcić część swojego czasu na wsparcie ruchu na rzecz zniesienia niewolnictwa? Taki pomysł bardzo jej się podobał, wydawał się sensowny i pomógłby jej się zrehabilitować.

- Dla mnie najważniejsze jest dobro naszego syna - ciągnął Bennett. - Jakkolwiek będziemy próbowali mu wytłumaczyć rozpad naszej rodziny, Wyn zapewne i tak uzna, że jest on częściowo zawiniony przez niego. Właśnie tak myślałem, kiedy odkryłem, że moja matka opuściła ojca. Dopiero ostatnio zrozumiałem, że nie byłem przyczyną niepowodzenia w małżeństwie moich rodziców, lecz ofiarą owego niepowodzenia. Teraz żałuję, że przeze mnie kolejną ofiarą stałaś się ty. Nie mogę znieść myśli, że Wyn miałby ponieść konsekwencje naszych błędów. Czy dla jego dobra nie możesz dać naszemu małżeństwu jeszcze jednej szansy?

Do niedawna Caroline nie uwierzyłaby, że jej chłodny, tajemniczy mąż jest zdolny do tak żarliwej prośby. Jego słowa trafiały prosto do jej serca i głęboko je raniły.

Odsunęła się od Bennetta, bo sobie nie ufała. Gdyby próbował przekonać ją pocałunkiem, wszystkie jej dobre intencje mogłyby okazać się niczym wobec tęsknoty za namiętnością, którą Bennett w niej rozbudził.

- Myślisz, że chcę zrezygnować z miejsca w życiu Wyna, skoro wreszcie udało mi się do niego zbliżyć? Kocham go, ale właśnie dlatego nie zniósłabym, gdyby wywołany przeze mnie skandal wyrządził mu krzywdę. Dzięki mojej miłości rozumiem teraz dobrze, że będzie mu znacznie lepiej z tobą i panią McGregor.

- Skandal wyrządzi mu krzywdę? - Bennett pokręcił głową. - W to nie wierzę. Plotki rozchodzą się szybko, ale żyją krótko. Separacja moich rodziców była jednym z największych skandali tamtych lat, ale ty nie miałaś o niej pojęcia. Zapewniam cię,

że z czasem to wszystko, czym się teraz przejmujemy, nie będzie miało dla Wyna najmniejszego znaczenia.

Matczyny instynkt podpowiadał jej, by ustąpiła, i Bennett musiał wyczuć, że jej zdecydowanie słabnie, bo zdwoił wysiłki.

- Wiem, że kochasz naszego syna, Caro. Twoje zachowanie w ostatnich tygodniach mówi o tym głośniejsze niż słowa. Pracowałaś bardzo ciężko, by stać się troskliwą matką i pomóc mi stać się czulszym ojcem. Poza tym Wyn cię uwielbia. Mimo rodzicielskich postępów, jakie zrobiłem, chłopak wciąż potrzebuje matki. Nie mogę zrozumieć, dlaczego nagle zaczęłaś się opierać. Myślałem, że właśnie do tego dążysz.

- Dążyłam.

Caroline raptownie przyspieszyła, jakby ścigał ją głodny i wielki drapieżnik. Bennett wydłużył krok, by nie zostać z tyłu.

- Co się zmieniło? - spytał całkiem zbity z tropu.

Co się zmieniło? - powtórzyła w myślach. Z jego punktu widzenia chyba niedużo, bo inaczej by nie pytał. Dla niej zmieniło się jednak tak wiele, że nie wiedziałyby, od czego zacząć, gdyby odważyła się o tym mówić.

Czuła się tak, jakby walczyła w tej chwili o życie.

- Nasze małżeństwo było jedną wielką klapą. Jeśli spróbujemy jeszcze raz i nam się nie uda, Wyn zapłaci za to najwyższą cenę. Nie kuś mnie więc i nie namawiaj, abym zmieniła zdanie, bo wtedy może mi zabraknąć sił i nie zrobię tego, co powinienam!

Widząc, że światła domu są niedaleko, Caroline pobiegła jak szalona i nie zatrzymała się, póki nie zatrzasnęły się za nią drzwi sypialni.

Nie było sensu jej gonić. Bennett niechętnie się z tym pogodził, patrząc za szybko oddalającą się ku domowi żoną.

Mógłby za nią pobiec i próbować dalej przekonywać. Ryzykował jednak to, że Wyn drugi raz ich podsłucha, a na to nie mógł pozwolić. Poza tym nie ulegało wątpliwości, że Caroline podjęła decyzję. Woląca oddać dziecko niż żyć w małżeństwie, którego nie mogła dłużej znieść.

Odwrócił się plecami do domu, w którym zaznał tyle szczęścia, i skierował kroki nad opuszczoną zatoczkę Gimble Porth. Towarzyszył mu niekończący się lament morza.

Gdy szedł po klifie z widokiem na opustoszały brzeg, myślał o żonie i synu. Zachowała na zawsze w pamięci obraz tego dnia, który spędził razem z Caroline i Wynem. Szukali wtedy muszli i zbudowali kamienny kopiec. Pokazał im pozostałości wsi dawno temu pochłoniętej przez fale.

Czy to małżeństwo było nieodwracalnie stracone, podobnie jak owe zalane gospodarstwa? Jeśli tak, to mógł o to obwiniać jedynie siebie. Caroline jasno dała mu do zrozumienia, że zniszczył uczucie, którym kiedyś go darzyła. Wolałby oczywiście, aby nie odbierała mu szansy naprawienia ich wzajemnych stosunków, ale nie mógł mieć pretensji o to, że bała się ponownego zranienia.

Co do jednego miała rację, przyznał, wsłuchany w szum fal. Po powrocie do Londynu obowiązki mogły odsunąć go od rodziny i sprawić, że trudno byłoby mu poświę-

cać żonie odpowiednio dużo uwagi.

Im dłużej się zastanawiał, tym trudniej mu było zrozumieć, dlaczego żona jest gotowa zrezygnować z syna po tylu wysiłkach, które włożyła, by zbudować z nim więź. Kilka tygodni temu uznałby, że znużyły ją matczyne obowiązki, ale teraz wiedział, że tak nie jest. Podczas pobytu na wyspie Caroline poznała prawdziwe znaczenie słowa „miłość”. Oddając Wyna, udawadniała to w najbardziej altruistyczny sposób.

Z upstrzonego gwiazdami nieba zdawała się spoglądać na niego blada, melancholijna twarz księżycowej panny. Czy i on miał tyle odwagi, by zdobyć się na altruizm?

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Po niespokojnej nocy Caroline ocknęła się następnego ranka z przeświadczeniem, że coś ją wytrąciło ze snu. Gdy uniosła powieki, ujrzała Bennetta siedzącego na kufrze w nogach łóżka. Zaskoczona chciała ostro zareagować, jednak wyraz smutku i znużenia na jego twarzy sprawił, że złagodniała.

- Jak długo tu jesteś? - spytała szeptem. - Spałeś tej nocy?

Zastanawiała się, czy przyszedł nadal ją przekonywać i czy zamierza wspomnieć o fizycznej namiętności, która ostatnio między nimi odżyła. Gdyby tak zrobił, miałby szansę, bo bardzo ją kusilo, by otworzyć przed nim ramiona i zaprosić go do łóżka. Powstrzymywała ją tylko obawa, że potem znowu w jego oczach zobaczyłaby wyraz żalu.

Bennett wolno pokręcił głową.

- Będę miał mnóstwo czasu na sen podczas podróży powrotnej do Londynu. Przepraszam, że cię przestraszyłem, ale chciałem z tobą porozmawiać na osobności, zanim Wyn się zbudzi. Po naszym poszukiwaniu skarbu zamierzam wziąć łódź na St. Mary i pierwszym statkiem odpłynąć na ląd.

- Plan wydaje się dobry. - Caroline usiadła wyprostowana. - Wyn będzie bardzo podniecony swoim skarbem i jestem przekonana, że nie zaprotestuje przeciwko opuszczeniu wyspy. Możesz zabrać Parker i Alberta, żeby pomogli w opiece nad nim podczas podróży. Oboje się ucieszą, kiedy znowu znajdą się w Londynie.

Musiała bardzo uważać, żeby nie westchnąć ciężko. Nie mogła pozwolić, by Bennett odgadł, jak słabe jest jej postanowienie. Byłoby najlepiej, gdyby jej mąż i syn odjechali jak najszybciej, zanim jej dobre intencje ustąpią tęsknocie.

Bennett przetarł oczy.

- Spędziłem całą noc, spacerując i myśląc o wszystkim, co się zdarzyło od naszego przyjazdu na Tresco. Przyszedłem ci powiedzieć, że podjąłem decyzję.

Tymi słowami wprowadził Caroline w zakłopotanie. Czyżby w jakiś sposób zamierzał ją zmusić do powrotu i pozostania w małżeństwie? Ta ostatnia perspektywa wywołała u niej mocniejsze bicie serca - panikę, lecz i... nadzieję.

Bennett sięgnął do kieszeni fraka i coś z niej wyjął. Ukrył ten przedmiot w dłoni, żeby Caroline nie mogła go od razu zobaczyć.

- Historia, którą opowiedziałaś Wynowi wczoraj wieczorem, dała mi dużo do myślenia.

Wróciła myślami do Wstrętnej Damy. Dostrzegała pewne podobieństwa do ich skompromitowanego małżeństwa, ale nie bardzo wiedziała, jaką naukę wyciągnął z tej powiastki Bennett.

- Siedem lat temu właściwie nie dałem ci wyboru, musiałaś mnie poślubić. Teraz zamierzam pozostawić w twoich rękach decyzję o twojej - naszej - przyszłości.

Pochylił się nad oparciem łóżka i wyciągnął do niej zamkniętą dłoń.

Caroline instynktownie rozprostowała palce. Poczowała dotyk małego metalowego przedmiotu, a jednocześnie usłyszała cichy stukot kroków Wyna. Zacisnęła dłoń na swojej obrączce, tej samej, którą cisnęła w twarz Bennetta kilka tygodni temu.

Tamten epizod wydawał się teraz bardzo odległy. Przypominając go sobie, nie mogła zrozumieć dwojga zawiedzionych i rozgniewanych wrogów, jakimi byli wtedy z Bennettem. Nie wolno jej było zaryzykować niczego, co mogłoby ich z powrotem uczynić tamtymi ludźmi.

Bennett wyraźnie drgnął, gdy usłyszał, że Wyn zeskakuje z łóżka i chodzi po pokoju. Nie mogąc się doczekać poszukiwania skarbów, chłopiec widocznie postanowił sam się ubrać. Jego rodzicom pozostało niewiele czasu na rozmowę w cztery oczy.

- Jeśli nie możesz mi wybaczyć tych straconych lat, które przetrwałaś jako moja żona, i nie chcesz dać mi szansy, abym stał się mężem, na jakiego zasługujesz - powiedział szybko Bennett - to pomogę ci uzyskać legalną separację. Wyn zostanie wtedy przy tobie. Nie będziesz musiała pozostać na Tresco, chociaż mam nadzieję, że osiedlisz się gdzieś niedaleko, abym mógł często odwiedzać syna.

- Legalna separacja? - powtórzyła zdumiona Caroline, jakby nie miała pojęcia, co te słowa oznaczają, choć w rzeczywistości rozumiała je aż za dobrze.

Przez krótką chwilę gdy Bennett zwrócił jej obrączkę, łądziła się nadzieją, że wystąpi z jakimś wzruszającym oświadczeniem, aby ostatecznie ją odzyskać. Wzmianka o separacji zdusiła to głupie marzenie tak gwałtownie, że do Caroline właściwie nie dotarły pozostałe słowa.

- Właśnie - powiedział Bennett, wstając z kufra. - To się nazywa *separatio a toro et mensa*, rozdział od łoża i stołu. Pozwoli ci uwolnić się ode mnie, a mimo to zatrzymać Wyna. Rozumiem, że gdybyś postanowiła do mnie wrócić, to tylko z powodu dziecka, a tego nie chcę.

Czego on chce? - pomyślała Caroline, marszcząc czoło.

Ostatniego wieczoru Bennett prosił ją, by ze względu na dobro ich dziecka nie rozstawali się. Uznał, że docenia jej przywiązanie do syna i pamięta, jak nieobecność matki zatruła jego własne dzieciństwo. Tymczasem przed chwilą oświadczył, że nie chce jej powrotu tylko ze względu na Wyna.

- Nie rozumiem - powiedziała, ważąc w dłoni obrączkę.

Nie wiedziała, dlaczego wybrał akurat tę chwilę, by ją zwrócić. Czy miał to być symbol, który przypomni jej wszystkie nieszczęścia, które wzajemnie na siebie sprowadzili?

Bennett groźnie się skrzywił. Może zirytował go jej brak zrozumienia.

- Nie będę ci narzucał moich względów, jeśli są ci niemiłe. Gdybyś jednak zmieniła zdanie, wystarczy, że włożysz tę obrączkę na palec... i będę...

Z korytarza rozległ się odgłos otwieranych drzwi i tupot dziecięcych stóp. Najwyraźniej Wyn wyszedł ze swojego pokoju.

Bennett zacisnął dłonie.

- Chciałem powiedzieć, że... Uczynisz mnie...

- Tato? - Wyn pukał delikatnie do drzwi pokoju ojca. - Czy możemy wyruszyć na poszukiwanie skarbu, zanim ktoś nas uprzedzi?

- Czym cię uczynię? - przynagliła męża Caroline, a jej szept brzmiał bardzo tęskno.

Rzadko widziała go tak zmieszanego. Spoglądał to na nią, to na drzwi i wydawał się raz za razem przełykać ślinę.

- Uczynisz mnie...

- Tato? - zawołał znowu Wyn, tym razem bardziej natarczywie.

- Jaki w tym sens? - mruknął Bennett i odwrócił się do niej plecami. - Nie mogę tego zrobić, nawet gdyby to coś zmieniło. - Potem zawołał do dziecka: - Idę, synu.

Nie oglądając się za siebie, odszedł, zostawiając żonę w kompletnym osłupieniu. Chwilę później Caroline usłyszała, jak rozmawia z Wynem na korytarzu.

- Czy mama pójdzie z nami szukać skarbu? - spytał.

- Mama jeszcze leży w łóżku. Pozwólmy jej odpocząć - odpowiedział Bennett, choć wcale nie zapytał jej o zdanie. - Jeśli znajdziemy jakiś skarb, będziemy mogli jej go pokazać.

Usłyszała odgłos kroków, a potem nastąpiła cisza. Obrączka w jej dłoni wydawała się nienaturalnie ciężka, zupełnie jakby dodawała jej wagi ich dawna wrogość. Caroline nie mogła uciec od zabobonnego przeświadczenia, że gdyby znowu włożyła tę obrączkę na palec, wszystkie złe uczucia wróciłyby do niej z dawną siłą. Wstała, podszła do okna i położyła złoty krążek na parapecie. Potem odsunęła się od niego jak od niebezpiecznego przedmiotu, który lekkomyślnym może narobić szkody.

Co miał na myśli Bennett, gdy nakłaniał ją do powrotu do Londynu? Czy był to tylko ulotny kaprys, którego niemal natychmiast pożałował? A może to ona znowu się oszukiwała?

Najwyraźniej jednak to, co zostało powiedziane wieczorem, już nie miało znaczenia. Bennett wpadł na pomysł legalnej separacji, aby się jej pozbyć i nie mieć z tego powodu plamy na honorze. Sam często jej powtarzał, że czyny przemawiają głośniejszą niż słowa.

Ta myśl zastanowiła Caroline. Co jej próbował przekazać mąż, proponując wybór między legalną separacją a obrączką ślubną, której tak gwałtownie się pozbyła? Stanowiło to dla niej nie lada zagadkę. Mimo to przez ostatnie tygodnie niewątpliwie poczyniła postępy w zgłębianiu tajemniczej, pełnej sprzeczności natury męża.

Im lepiej go rozumiała, tym cieplejszym uczuciem go darzyła. Czyżby w obliczu ostatecznego końca małżeństwa ośmieliła się pokochać męża jeszcze bardziej?

Na schodach spotkała Parker, idącą na górę z tacą.

- Pomyślałam, że ucieszy się pani ze śniadania podanego w pokoju, milady, bo milord i panicz Wyn wyszli.

- Czy już ich nie ma?

Służąca skinęła głową.

- Zjedli śniadanie w try miga i poszli. Panicz Wyn był taki podniecony! Powiedział, że pozwoli mi wybrać coś dla siebie z jego skarbu.

Myśl o szczodrości syna wywołała na twarzy Caroline wąty uśmiech.

- Dziękuję za śniadanie, Parker, ale nie mam szczególnie apetytu.

- Czy milady jest chora? - Parker wydawała się bardziej zaniepokojona jej samopoczuciem niż rozdrażniona tym, że jej wysiłek poszedł na marne. - Sprowadzić tę uzdrowicielkę?

Caroline pokręciła głową.

- Nie potrzebuję naparów pani Hicks, ale dziękuję za troskę. Zadowolę się teraz morskim powietrzem i odrobiną słońca.

- Skoro milady tak mówi...

Parker ostrożnie zawróciła na wąskich schodach i ruszyła z powrotem do kuchni.

Caroline poszła jej śladem. Zatrzymała się w salonie, gdzie włożyła czepek, po czym wyszła na spacer.

Kilka minut później przystanąła na klifie nad Gimble Porth, z którego roztaczał się rozległy widok na wszystkie strony. Na zachodzie, za pasem błękitnej wody najeżonymi skałami leżała wyspa St. Martin. Za zatoczką rozciągały się pagórki porośnięte wrzosem. Ku południu, na krawędzi żyznej zielonej niecki, usadowiły się kamienne budynki Dolphin Town. Urozmaicony krajobraz Tresco przypominał Caroline, jak kiedyś porównała Bennetta do tej pełnej kontrastów wyspy.

O legalnej separacji pierwszy raz usłyszała przed rokiem, kiedy lady Byron użyła ją od męża w atmosferze plotek o jego szaleństwie. Almack był pełen skandalizujących wieści o jego wysoce niestosownym związku z przyrodnią siostrą. Niemal z dnia na dzień ulubieniec towarzystwa stał się wyrzutkiem zesłanym na kontynent. Czy w następnych latach ktokolwiek będzie pamiętał piękną poezję, którą lord Byron pisał, czy też jego reputacja zawsze będzie naznaczona piętnem małżeńskiego skandalu?

Znów skierowała myśli na wybór, jaki jej dał. Tym razem jednak próbowała zastanowić się bez emocji, jaki wpływ miałyby jej decyzja na Bennetta. Gdyby wybrała separację, napiętnowano by go jako okrutnika, szaleńca albo zepsutego człowieka i wykluczono z towarzystwa jak lorda Byron?

Skutki dla jego pracy na rzecz zniesienia niewolnictwa byłyby opłakane, a szkoda dla reputacji nie do naprawienia. Mimo to Bennett był gotów wycierpieć niejedno, byle odzyskała wolność, nie tracąc dziecka.

To nagłe odkrycie uderzyło ją jak silny podmuch wiatru znad morza. Ugięły się pod nią kolana. Czyżby Bennett chciał jej pokazać czynem coś, czego nie potrafił przekazać słowem?

Teraz przypominały jej się również inne jego słowa, które wcześniej zupełnie do niej nie dotarły, przyćmione wzburzeniem wywołanym propozycją separacji. Miała wybaczyć Bennettowi to, że w małżeństwie była nieszczęśliwa, bo chciał stać się mężem, na jakiego zasługiwała. Gdyby właściwie go zrozumiała, otrzymałaby szansę, której tak pragnął.

I pomyśleć, że zareagowałam rozczarowaniem, gdy Bennett nie wystąpił z żadną wylewną deklaracją uczuć! – zganiała się w duchu. Czyż przez ostatnie tygodnie nie widziała, jak stara się pokazać głęboką miłość? Czyż nie nauczyła się, że czyny mówią głośnie i prawdziwiej niż słowa?

Ani deklaracje, ani pieśszoty, ani prawdopodobnie nawet cud miłosnych uniesień nie mogły wyrazić jego uczuć z tak dobitną jasnością jak wybór, który jej dał.

Najwyraźniej Caroline dokonała wyboru – chciała się od niego uwolnić.

Bennett borykał się z tą bolesną pewnością, gdy wracali z Wynem do domu kilka godzin później. Nie zostawił sobie wiele czasu na znalezienie łodzi, która płynęłaby na St. Mary, ale może i lepiej. Krótkie pożegnania są przecież łatwiejsze.

Spędzili z Wynem razem tak przyjemny poranek, że Bennett z dużą niechęcią myślał o zbliżającym się końcu poszukiwań skarbu. Poza tym jeśli miał to być ich ostatni razem spędzony dzień, chciał, by chłopiec wspominał go jak najlepiej. Wcześniej bacznie wypatrywał żony i wyteżał wzrok przy każdym odgłosie, który mógł zwi-

stować czyjeś nadejście. Niestety, Caroline nie dołączyła do nich. Godziny płynęły i Bennett coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę z tego, że nie stanie się to już nigdy.

Starał się ukryć swoją rozpacz przed synem, ale na szczęście chłopiec był tak pochłonięty wyprawą, że pewnie i tak niczego by nie zauważył.

- Jak myślisz, co powie o tym mama? - spytał Wyn, dzierżąc przy piersi niedużą, odrapaną skrzyneczkę.

Bennett zmierzwił mu włosy.

- Na pewno będzie pod wrażeniem!

Była to skrzyneczka odkryta przez Caroline na strychu, zawierająca stare monety i starą biżuterię. Bennett był pewien, że na użytek syna mama wyrazi odpowiedni entuzjazm dla tego znaleziska. Potrafiła być zaskakująco dobrą aktorką. Na przykład przez ostatnie tygodnie cały czas dawała mu nadzieję, że czuje do niego coś więcej niż tylko fizyczne pożądanie.

Przypomniawszy sobie fragment Ewangelii: „Gdzie skarb twój, tam i serce twoje”. Teraz wiedział już na pewno, że jego skarbem jest rodzina i to przy niej pozostaje jego serce.

Przynajmniej zachowa wspomnienie tych niezwykłych tygodni, które spędzili na wyspie, i będzie mógł je przez lata pielęgnować.

Gdy zbliżali się z Wynem do domu, wybiegła im naprzeciwko Caroline. Z jej rozpromienionej miny można byłoby wnioskować, że wyprawa trwała wiele miesięcy, a nie kilka godzin.

- Jesteście! A już się bałam, że uciekniecie ze skarbem!

Jej dźwięczny, zaraźliwy śmiech uspokoił Bennetta. Wpatrywał się w nią, gdy trzymała Wyna w objęciach. Złociste włosy lśniły w słońcu, a zielonkawoniebieskie oczy skrzyły się zachwytem. Caroline wydawała mu się tak młoda i pełna życia jak wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy. A jednak otaczała ją również aura dojrzałości, która podobała się Bennettowi jeszcze bardziej. Miał wrażenie, że Caroline urodziła się dla niego ponownie. Czy właśnie tak wyglądała dama sir Gawaina, gdy wreszcie wyzwoliła się od klątwy? Pozostawała mu nadzieja, że nie będzie musiała się go pozbyć, żeby przejść taką przemianę.

Gdy przyglądał się tęskno żonie i synowi, Caroline nagle wyciągnęła ręce i jego również włączyła do tego uścisku. Długo jednak w nim nie pozostali z powodu Wyna, który zniecierpliwiony uwolnił się z ich objęć. Zdaniem Bennetta o wiele za szybko.

- Popatrz, mamo, co znaleźliśmy! Dokładnie w tym miejscu, które wskazywała mapa, niedaleko Baterii Olivera.

Przysunął skrzyneczkę do Caroline, żeby mogła ją obejrzeć.

- Myślisz, że skarb zostawili piraci? A może rycerze Camelotu?

Zgodnie z oczekiwaniami Bennetta Caroline okazała stosowny podziw dla znaleziska.

- Sądzę, że to jest skarb jakiegoś szlachetnego rycerza.

Mówiąc to, przesłała Bennettowi uśmiech, od którego zrobiło mu się ciepło na sercu. To musiało być jednak coś więcej niż tylko wdzięczność za ofiarowaną możliwość wyboru. Zerknął na jej lewą rękę, spodziewając się zauważyć błysk złota u nasady serdecznego palca.

Musiał jednak boleśnie się rozczarować, bo obrączki na palcu nie było.

Czego właściwie się spodziewał? Dał jej przecież mnóstwo przekonujących powodów, by od niego odeszła. Łudził się, że może Caroline zauważy jego gotowość do poświęcenia wszystkiego, co dla niego ważne, byle tylko zapewnić jej szczęście. To miał być ostateczny dowód jego miłości.

A jeśli Caroline go nie zrozumiała? Uznała jego propozycję za świadectwo tego, jak bardzo chce się jej pozbyć? Przecież w przeszłości dużo częściej doświadczała odrzucenia niż wylewnych uczuć. A tak bardzo potrzebowała miłości, podobnie jak kwiaty przy opactwie na Tresco potrzebowały słońca i schronienia przed wiatrem, by bujnie kwitnąć.

- Wspaniały skarb! - Caroline odłożyła do skrzyneczki poczerńiały naszyjnik ze złamaną kłamrą, obchodząc się z nim tak ostrożnie, jakby to były koronne klejnoty. - Bardzo jesteście z tatą dzielni, że go znaleźliście. Jestem pewna, że Parker i Albert też chcieliby zobaczyć takie cenne znalezisko. Może pobiegiesz do nich i im pokażesz? Pani Jenkins ma dla ciebie coś do zjedzenia. Na pewno jesteś głodny po poranku pełnym wrażeń.

Nadzieja na przekąskę i nowych słuchaczy sprawiła, że Wyn rączo pognał w stronę domu i nawet nie zerknął za siebie. Rodzice spoglądali jego śladem z dumą i czułością. Nareszcie zostali sami, bez dodatkowej pary uszu.

Caroline pierwsza przerwała niezręczne milczenie.

- Widziałam, że patrzysz na moją dłoń. Chcę ci wyjaśnić co z obrączką.

- Nie ma potrzeby. - Bennett energicznie pokręcił głową. Nie mógł dopuścić jej do głosu, póki sam nie powie tego, co trzeba. Jeśli miał nadzieję, że zmieni jej decyzję, musiał to zrobić, zanim Caroline ją ogłosi. Inaczej wyglądałoby na to, że nie pozwała jej na swobodny wybór. - Bardzo przepraszam, że ci przerywam, ale jest coś bardzo ważnego, co muszę powiedzieć pierwszy.

Caroline wydawała się przygotowana na najgorsze. Czyżby nie chciała usłyszeć jego niezręcznego wyznania uczuć? A może obawiała się, że wtedy będzie musiała go przyjąć z powrotem ze zwykłej litości?

Dręczony takimi myślami, Bennett dzielnie parł naprzód:

- Powiedziałem, że masz wolny wybór, i zamierzam dotrzymać słowa. Obawiam się jednak, że pozostawiłem u ciebie niewłaściwe wrażenie co do moich uczuć.

Żołądek podchodził mu już do gardła, miał wrażenie, że ziemia rozstępowała się pod stopami.

- Zakładałem, że zrozumiesz powody, którymi się kieruję... a przez to również uczucia. - Chwycił Caroline za rękę z nadzieją, że dotykem przekaże jej więcej niż źle dobranymi, niezręcznymi słowami. - Teraz obawiam się, że domagałem się od ciebie zbyt wiele, bo przecież odkąd się znamy, nie rozumieliśmy się.

Caroline zdawała się rozumieć lepiej, niżby się tego spodziewał, bo niespodziewanie ścisnęła jego palce.

- Chyba wiem, o co ci chodziło, kiedy dałeś mi wybór. Twój szczodry gest mówi głośniej niż słowa.

Mimo pokusy, by zrejterować, Bennett mówił dalej:

- Czyny mogą mówić głośniej niż słowa, najdroższa Caro, ale nie zawsze jaśniej. To dla mnie bardzo trudne, ale muszę podzielić się z tobą tym, co mam w sercu. Dla

własnego i twojego dobra. Przez ostatnie tygodnie wytrwale uczyłaś mnie wyrażania miłości. Wydaje mi się sprawiedliwe, że teraz zbierzesz owoc tego wysiłku.

Podbródek zaczął jej się trząść, a piękne zielonkawoniebieskie oczy podejrzenie zalśniły.

Bennett obawiał się, że wie, czego są to oznaki, lecz mimo to nie przerwał:

- Postąpiłem źle, prosząc cię o rękę, chociaż cię nie kochałem. To już jednak przeszłość, której nie mogę zmienić. Mogę tylko poprosić cię o rękę jeszcze raz. Tylko że tym razem kocham cię... kocham bardziej, niż potrafię to wyrazić. - Uśmiechnęła się kpiąco. - To widać.

Teraz, gdy najważniejsze słowo padło, inne potoczyły się dużo łatwiej.

- Broniłem się przed tym uczuciem do upadłego, bo bałem się, że uczyni mnie bezbronnym wobec takiego cierpienia, jakiego doświadczyłem w dzieciństwie. I takiego, na jakie potem skazałem ciebie. Nie potrafię powiedzieć, jak bardzo tego żałuję. Nie mogę cię też winić, jeśli nie jesteś w stanie mi wybaczyć albo jeśli nie umiesz już mnie pokochać.

Bennett obawiał się, czy nie odniesie swoimi namowami przeciwnego skutku do zamierzonego, musiał jednak mieć pewność, że Caroline wie, jak bardzo mu przykro, że sprawił jej tyle bólu.

- Wbrew mojej woli miłość do ciebie rosła w siłę, aż w końcu nie mogłem jej już negocjować i nie mogłem jej się oprzeć. Kocham cię, Caro! Zawsze będę cię kochał, nawet jeśli zdecydujesz, że chcesz się ode mnie uwolnić. Kiedy dziś rano wspomniałem o obrączce, próbowałem ci powiedzieć, że jeśli znów ją włożysz i dasz mi jeszcze jedną szansę, by zdobyć twoją miłość, to uczynisz mnie najszczęśliwszym z ludzi.

- Dobrze... - Głośno odetchnął. - Skończyłem, a teraz możesz dokonać wyboru. Nie kieruj się przy tym współczuciem ani poczuciem obowiązku, lecz jedynie swoim szczęściem. Mnie to zadowoli.

- Jeśli chodzi o obrączkę... - zaczęła z wahaniem Caroline - ...to obawiam się, że wiąże z nią zbyt wiele przykrych wspomnień, by znów ją włożyć. Nie chcę też ożywiać uczuć, którymi darzyłam cię przed laty, ponieważ teraz rozumiem, jak niewiele były warte.

Bennett słuchał. Ufał, że miłość do Caroline i ich syna jest więzią, która wszystko połączy w całość. Nie żałował swojej deklaracji uczuć. Teraz przynajmniej wiedział, że dał Caroline jasny wybór, a ona wie, na czym ten wybór polega.

- Miłością jest to, co czuję do ciebie teraz... - ciągnęła - ...i co nigdy się nie zmieni. Już zdobyłeś moją miłość. A raczej miłość zdobyła nas.

Na początku nie mógł uwierzyć w to, co słyszał, a jego widoczne oszołomienie wywołało cudowny uśmiech na twarzy Caroline. Serce Bennetta wezbrało radością, a oczy zapiekły. Miał wrażenie, jakby spoglądał prosto we wschodzące słońce.

Pogłaskała go czule po twarzy i pocałowała w policzek.

- Przyjmę jednak nową obrączkę, jeśli mi ją podarujesz. To byłby symbol naszego nowego uczucia i nowego małżeństwa.

W odpowiedzi porwał ją w ramiona i ucałował namiętnie. Caroline w myślach uznała, że była to najlepsza, najwymowniejsza odpowiedź.

- Niech będzie nowe małżeństwo - zgodził się chwilę później, rozkoszując się bo-

ską słodczą tych słów. – Tym razem małżeństwo z miłości.

EPILOG

Londyn, sierpień 1833 roku

Chyba już dwudziesty raz w ciągu tyluż minut Caroline odsunęła zasłony w oknie swojej garderoby i wyjrzała na dwór.

Tym razem została nagrodzona widokiem męża zbliżającego się po szerokim podjeździe. Chociaż jej serce zawsze biło odrobinę szybciej, gdy widziała Bennetta, nawet po krótkim rozstaniu, tego dnia miała dodatkowy powód do podniecenia.

Caroline zostawiła służącą przy pakowaniu rzeczy na doroczny wyjazd wakacyjny na wyspy Scilly i skierowała się do drzwi. Gdy skręciła ku schodom, spotkała córki.

Starsza przesłała jej promienny uśmiech, którym zwykle potrafiła wymusić absolutnie wszystko na rozpieszczającym ją ojcu.

- Mamo, zastanawiałam się nieco nad moim debiutem. Bądź co bądź, w następnym sezonie będę miała już siedemnaście lat.

- Nie przypominaj mi nawet o tym. - Caroline przeniosła wzrok z Hannah na młodszą Elizabeth. - Obie rośnięcie stanowczo zbyt szybko.

Po tylu latach poświęconych wychowaniu dzieci chciała utrzymać je przy sobie jeszcze trochę dłużej. Wyn skończył studia w Cambridge i ciężko pracował nad książką o przyrodzie swoich ulubionych wysp Scilly. A jej córki miały wkrótce wejść do towarzystwa. Dzięki Bogu, dziesięcioletniemu Thomasowi nie spieszyło się aż tak bardzo z dorastaniem.

- Miałam nadzieję - ciągnęła przymilnym tonem Hannah - że ty i tata będziecie mogli wydać bal u Almacka z okazji mojego debiutu...

Wzmianka o salach Almacka wywołała lekki rumieniec na policzkach Caroline. Od czasu pamiętnego wieczoru przed wieloma laty ani razu nie przestąpiła ich progu. Ponieważ znalazła w końcu szczęście w małżeństwie i była zajęta powiększającą się rodziną, nie tęskniła za tym ani trochę. Teraz jednak prośba córki postawiła ją w niezręcznej sytuacji.

- Tak wiekowe miejsce jest już z pewnością niemodne, czyż nie? - powiedziała i ruszyła schodami w dół. - Patronki sal Almacka muszą być już chyba dzieciniały ze starości.

- Mamo, proszę - powiedziała błagalnie Hannah, podążając za nią razem z Elizabeth. - Almack nie jest już chyba tak wytworny jak za twoich czasów, ale zapewniam cię, że dla młodej, dobrze urodzonej damy to wciąż jest bardzo pożądane miejsce na debiut.

Caroline szelmowsko się zaśmiała.

- Słucha się ciebie tak, jakbyś połknęła egzemplarz „The Court Journal”, moja droga.

- Mamo! - sprzeciwiła się Hannah. - To, że ty i tata jesteście zaprzysięgłymi domatorami, nie oznacza, że byłoby sprawiedliwie, gdybym nie miała modnego debiutu.

Chociaż starsza córka przypominała ją z wyglądu, Caroline wiedziała, że Hannah

odziedziczyła upór po ojcu. Należało się spodziewać, że kwestię Almacka będzie wywlekać dopóty, dopóki nie postawi na swoim albo nie dowie się prawdy.

- Nie martw się, moja droga. Zostaniesz przedstawiona na dworze i wydamy na twoją cześć piękny bal.

- U Almacka?

Caroline stanowczo pokręciła głową.

- Obawiam się, że twój tata i ja nie bylibyśmy tam mile widzianymi gośćmi, nawet gdybyśmy kiedyś chcieli tam się wybrać. A teraz przepraszam cię, ale wrócił do domu tata i chcę z nim porozmawiać.

Zdawało się, że usłyszana rewelacja na chwilę odebrała Hannah mowę. Co innego Elizabeth.

- Dlaczego jesteście niemile widziani u Almacka? Czy z powodu waszej pracy w ruchu na rzecz zniesienia niewolnictwa?

- Zniesienie niewolnictwa nie ma z tym nic wspólnego, moja droga. - Gdyby Caroline nie było tak spieszno do odejścia, może znalazłaby bardziej oględny sposób na zniechęcenie córki do takich pytań. Jednak tego dnia naprawdę chciała mieć męża na kilka minut tylko dla siebie, zanim opadną go dzieci. - Obawiam się, że wywołaliśmy coś w rodzaju skandalu.

Dziewczęta otworzyły usta ze zdumienia i uniosły wysoko brwi, a Caroline na ten widok zachichotała.

Chwilę później wyszła na dwór przez imponujące frontowe drzwi i zdążyła akurat na czas, by zobaczyć, jak Bennett zsiada z konia. Trzymał się prosto i dumnie jak zawsze.

Gdy stajenny odprowadził konia, Caroline pospieszyła do męża.

- Witaj w domu, najdroższy! Jak minął dzień w Izbie?

- Był długi jak zwykle - odparł Bennett, chociaż nie wydawał się zmęczony. - Dziś w Westminsterze spotkałem przypadkiem naszego starego znajomego.

To Caroline nie interesowało, ponieważ jednak mąż wyraźnie chciał jej o tym opowiedzieć, była gotowa posłuchać.

- A co to za stary znajomy?

- Nie kto inny jak Fitz Astley. Ledwie go poznałem. Ma obwisłe od tłuszczu policzki i utyka z powodu podagry.

- Mówisz to prawie takim tonem, jakbyś go żałował. - Caroline pokręciła głową ze zdziwieniem.

- Astley miał swoją rolę w ponownym zacieśnieniu naszego związku. - Bennett ujął jej rękę i uniosł ją do warg. - Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ta jedna przysługa rekompensuje mi wiele kłopotów, które miałem przez niego w młodości.

Ciepło warg pozostałe na jej dłoni po pocałunku rozbudziło pożądanie Caroline. To doznanie wciąż było tak samo silne jak w najwcześniejszych latach ich małżeństwa.

- Stać cię chyba na miłosierdzie, skoro ostatecznie to ty wygrałeś. Powiedz mi teraz, co się działo dzisiaj w Izbie Lordów.

- Niech pomyślę. - Bennett udał, że szuka faktów w pamięci. - Po długiej i wyczerpującej debacie ustawa o małżeństwach katolików przeszła przez drugie czytanie. A ustawa o handlu z Chinami została odesłana do komisji z kilkoma poprawkami.

- Coś jeszcze?

Caroline doskonale wiedziała, że odpowiedź jest twierdząca. Skoro jednak Bennett był tego dnia w przekornym nastroju, należało mu dogodzić.

- A tak, już sobie przypominałem. „Ministerialny plan zniesienia niewolnictwa” przeszedł przez trzecie czytanie. - Przy tych słowach jego głos ochrypnął od emocji. - Teraz potrzebny jest tylko podpis Jego Królewskiej Mości i stanie się on obowiązującym prawem.

- Nareszcie!

Caroline nie umiała dłużej ukrywać radości. Zarzuciła mężowi ręce na szyję i mocno go uściskała.

Wszyscy wiedzieli, że Izba Lordów poprze projekt, który wcześniej przeszedł przez Izbę Gmin. Powszechne zainteresowanie ludzi tym tematem, które ujawniło się po niedawnej śmierci Williama Wilberforce'a, jeszcze zwiększyło szanse tego projektu. Caroline wiedziała jednak, że mąż uważa ten dzień za ukoronowanie swojej długiej i wybitnej kariery.

Skandaliczny wieczór u Almacka był dla sprawy zniesienia niewolnictwa przeszkodą, ale tylko jedną z wielu, jakie pojawiły się przez lata. Caroline nie sądziła, by opóźnił on choć o jeden dzień to jakże słodkie zwycięstwo. Skandal zresztą od dawna już był zapomniany. Może tylko oni go wspominali. Wracając myślami do tamtych dni, Caroline bardzo się cieszyła, że z Bennettem dostali drugą szansę na wspólne szczęście i że mieli odwagę, by z niej skorzystać.

- Twoje wsparcie, kochanie, dało mi siły, by wytrwać - powiedział cicho Bennett, tuląc ją do siebie. - Poza tym dzisiejszy triumf znaczyłby dla mnie dużo mniej, gdybym nie mógł podzielić się nim z tobą i naszymi dziećmi.

Salwa piskliwego śmiechu skłoniła ich, by się odwrócić. Zobaczyli swoje psotne córki, śledzące ich przez okno salonu. Bennett roześmiał się, patrząc na dziewczęta, i pocałował żonę w usta z ledwie skrywaną namiętnością.

Gdy wracali ramię w ramię do swojego szczęśliwego domu, Caroline zerknęła z promiennym uśmiechem na swoją obrączkę. Chociaż przez ostatnie szesnaście lat ani razu jej nie zdjęła, nie miała kłopotu z przytoczeniem dedykacji, którą Bennett polecił wygrawerować.

- To na wypadek, gdybym kiedyś miał kłopot z powiedzeniem ci tego - szepnął. - Niech to posłuży za przypomnienie.

„Strzec, otaczać opieką, kochać”.

Od tej pory rzadko zdarzał się taki dzień, by Bennett nie dowiódł jej czynem lub słowem swojego oddania, które z każdym mijającym rokiem było głębsze i dojrzałsze. To oddanie Caroline szczerze odwzajemniała.

Tytuł oryginału: His Compromised Countess
Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Ltd, 2012
Redaktor serii: Dominik Osuch
Opracowanie redakcyjne: Dominik Osuch
Korekta: Lilianna Mieszczńska

© 2012 by Deborah M. Hale
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2015

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Romans Historyczny są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-1737-8

ROMANS HISTORYCZNY - 431

Konwersja do formatu MOBI:
Legimi Sp. z o.o. | www.legimi.com

Spis treści

Strona tytułowa

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Epilog

Strona redakcyjna